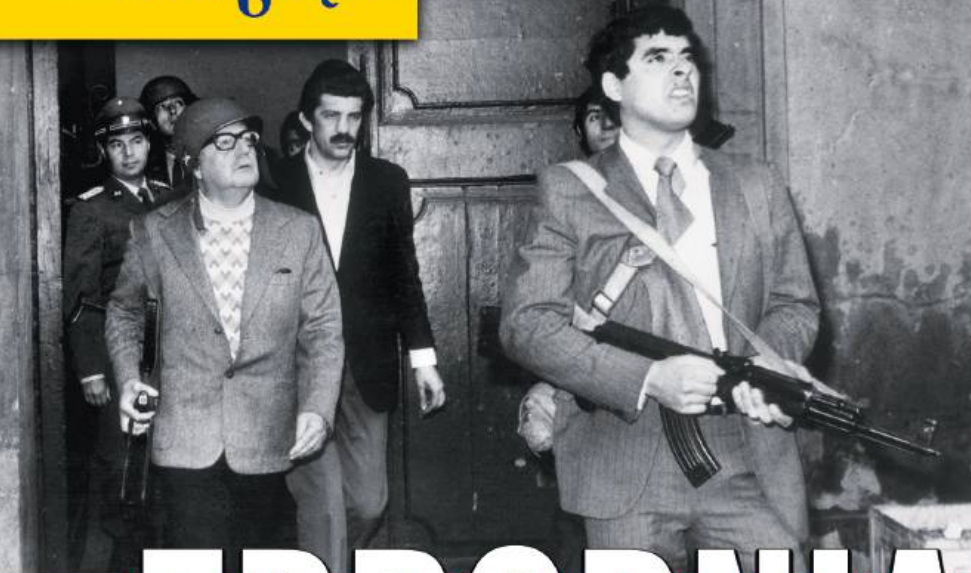


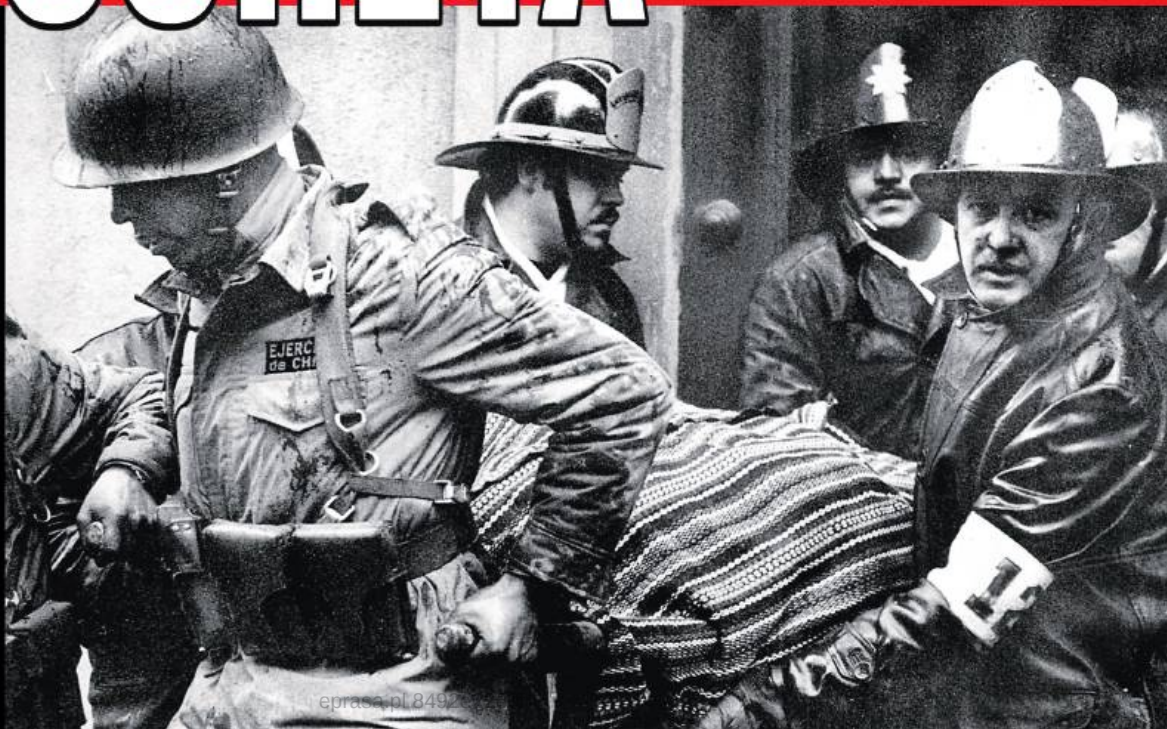
PROF. ANDRZEJ KARPIŃSKI
POLSKI PRZEMYSŁ OFIARĄ
NEOLIBERALIZMU**LEGIONELLA GROŹNIEJSZA
NIŻ COVID****RAFAŁ SKĄPSKI**
O ANDRYCZ I CYRANKIEWICZU**JACEK PAŁKIEWICZ**
HA LONG –
ÓSMY CUD ŚWIATA**11 września
1973 r.**

ZBRODNIA PINOCHETA

**Śmierć
Salvadora
Allendego**

▲
**Prezydent Allende
z ochroną
po rozpoczęciu
zamachu stanu.**

►
**Żołnierze i strażacy
wynoszą ciało
zamordowanego
prezydenta.**



rampa

**TEATR
NA
TARGÓWKU**



warszawski musical

40-LATEK

spektakl inspirowany oryginalnym scenariuszem serialu „40-latek”
Jerzego Gruzy i Krzysztofa T. Toeplitza

SCENARIUSZ I REŻYSERIA **Joanna Drozda**

Premiera 15 września 2023 r.

TEATR RAMPA NA TARGÓWKU, ul. Kołowa 20, Warszawa,
BIURO OBSŁUGI WIDZÓW tel.: +48 22 679 89 76, +48 573 801 004,
SPRZEDAŻ BILETÓW ONLINE: bilety.teatr-rampa.pl oraz www.ebilet.pl, www.kicket.com
teatr-rampa.pl



instytut kultury
miasto stołeczne
Warszawa

PATRONI MEDIALNI



PARTNERZY





Machanie pałą na dożynkach

Do dnia wyborów coraz bliżej. Czują to wszyscy, bo z każdej strony jesteśmy bombardowani miłością. Nasi kochani seniorzy – ileż razy dziennie słyszymy to z ust kandydatów na posłów i senatorów. Seniorzy są w cenie, bo jest ich coraz więcej. I najliczniej głosują. Sztuka uwodzenia jest prościutka. Kochani są ci, do których w danej chwili się mówi. Dla potencjalnych wyborców można zaśpiewać, zagrać na jakimś instrumencie, nadmuchać balon na festynie, a nawet machać pałą na dożynkach. Każde miejsce, gdzie gromadzą się ludzie, jest teraz zagrożone. Widok namolnych kandydatów może zepsuć smak najlepszej kaszanki i waty cukrowej. I tak będzie do ostatniego dnia kampanii. Władzy nie przeszkadza, że na tych stricte wyborczych imprezach organizuje się pokazy wojskowe, policyjne czy strażackie. Choć te służby powinny być całkowicie apolityczne. Powinny. Jak jest, widzimy. PiS sprowadza wszystkich, nad którymi ma władzę, do roli czysto użytkowej. Mają się podporządkować albo odejść. Od tych haniebnych praktyk nie ma gdzie się odwołać. Władza PiS i jego przybudówek jest coraz bardziej totalna. A poziom buntu czy tylko twardego protestu dopiero się rodzi pod wpływem garstki zdeteminowanych polityków. Na tej garstce wiozą się tysiące polityków byle jakich – przeciętniaków, dla których polityka jest

wyłącznie miejscem godziwych zarobków. Układanie się z każdym, do kogo mają osobisty interes – to ich drugie imię. O obietnicach wyborczych zapomną już wieczorem 15 października.

Co więc w tej sytuacji robić? Myśleć. I oceniać. Najpierw to, co kandydaci do parlamentu już w życiu osiągnęli. Odrzucać tych, którzy głoszą księżycowe obietnice. Stawiać na konkrety i na tych, którzy dokładnie powiedzą, jak chcą swoje obietnice realizować. Zapewniam, że o ten próg przewróci się większość kandydatów.

Jest też grupa polityczek i polityków, którzy ledwo nadążają za zmianą własnych poglądów. Z nich pożytku na pewno nie będzie.

Przyglądając się listom kandydatów, warto pamiętać o mechanizmach doboru tych ludzi. Dlaczego brakuje osób często mądrzejszych i bardziej kompetentnych? Jakie są reguły wyborcze w partiach politycznych? Kto miał największy wpływ na kształt list? Odpowiedź jest tu oczywista. Kaczyński może sobie w swojej osobistej partii pozwolić na wszystko. I nikt nawet nie pisnie. Z kolei Tusk podniósł z niebytu PO i grupka liderów, skromnie obdarowanych charyzmą, podporządkowała mu się bez większego oporu. A lewica? Czarzasty brutalnie przejął Nową Lewicę i taktuje ją jak osobistą własność. Listy ustawił pod swoich faworytów.

BAKOWSKI



**Bądź z nami
na Jesiennych Targach
Książki w Warszawie**

**8-10 września
(piątek-niedziela)**

PRZEGLĄD
serdecznie zaprasza na nasze
stoisko nr 9/C na placu Defilad



**Czekamy
z nową książką
i rabatami
targowymi!**

Wstęp wolny
Spotkaj się z naszymi autorami
Więcej informacji na s. 21

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polski przemysł ofiarą neoliberalizmu**
– rozmowa z prof. Andrzejem Karpińskim
- 13 PiS jakie jest, każdy widzi**
Jedynki Kaczyńskiego
- 15 Legionella i inne bakterie**
Groźniejsza niż covid
- 34 Im młodszy, tym lepszy w matmie**
Deszcz polskich medali
- 36 Pies w niemal co drugim domu**
– rozmowa z Grzegorzem Plezią

HISTORIA

- 18 Zbrodnia junty Pinocheta**
Zamach stanu w Chile
- 38 Ornitolog z obozu**
Ptaki wokół Auschwitz

OPINIE

- 24 Doug Bandow**
Ameryka potrzebuje prawdziwej debaty
o polityce zagranicznej

ZAGRANICA

- 26 Południe zmienia kierunek**
Sześciu nowych członków BRICS
- 30 Ostatni doktor od aborcji**
Praca nie dla każdego

KULTURA

- 42 Nie ma jednego kina kobiet**
– rozmowa z Weroniką Adamowską
- 44 Culturalia**
- 46 Tamara Łempicka. Za kulisami**
- 66 Tomasz Kulka. Piramida głupców**

OBSERWACJE

- 48 W drodze, pałacach i Świątoszku**
Rafał Skąpski o spotkaniach
z Andrycz i Cyrankiewiczem
- 52 Wielkie żarcie**
Catering na planach filmowych
- 55 Ha Long – ósmy cud świata**
Podróże Jacka Pałkiewicza

ZWIERZĘTA

- 58 Kuliki znad Brzozówki**
Przyroda okolic Biebrzy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Machanie pałą na dożynkach
- 23 Jan Widacki**
Kali był Polakiem
- 29 Andrzej Szahaj**
Liczy się jakość życia, a nie bogactwo
- 33 Roman Kurkiewicz**
Demokracja, jaki śmieszny żart
- 41 Tomasz Jastrun**
Izrael, ciąg dalszy
- 45 Wojciech Kuczok**
Drżące istnienie
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Dyskusje, które wygrywam
pod prysznicem

36

KRAJ

PIES W NIEMAL CO DRUGIM DOMU

– rozmowa
z Grzegorzem Plezią



55

OBSERWACJE



HA LONG – ÓSMY CUD ŚWIATA

Podróże Jacka Pałkiewicza



58

ZWIERZĘTA

KULIKI ZNAD BRZÓZÓWKI

Przyroda okolic Biebrzy

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. HOLLANDSE HOOGTE/EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 8492e2260f



✉ Do trzech razy sztuka

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł red. Czarkowskiego o przetwarzaniu osocza. Jedno sprostowanie – leków na krzepliwość uzyskiwanych z osocza nie wykorzystuje się na polu walki. Są to leki niezbędne chorym na hemofilię, ostatnio w znacznej mierze wypierane przez leki wytwarzane metodami inżynierii genetycznej. Rannym żołnierzom mogą być niezbędne inne leki wytwarzane z osocza, przede wszystkim albumina, w mniejszym stopniu immunoglobuliny. Immunoglobuliny są jedynym składnikiem, którego nie można uzyskać z innego źródła.

Prof. Wiesław W. Jędrzejczak

✉ Małżeństwo i związki partnerskie

Robert Biedroń – i nie tylko on – domaga się równouprawnienia związków homoseksualnych z małżeństwem, co jest powodem kontrowersji także na lewym skrzydle polskiej opinii. Nic nie powinno stać na przeszkodzie, aby ci, którzy kochają inaczej i chcą się połączyć trwałym związkiem, korzystali z tych samych praw. Są jednak powody, aby nazwę „małżeństwo” zachować (zgodnie z etymologią słowiańską) dla ślubnego związku „męża” i „żony”, którego głównym – niejedynym – indywidualnym i społecznym celem jest posiadanie potomstwa. Odczucie to znalazło trwałe miejsce w sferze nie tylko religijnego, ale również świeckiego sacrum (bo takie istnieje). Związek o charakterze jednoosobowym stawia sobie pod tym względem inne cele. Znam ludzi, którzy są za równouprawnieniem i głęboko tolerancyjnych, ale wahających się poważnie, czy oddać głos na lewicę, jedynie z tego powodu. Instytucja związków partnerskich zdaje się wyznaczać właściwą drogę.

Andrzej Lam

f Ze Strajku Kobiet do Sejmu

Ten cytat z rozmowy z panią Bożeną Przyłuską, kandydatką Lewicy do Sejmu z okręgu 35, należy podkreślić: „Od samego początku rozumiałam, że nasze prawa zostały sprzedane Kościołowi w zamian za poparcie 10 tys. ambon, z których księża grzmieli, na kogo należy głosować”. Nieodpowiedzialni politycy sprzedali nas nie tylko Kościołowi. Prawica wrzeszczy: „Suwerenność odzyskał po transformacji”. Tak. Odzyskał suwerenność wobec Moskwy, ale zaraz ją stracił na rzecz Waszyngtonu, Watykanu, Brukseli, Trojki i różnej maści banksterów. Sprzedali nas i co im zrobimy w tym postfeudalnym kraju? Z mojego punktu widzenia jedynym ratunkiem dla nas jest Federacja UE, jeden wspólny rząd, te same prawa dla wszystkich Europejczyków.

Józef Brzozowski



f To nie jest miasto dla ludzi

Ludzie starsi to całkowicie zapomniana i coraz częściej wykluczana grupa społeczna bez własnego głosu, w dużej części do odebrania obecnemu układowi. Może być tylko gorzej, bo żadne kalkulacje w systemie kapitalistycznym nie są na korzyść tej grupy, a Łódź starzeje się najszybciej w Polsce.

Piotr Urbański

Kogo obchodzi los emerytki w społeczeństwie spektaklu? Jakoś to nie rusza „Polski fajnej”, co przeciwstawia się PiS.

Antonio Barra

ZDJĘCIE TYGODNIA



Prof. Henryk Skarżyński z uczestnikami koncertu galowego Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Ślimakowe Rytmy w Światowym Centrum Słuchu w Kajetanach. Wydarzenie to uczciło 30 lat pracy ośrodka, jego specjalistów i pacjentów. Gwiazdą wieczoru był Bruce Liu, zwycięzca 18. edycji Konkursu Chopinowskiego. Zagrał utwory Chopina i wystąpił w duecie z pacjentami centrum.

10,1% wyniosła inflacja w sierpniu (GUS).

Medalami Wolności

Słowa przyznawanymi w trosce o promowanie mądrych słów w przestrzeni społecznej uhonorowani zostali **prof. Ewa Łętowska**, **Piotr Świerczek z TVN 24** oraz **Lidia Niedźwiecka-Owsiak** i **Jerzy Owsiak**. Medal specjalny otrzymał Lech Wałęsa. Organizatorem tego wydarzenia jest **Fundacja Grand Press**, której prezeska **Weronika Mirowska** otworzyła galę w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

W 2022 r. z prośbą o pomoc do Grupy Granica zwrócili się co najmniej **6022 osoby**, w tym **396** zgłoszeń dotyczyło **dzieci**. Aktywiści i aktywiści **dotarli z pomocą do 3672 osób**. Wśród uchodźców są mieszkańcy 50 krajów. Można im pomagać przez sklepbezgranic.pl.

Sprzedaż 600 ha bardzo atrakcyjnych terenów Lotniska Chopina to dla ludzi powiązanych z władzą może być interes życia. Marcin Horała, pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego, ma już decyzję rządu z maja o przeniesieniu ruchu cywilnego z Okęcia do CPK. Megalotnisko jest na papierze, a nad zabudowę Okęcia już w PiS jakieś mądralę pracują.

Łamanie analogowego systemu zabezpieczeń komunikacji na kolei stało się plagą zakłócającą ruch pociągów. Nie jest to nowy problem, bo w poprzednich latach takich incydentów było po kilkadziesiąt. Wdrażanie nowego systemu łączności GSM-R za 2,79 mld zł przebiega opornie. A i tak ten system jest już przestarzały.

Rafał Skąpski, znany wydawca i animator ważnych wydarzeń kulturalnych, został po raz piąty (od 2005 r.) wybrany na **prezesa Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek**, które istnieje od 1921 r.

Laureatami Nagrody Literackiej Gdynia zostali: **Grzegorz Piątek** za książkę „Gdynia obiecana. Miasto, modernizm, modernizacja 1920-1939” (W.A.B.), **Marcin Czerkasow** za „Mountain View” (WBPiCAK), **Małgorzata Żarów** za „Zaklanie węży w gorące wieczory” (Wydawnictwo Czarne) i **Jerzy Koch** za przekład „Mój mały zwierzątko” Marieke Lucasa Rijnevela (Wydawnictwo Literackie).

472 mld dol. wynoszą straty podatkowe poniesione w ciągu roku przez państwa z powodu niepłacenia podatków przez firmy oraz uchylania się od płacenia podatków przez osoby majątkowe korzystające z rajów podatkowych (raport Tax Justice Network).

O 15% wzrosła w pierwszym kwartale sprzedaż żywności za granicę i wyniosła 25,6 mld euro. Najwięcej wyeksportowaliśmy do Niemiec (za 6,42 mld euro), Wielkiej Brytanii (2 mld), Holandii (1,61 mld), Francji (1,60 mld), Włoch (1,23 mld), Czech (1,19 mld) i Hiszpanii (910 mln).

Dwa srebrne medale na mistrzostwach świata w Budapeszcie zdobyte przez **Natalię Kaczmarek** (400 m) i **Wojciecha Nowickiego** (rzut młotem) to wyraźny regres, zwłaszcza na tle dziewięciu medali lekkoatletów zdobytych dwa lata temu na igrzyskach w Tokio.

PRZEBŁYSKI

Nowiutki Czaputowicz

Smutno się robi na widok polityków dojrzałej zmiany. A jak jeszcze coś powiedzą, to wyższy poziom frustracji słuchaczy gwarantowany. Co tydzień jakaś wtopa. Nie daje o sobie zapomnieć nawet Jacek Czaputowicz. Ten, który z woli Kaczyńskiego był eksperymentem na fotelu ministra spraw zagranicznych. Śmieszny i bezwolny gość, który doprowadził do zaorania resztek tego, co zostało po pisowskiej szarańczy. A gdy w oczach prezesa przestał być pożyteczny, odstawiono go od cycka.

Urażony Czaputowicz szybko zamienił kapotkę partyjnego czynownika na szatę Katona. Chodzi po mediach i popiskuje, jakie to PiS jest straszne. Jest w tym tak wiarygodny jak megalomańska książka z przemówieniami, które wygłosił w latach 2018-2020. Wydał to Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Niestety, za naszą kasę.



Dzieła sztuki na wygnaniu

Kradzione nie tuczy. Ale cieszyć oko nowego właściciela może. I to nawet po 78 latach od zakończenia wojny. Grabież ponad 68 tys. ruchomych dzieł sztuki o szacunkowej wartości przekraczającej 18 mld zł została przeprowadzona w czasie wojny bardzo sprawnie. W okupowanej Polsce dzieła sztuki kradli historycy, archeolodzy, pracownicy muzeów i uczelni. Wiedzieli, co kradli. A dziś Niemcy wiedzą, jak kradzionego nie oddawać. Wprowadzili 30-letni termin przedawnienia roszczeń. Rząd RFN miał to zmienić, ale skończyło się na obietnicach. Bardzo dużo polskich dzieł sztuki trafiło do USA. I handlują nimi wielkie domy aukcyjne. Mogą to robić. Bo głosu polskich polityków jakoś nie słychać. Może poza wiceministrem kultury Jarosławem Sellinem.

Historia według Maciorowskiego

Dowalanie PiS, choć zasłużone, tak zamuliło głowę Mirosława Maciorowskiego („Gazeta Wyborcza”), że porównał on „przedwojenny autorytaryzm sanacji” z „PRL-owską dyktaturą”. No i jak to ocenić? Zakładamy, że „GW” nie wpuściłaby na łamy kompletnego analfabety. Zostaje więc druga interpretacja. Klapki na oczach i ideologiczna ślepotą. Coś takiego jak koń Łysek z pokłady Idy u Gustawa Morcinka. Może ktoś powie Maciorowskiemu, co to za koń. A przy okazji opowie mu o Berezie, o setkach zabitych w strajkach i o innych formach sanacyjnego autorytaryzmu.



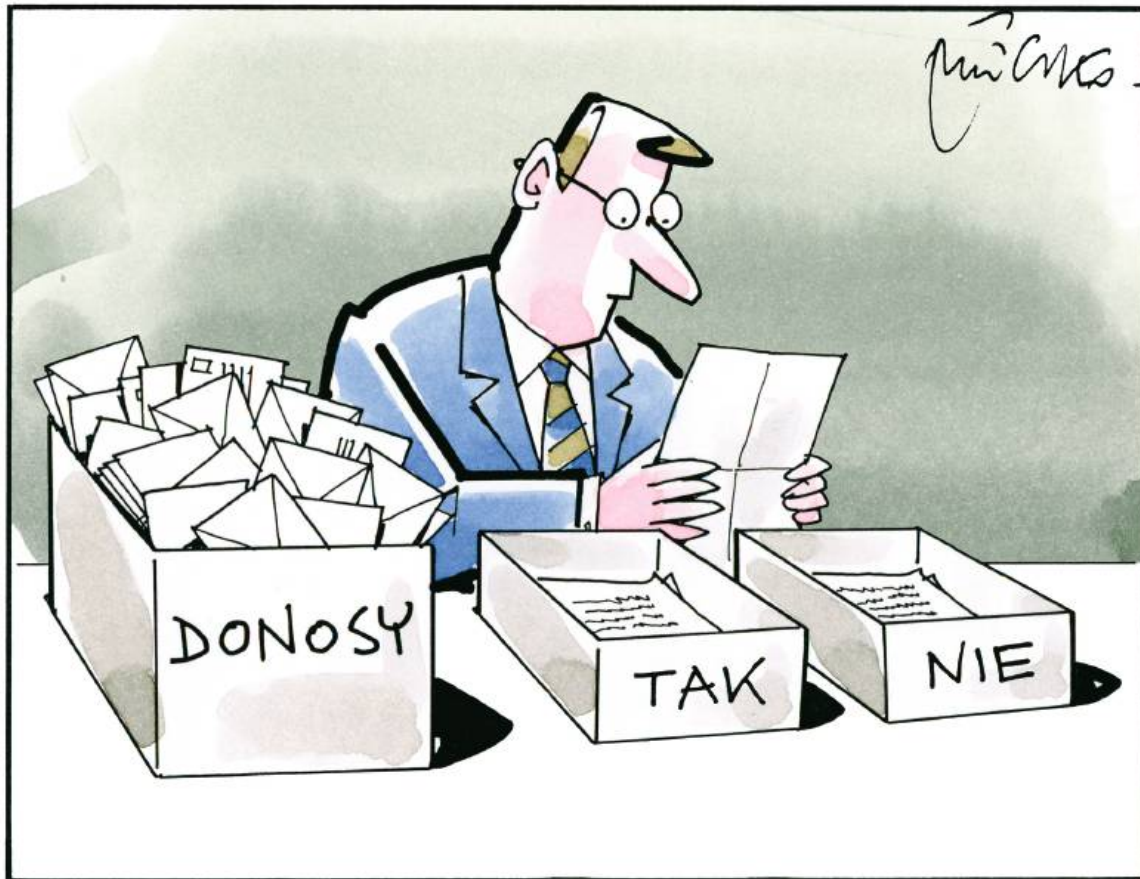
Doktor i prawie doktor

Jest coś, co łączy Przemysława Wiplera z Markiem Migalskim. Migalski po wielu nieudanych podejściach obronił doktorat. Choć złośliwi mówią, że tak znudził kolejne komisje, że wreszcie któraś machnęła ręką na ambitnego doktoranta.

Wipler z kolei zaliczył pierwsze nieudane podejście do obrony doktoratu. Temat był kuriozalny. „Komisja weryfikacyjna ds. reprivatyzacji jako nadzwyczajna instytucja”. Jak Wipler zostanie posłem z listy Konfederacji, łatwo znajdzie bardziej życzliwą komisję.

Z Migalskim łączy go także związek z PiS i osoba prezesa Kaczyńskiego. Prezes nawet kiedyś zażartował, że może Migalskiego zrobić prezydentem RP. Choć patrząc na karierę Dudy, to kto wie? Gdyby Migalski nie był w chęci robienia kariery takim raptusem...

Nie udało się z Migalskim, to może prezes zrobi bardzo ważnego urzędnika z Wiplera.



PYTANIE TYGODNIA

Czy Polacy ufają ankieteterom?

MARCIN DUMA,

prezes IBRiS

Zaufanie do ankietera w zasadzie nie ma specjalnego znaczenia. Choć na pewno kontakt twarzą w twarz z badanym może mieć wpływ na odpowiedzi. Ważniejszą kwestią jest, czy ufamy sondażom. Społeczeństwo generalnie nimi nie żyje. Odbiorcami badań jest ok. 35% obywateli najbardziej zainteresowanych polityką. Biorąc pod uwagę dane dotyczące rozpoznawalności marek sondażowych, znacząca część Polek i Polaków nie jest jednak w stanie wymienić żadnej takiej instytucji. Warto zapytać, czy Polacy chcą brać udział w sondażach. Uczestnictwo w nich jest formą partycypacji obywatelskiej. Jeśli mamy jakieś ważne dla opinii publicznej wydarzenia, to chętnych do wyrażenia zdania jest więcej. Gdy natomiast przyjdzie piękny sierpniowy weekend, zainteresowanie spada. Właśnie dlatego eksperci mówią, żeby na letnie sondaże patrzeć przez pryzmat wakacji.

PAWEŁ KASPRZAK,

działacz społeczny, współzałożyciel Obywateli RP

Nie widzę powodów, aby nie ufać ankieteterom. Sondaże też na ogół zmierzają do prawdziwego wyniku, bliskiego rzeczywistości. Oczywiście konia z rzędem temu, kto potrafi odróżnić badanie od samospełniającego się proroctwa. Myślę tutaj o tym, że badania potrafią wpłynąć na rzeczywistość, coś społeczeństwu zasugerować. Warto pamiętać, że zlecenie

poszczególnych sondaży służy realizacji różnych celów partii politycznych. Weźmy ostatnie sondaże, które są deprymujące, wręcz depresyjne. Z punktu widzenia opozycji demokratycznej wyborcy dostają sugestie, że trzeba głosować na najsilniejszego, czyli Koalicję Obywatelską. Ta strategia mi się nie podoba, bo osoby najniżej na listach złożą się na premie dla najsilniejszych, dostając w zamian nieproporcjonalnie mniej mandatów.

PIOTR NIEMCZYK,

ekspert z zakresu bezpieczeństwa

W PRL zaufanie do ankieteterów było bardzo niskie. Dowodem są wyniki wyborów z 1989 r. Z badań wprost wynikało, że PZPR wygra wybory, a przegrała je smutnie.

Współcześnie jest inaczej. Oczywiście jest pewna grupa ludzi, która z różnych powodów nie ma zaufania do badań. Osoby te stanowią jednak niewielki odsetek. W badaniach wiadać zresztą, że ten brak zaufania do ankieteterów jest brany pod uwagę. Jeśli zaś chodzi o moje doświadczenie zawodowe, to nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją, żeby państwowe służby specjalne próbowały jakoś docierać do osób ankietowanych lub w inny sposób dowiedzieć się, jakie poglądy respondenci ujawniali w badaniu. Jeśli ktoś się obawia, że rozmowa z ankieteterem będzie rejestrowana, to myślę, że jest w błędzie. Moim zdaniem nie ma takiego zagrożenia.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Polski przemysł ofiara neoliberalizmu

Przyszłość będzie należała do zupełnie innej globalizacji
– zielonej, ekologicznej

Rozmawia Paweł Dybicz

Panie profesorze, co w ostatnich latach zmieniło się w gospodarce światowej?

– Moim zdaniem największym wydarzeniem ostatnich pięciu lat w skali globalnej, które dziś najbardziej intryguje opinię światową, jest zasadnicza zmiana stosunku państwa do własnej gospodarki i przemysłu. Pojawiła się ona po kryzysie w 2008 r., a znacząco przyspieszyła w latach 2020-2023, po pandemii COVID-19. Niewątpliwie na zmiany wpływa też inwazja Rosji na Ukrainę z 2022 r., chociaż pomoc USA dla Ukrainy opiera się na dostawach z istniejącego już przemysłu zbrojeniowego w Stanach.

Zmiany te zmierzały do ponownego rozszerzenia i zwiększenia aktywnej roli państwa w gospodarce i przemyśle. Nazywamy to obecnie neointerwencjonizmem. W Ameryce pierwsze tego objawy pojawiły się za rządów Donalda Trumpa, choć początkowe symptomy można było dostrzec już w czasach prezydentury Baracka Obamy. Prezydent Joe Biden idzie jeszcze dalej niż Trump i jasno stawia sprawę, mówiąc: „Zrobimy wszystko, aby zapewnić USA przywództwo światowe w przemysłach przyszłości”.

Prof. Andrzej Karpiński – autor wielu prac ekonomicznych. Zawodowo i naukowo zajmował się polityką gospodarczą państwa (od 1948 r.), a zwłaszcza polityką przemysłową, prognozowaniem i studiami nad przyszłością. Piastował liczne odpowiedzialne stanowiska, m.in. był wieloletnim sekretarzem naukowym Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN i zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów.

**PROF. ANDRZEJ
KARPIŃSKI**



Jak interpretować te słowa Bidena?

– Że te zmiany mają charakter przełomu, wielkiej zmiany jakościowej, a nie tylko korekty dotychczasowego sytemu. Naruszają bowiem podstawowe zasady neoliberalizmu ekonomicznego, a więc idei, która po 1980 r. zwyciężyła w głównym nurcie ekonomii światowej i dominowała w działalności gospodarczej rządów w ostatnich 40 latach. W tym świetle powinna bardzo niepokoić znikoma wręcz wiedza naszych polityków, w ogóle naszego społeczeństwa, o tych nowych trendach

w gospodarce światowej, a już wręcz martwić musi zupełny brak świadomości możliwych następstw dla naszej gospodarki.

Na czym polega neointerwencjonizm?

– Biden jasno to wyartykułował, że zmierza do bardziej aktywnej polityki gospodarczej na miarę tej z czasów Franklina D. Roosevelta z lat 30. minionego wieku. Można nawet powiedzieć, że Ameryka wybrała najbardziej radykalny kierunek zmian w polityce przemysłowej, bo jest w niej szczególnie zapóźniona w stosunku do takich krajów jak Japonia, Korea Południowa, Francja, Izrael. W publicystyce amerykańskiej pojawił się nawet termin superaktywnej polityki przemysłowej. Jeszcze 10-15 lat temu było to wręcz niewyobrażalne. W ramach tej polityki podkreśla się konieczność koncentracji wysiłków, by amerykański przemysł

wrócił do USA, bo przed laty amerykańskie firmy uciekały ze Stanów, inwestując głównie w Azji, oczywiście ze względu na niskie koszty produkcji, zwłaszcza koszty pracy.

Czy neointerwencjonizm to praktyka na długie lata, czy zakończy się wraz ze znalezieniem kolejnych metod tańszego wytwarzania, jeśli nie w Azji, to np. w Afryce Subsaharyjskiej, gdzie teraz przemysł dynamicznie się rozwija?

– Powrót przemysłu do Ameryki będzie procesem trwałym, bo długofalowy charakter mają trzy wymienione wyżej jego przyczyny. Wciąż bowiem utrzymują się, a nawet nasilają zakłócenia w światowym systemie finansowym i monetarnym. Trzeba się liczyć z kolejnymi pandemiemi. A zagrożenie wojną, powstałe w związku z agresją Rosji na Ukrainę, zawsze prowadzi do wzmocnienia państwa.

Neointerwencjonizm to także reakcja na skutki nadmiernego liberalizmu i niekontrolowanej globalizacji, tj. wolnego dostępu do rynków większości krajów. Doprowadziło to Stany Zjednoczone do takiej sytuacji, że bez importu, zwłaszcza z Chin (stanowi on 17% całego importu USA), mają trudności w zaspokojeniu zapotrzebowania na własną produkcję nawet prostych wyrobów. Przykładem mogą być trudności w zaspokojeniu zapotrzebowania na szyny kolejowe, zanim nie podjęto inwestycji w walcowniach.

Za długookresowym charakterem neointerwencjonizmu w USA przemawia również fakt, że Trumpowi daje szansę na ponowną elekcję przez poparcie na terenach, gdzie doszło do zamknięcia jedynych zakładów przemysłowych w okolicy. Dlatego jeśli Trump wygra, to wróci do swojej polityki, a jeżeli Biden chce pozostać na stanowisku prezydenta – będzie musiał kontynuować swoją obecną strategię przemysłową albo nawet ją wzmocnić.

To w jakimś sensie zagraża Europie?

– Nie zdajemy sobie sprawy, że taka polityka przemysłowa może stworzyć pewne niebezpieczeństwa i zagrożenia dla Europy. Ogromne przywileje wprowadzone w Ameryce

dla inwestorów mogą skłaniać do przenoszenia wielu zakładów i firm do USA, także z Europy. Zresztą takie przypadki już mają miejsce.

Czy neointerwencjonizm zahamuje globalizację?

– Globalizacja ekonomiczna, ponadpaństwowa, w dotychczasowym kształcie nie ma szans na kontynuację. Dziś polega ona na tym, że wytwarza się i kupuje tam, gdzie można to zrobić najtaniej. Dlatego nazywa się ją globalizacją efektywnościową. Można przewidywać, że w najbliższych kilku latach nastąpi w niej regres, poza niewielkimi, słabymi ekonomicznie krajami o małej skali rynku i zakupów. Ale już to, czy USA i Zachód będą kupowały w Rosji, czy w Chinach, w obliczu konfliktu z Pekinem ma zasadnicze znaczenie. W miejsce dotychczasowej globalizacji efektywnościowej wejdzie inna

Od 1989 r. nie mamy dalekosiężnej, przemysłowej i rozumnej polityki przemysłowej.

– polityczna, jako przejaw sprzeciwu wobec krajów wchodzących w konflikt z demokracją. Już teraz obserwuje się działania państw Zachodu zmierzające do powstrzymywania się od zakupów surowców, energii i wyrobów o strategicznym znaczeniu w Rosji, a ograniczenia ich w Chinach.

Globalizacja stanie się ofiarą polityki mocarstw?

– Nie. Ona nie zniknie, ale przyszłość będzie należała do zupełnie innej globalizacji. Zielonej, ekologicznej. Jest ona nieuchronna i ma największą przyszłość. Lasy brazylijskie nie są własnością samej Brazylii, są własnością światową. Dają ogrom tlenu, a bez niego klimat na Ziemi szybko ociepliby się o 1-1,5 st. C. Co to oznacza, nie muszę mówić. W przyszłości rosnące znaczenie mogą mieć także ogromne zasoby wód w rzekach i jeziorach Syberii. Myślę też o wykorzystaniu wiecznej zmarzliny. W tym świetle za niezwykle trafną i potrzebną uważam opinię prof. Grzegorza Kołodki, że w pierwszej kolejności należy stworzyć plan inwestycji w celu ochrony środowiska dla całego świata. Byłoby to

pierwszym krokiem w kierunku przyszłościowej globalizacji ekologicznej.

Wróćmy do polityki przemysłowej.

Na czym dziś się zasadza nowoczesność przemysłu?

– Przejawem i motorem nowoczesności są przede wszystkim mikroelektronika i elementy półprzewodnikowe. Bez nich nie ma nowoczesnego przemysłu i nowoczesnych wyrobów. Nie ma zwiększenia produkcji rakiet amerykańskich, samochodów elektrycznych, telefonów komórkowych, w zasadzie wszystkiego, co jest bardziej zaawansowane technologicznie. Obecnie półprzewodniki są produkowane głównie na Tajwanie i w innych krajach Azji Południowo-Wschodniej. Ale nawet znaczny wzrost produkcji w tych krajach nie jest w stanie rozwiązać problemu światowego niedoboru półprzewodników. Dlatego Europa

intensywnie inwestuje w ten przemysł – głównie Niemcy i Holandia.

Jeżeli założyć, że można tego świata dogadają się w sprawach środowiska, to co w przyszłości będzie jeszcze dominować w przemyśle?

– Najbardziej charakterystyczną cechą w przemyśle w najbliższych latach będzie masowe wejście technologii komputerowych i internetowych, na skalę nigdy dotychczas niewystępującą. W zasadniczy sposób wzrośnie znaczenie przemysłu półprzewodników. Szczególną rolę w przemyśle przyszłości odegrają także technologie produkcji energii nieoparte na węglu, przemysł biotechnologiczny i oparty na wykorzystaniu laserów.

Poza mikroelektroniką, w tym półprzewodnikami i komputerami, o sile państw będzie decydował przede wszystkim przemysł ekologiczny, a więc taki, w którym wytwarza się urządzenia, sprzęt, chemikalia i materiały stosowane w ochronie środowiska. Uważa się go dzisiaj za główny sektor wzrostu w bieżącym dziesięcioleciu. Największymi producentami w tym przemyśle są USA, Japonia i Niemcy. W USA ▶

► prognozowano, że w bieżącym pięcioleciu w tym przemyśle produkcja będzie rosła o 12% rocznie.

Sąsiadujemy z Niemcami, jednym z liderów tego przemysłu. Umiemy to wykorzystać?

– Ta bliskość z Niemcami powinna służyć i sprzyjać rozwojowi naszej kooperacji w tym przemyśle. Niemcy mają ogromny potencjał gospodarczy, wytwarzają prawie 35% całej produkcji przemysłowej UE, a kolejny kraj o największym przemyśle, Włochy – tylko 14%, Polska zaś 4-5%. Nie umiemy jednak wykorzystać szansy, którą ta bliskość stwarza. Duża część naszych oczyszczalni ścieków pracuje, wykorzystując sprzęt i materiały importowane z Niemiec. Dotyczy to nawet chemikaliów produkowanych na bazie chloru, którego mamy najwięcej w Europie. Aż się prosi zapytać, dlaczego nie ma myślenia o sposobach, a właściwie konieczności gospodarczego współdziałania ze światowymi liderami w tej najbardziej przyszłościowej dziedzinie techniki.

Dziś przejawem i motorem nowoczesności w przemyśle są mikroelektronika i elementy półprzewodnikowe.

Bo nie mamy takiej polityki?

– Otóż to. I tu dochodzimy do sedna sprawy, a mianowicie braku dalekosiężnej, przemyślanej i rozumnej polityki przemysłowej. W gruncie rzeczy nie mamy jej od 1989 r., od czasów pierwszego po zmianie ustroju ministra przemysłu i handlu Tadeusza Syryjczyka, który twierdził, że najlepszą polityką przemysłową jest jej brak. A na pytanie, czy ona jest potrzebna, najtrafniej odpowiedział już w XVI w. Machiavelli, gdy mówił: „Żaden wiatr nie jest pomyślny temu, kto nie wie, do którego portu płynie”.

Co stoi na przeszkodzie temu, by mieć dobrą politykę przemysłową?

– Przyczyn tego jest wiele. Wśród nich niezdolność naszych rządów do wykreowania nowoczesnej polityki przemysłowej, błędne poglądy i niezrozumienie jej roli we współczesnej i nowoczesnej gospodarce rynkowej. Jednym z przykładów może być lansowane stwierdzenie rządzących, chyba tylko w celach

PR, że rząd chce zbudować politykę przemysłową na potrzeby branż, szczerą na miarę ich potrzeb. To całkowite nieporozumienie. Jak sama nazwa wskazuje, polityka (*polis* – państwo) służy zawsze państwu i dotyczy całego przemysłu. A potrzeby branż są często sprzeczne; im większe subsydia państwa dla jednych przemysłów, tym mniejsze dla pozostałych, nie mówiąc już nawet o realnych sprzecznościach pomiędzy branżami, takich jak wybór energetyki woltaicznej lub węglowej.

Co jest sednem mądrej polityki przemysłowej?

– Istota nowoczesnej polityki przemysłowej w gospodarce rynkowej polega na dokonaniu wyboru przemysłów, które mają w danym kraju najbardziej sprzyjające warunki rozwoju i mogą dać najlepsze efekty. Dlatego mogą być uznane za przemysły preferowane. A w stosunku do nich uzasadnione jest stosowanie wszystkich czterech zasad polityki przemysłowej: (1) ochrona już istniejących zakładów przemysłowych

przed likwidacją, (2) wspieranie ich rozwoju, (3) pobudzanie powstania nowych obiektów w tych przemysłach, (4) nadanie im priorytetu w dostępie do środków rozwojowych państwa i inwestycji.

Z powodu braku takiej polityki, opartej na priorytetach sektorowych, pozwoliliśmy zlikwidować przeważającą część mikroelektroniki profesjonalnej, z produkcją półprzewodników włącznie. Dotyczy to także wielu innych przemysłów, przede wszystkim wysokiej techniki, które stanowiły najważniejszą konkurencję dla zagranicznych koncernów w ich ekspansji na nie tylko nasz rynek.

Co zatem było i jest przyczyną braku polityki przemysłowej?

– Istotną tego przyczyną był także regres w naszej nauce i daleko idąca likwidacja zaplecza badawczo-rozwojowego w zakładach przemysłowych. Zatrudnienie w służbach badawczo-rozwojowych w tych zakładach zmniejszyło się z 56 tys. w 1989 r. do

7 tys. w przededniu wejścia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Nie ma nowoczesnej polityki przemysłowej bez wykorzystania wyników badań naukowych i innowacyjności. W dzisiejszej Polsce nauka nie jest ceniona. Jeżeli politycy, od lewa do prawa, nie zmienią o 180 stopni swojego stosunku do niej, może nam grozić estonizacja przemysłu – staniemy się państwem o przemyśle całkowicie zależnym od innych, czyli montownią. Przemysł w Estonii w 90% składa półfabrykaty z wielkich koncernów. I to nam coraz bardziej zagraża.

Sektor montażowy ma jeszcze jakiś sens w małych krajach, ale nie w takim, który ma 38 mln obywateli i taką skalę rynku. My musimy być innowacyjni w przemyśle, ale tego się nie osiągnie bez wsparcia nauki. Swojego rodzaju estonizacja przemysłu byłaby dla nas poważnym zagrożeniem. Nie wolno nam do tego dopuścić.

Tymczasem na naukę przeznaczamy 1,4% PKB. W porównaniu z czołówką europejską to niewiele.

– W pierwszych latach po transformacji ustrojowej aż trzykrotnie zmniejszono udział wydatków państwa na naukę, a i teraz przeznaczamy na nią mniejszy odsetek PKB niż w Polsce Ludowej. O ile w PRL na naukę wydawaliśmy 1,9% PKB, o tyle w 2019 r. zaledwie 1,4%, co oczywiście jest poziomem wysoce niewystarczającym. Dla porównania – w Unii Europejskiej na naukę wydaje się średnio 2,3%, a w krajach najwyżej rozwiniętych 3-3,5%, czyli dwa razy więcej niż my. W Polsce w szczególności konieczne jest przesunięcie nakładów z badań nad przeszłością na rzecz studiów nad przyszłością.

Dokonanie przełomu w tej dziedzinie obok wzmocnienia finansowania wymaga istotnego zwiększenia udziału studentów i absolwentów o kwalifikacjach w naukach technicznych i innych ścisłych do poziomu osiąganego w wielu krajach, np. w Finlandii – 40%.

Jeżeli nasi decydenci w radykalny sposób nie zmienią swojego stosunku do nauki, przyszłe pokolenia Polaków bardzo krytycznie ocenią ich i nas samych za zaniedbanie tej dziedziny, mającej decydujące znaczenie dla przyszłości Polski.

Na czym, poza wzrostem nakładów na naukę, miałyby polegać zmiana polskiej polityki przemysłowej?

– Przede wszystkim na określeniu priorytetów, jakimi dziedzinami ma ona się zajmować. Nie możemy powtórzyć błędów z ostatnich dziesięcioleci. Skierowanie nadmiernych środków na motoryzację indywidualną oraz związaną z nią infrastrukturę ruchu samochodowego w miastach i na ich obwodnicach spowodowało znaczne ograniczenie nakładów na budownictwo mieszkaniowe ze

chodzi o Polskę, jedno jest pewne – polska polityka przemysłowa nie może ograniczać się do przemysłów niszowych, musi stworzyć kierunek specjalizacji w głównym nurcie rozwoju przemysłu europejskiego. Rozwój przemysłów niszowych u nas (okna, jachty, gry komputerowe itp.) tego nie załatwi. Bo to nie te przemysły mają decydujące znaczenie w pozycjonowaniu państw, ale zakłady wysokiej technologii i wykształcone kadry, których nie możemy się pozbywać.

Za główny sektor wzrostu w bieżącym dziesięcioleciu uważa się przemysł ekologiczny, który wytwarza sprzęt, chemikalia i materiały stosowane w ochronie środowiska.

względem na wyjątkowo wysoką wzajemną substytucję pomiędzy wydatkami na samochody i mieszkania. W budżetach rodzin jest to niemal jak 1 do 1. W rezultacie powstała sytuacja mieszkaniowa wybitnie nie sprzyjająca prokreacji. A to stało się jedną z przyczyn spadku urodzeń – nie tylko u nas.

Ustalenie, które dziedziny i branże przemysłu powinny być u nas uznane za priorytetowe, jest niemożliwe bez przeprowadzenia odpowiednich badań. Problem w tym, że na szczeblach kolejnych rządów zostały one praktycznie zaniechane po 1995 r. i od tej daty, czyli od prawie 25 lat, nie były realizowane. Do tego obecna struktura nauki nie sprzyja ich podjęciu.

Co w praktyce cechuje neointerwencjonizm?

– Polega on na udzieleniu pomocy finansowej i stosowaniu przywilejów prorozwojowych dla przemysłów o szczególnym znaczeniu w obecnym okresie. W USA zalicza się do nich teraz trzy sektory przemysłu, a mianowicie zieloną energię, samochody elektryczne i półprzewodniki. Ale przede wszystkim dotyczy on subsydiowania powstawania i funkcjonowania zakładów o najwyższym, najnowocześniejszym poziomie technologii oraz wdrażania różnego rodzaju działań wspierających wznowienie produkcji towarów i urządzeń we własnym kraju. Jeżeli

mamy zbyt dużą emigrację ludzi wykształconych. Nie jesteśmy krajem niezdolnym do dobrego i lepszego ich wykorzystania w przemyśle, który wciąż ma najwyższą wydajność na jednego zatrudnionego.

Mamy przecież w kraju świetnych informatyków, programistów czy inżynierów. Mamy znakomicie wykształconą młodzież, co potwierdzają jej osiągnięcia na światowych olimpiadach matematycznych, informatycznych, fizycznych, chemicznych. Nie jesteśmy wielkim krajem, ale nawet mniej od nas liczne potrafią rozwijać nowoczesne technologie, czasem wręcz z udziałem pracujących w tych państwach Polaków, tak jak w Finlandii w przemyśle stocznio-wym. Norwegowie dzięki Polakom zbudowali znaczną część swojego przemysłu elektronicznego.

Polityka przemysłowa kosztuje. W Polsce nie ma kapitału, który sfinansowałby najpierw badania naukowe, a potem produkcję wysokich technologii.

– Trzeba dobitnie powiedzieć, że nie jesteśmy w stanie dokonać technologicznego unowocześnienia naszego przemysłu bez włączenia państwa w finansowanie rozwoju nowoczesnych przemysłów, udziału kapitału zagranicznego, prywatnego biznesu i społeczeństwa. W tym ▶

Co ma pan na myśli?

– Nadmierny odpływ kadry, którą wykształciliśmy tu, w kraju. Na skutek odpływu za granicę po 1989 r. naszej kadry, która zbudowała przemysł Polski Ludowej, odbudowa własnych tradycyjnych przemysłów, zniszczonych w czasie transformacji, nie jest możliwa. Same budyńki i maszyny nie wystarczą. Dlatego obecnie główny wysiłek musimy skierować na budowę nowoczesnego przemysłu, a nie na odbudowę poprzednio istniejących. Uważam, że nadal

ANDRZEJ KARPIŃSKI

PRAWDA I KŁAMSTWA O PRZEMYSŁE

POLSKA W OBŁICZU III REWOLUCJI PRZEMYSŁOWEJ

Takiej książki o PRL nikt jeszcze nie napisał

~~29,90 zł~~ 15 zł

Kup e-book na sklep.tygodnikprzeglad.pl

► celu z reguły tworzy się specjalny fundusz, do którego wpłaty są uprzywilejowane (ulgi od podatków, przesunięcie terminów płatności zobowiązań wobec państwa, subsydia finansowe itp.). Nawet tak bogaty kraj jak USA za rządów Obamy prawie w połowie finansował rozwój nowych przemysłów wysokich technologii (IT) drogą pożyczek tylko częściowo zwrotnych. My też powinniśmy iść tą drogą.

Zakładając, że uda się znaleźć finansowanie, jakie dziedziny nowoczesnego przemysłu, jakie jego sektory powinny być przedmiotem szczególnej troski rządzących?

– Odpowiedź na to pytanie wymaga specjalistycznych i, co należy podkreślić, jak najbardziej aktualnych badań. Z badań z 1995 r. wynikało, że do przemysłów „wysokiej szansy”, jak wtedy nazwano

Które zatem branże powinny być oczkiem w głowie rządzących, bez względu na ich proveniencję?

– Co do czterech przemysłów nie mam żadnych wątpliwości: przemysł ekologiczny, jako obszar najbardziej przyszłościowy; energetyka zielona i atomowa, od których zależy modernizacja struktury naszego przemysłu; przemysł mikroelektroniki profesjonalnej – jeżeli uda nam się wejść w kooperację z krajami bardziej zaawansowanymi w jego rozwoju; przemysł zbrojeniowy – jeżeli nie zmieni się sytuacja polityczna w świecie.

Wskazanie bardziej szczegółowych kierunków rozwoju przemysłu i jego wspierania będzie możliwe dopiero po badaniach i analizie, o których już mówiłem. Punktem wyjścia do nich powinna być ocena zdolności naszego krajowego zaplecza badawczo-rozwojowego do kreacji

– zachęty podatkowe bądź nisko oprocentowane kredyty w latach 70., a obecnie najlepsze kontakty z biznesem, Irlandia – system podatkowy, USA – konsorcja jako forma łączenia w celu wspólnego działania kapitału różnych form własności, w tym zagranicznego, Korea Południowa i Izrael – rola przemysłu zbrojeniowego, Finlandia – rola nauki i szkolnictwa wyższego. Najbliżej naszej struktury jest Korea Południowa. Ale wszelkie zmiany tego rodzaju powinny być realizowane przez polskich specjalistów, a nie przez importowanych doradców, którzy w większości przypadków nie sprawdzili się w naszej transformacji. Że tak byto, potwierdza niezwykle ważna, niedawno opublikowana praca Ryszarda Ślązaka: „Samozagłada przemysłu polskiego: 1989-2016”.

Skoro już zagraniczne koncerny zadomowiły się w Polsce, to jaka powinna być ich rola w kształtowaniu naszej polityki przemysłowej?

– Mogą wziąć udział w realizacji naszej polityki przemysłowej, powstałej tu, nad Wisłą, i na naszych warunkach, ale nie w jej opracowaniu. Polityka przemysłowa Polski powinna odpowiadać tylko naszym interesom i potrzebom. Koncerny oraz kapitał zagraniczny zawsze realizują i realizować będą własne interesy, odpowiadające potrzebom wzbogacenia ich właścicieli. A one mogą być sprzeczne z naszym narodowym interesem. Ten zaś powinniśmy chronić ponad wszystko.

Jaki generalny wniosek wynika z pana analiz?

– Rozwiązanie problemów przyszłości wymagać już będzie zasadniczego zwiększenia inwestycji oraz konsekwentnej realizacji strategii długookresowej. Tego nie może zapewnić czteroletni cykl życia parlamentarnego. Bo główne problemy przyszłości są nierozwiązywalne w ciągu czterech lat; aby je rozwiązać, potrzeba ciągłości w procesie rozwoju. A tego nam obecnie najbardziej brakuje.

Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

W dzisiejszej Polsce nauka nie jest ceniona. W 2019 r. na naukę wydawaliśmy 1,4%, w Unii Europejskiej to średnio 2,3%, a w krajach najwyżej rozwiniętych 3-3,5%,

nowoczesne przemysły, w rozumieniu nie zysków czy opłacalności dla biznesu, ale korzyści dla całej gospodarki i przemysłu, należało zaliczyć przemysł lotniczy, farmaceutyczny, sprzętu oświetleniowego (lampy), aparatury medycznej, elektrycznej, aparatury rozdzielczej i zabezpieczeniowej, turbin i innych maszyn energetycznych. Badania zagraniczne potwierdziły słuszność naszych ówczesnych wniosków. Dzisiaj jednak skład tej grupy i kolejność poszczególnych branż mogą być inne. Polska jest dużym europejskim krajem i nie może się skupiać na wąskich dziedzinach, musi patrzeć na przemysł kompleksowo. Ale to nie znaczy, że ma wydatkować środki na wszystkie sektory i nawet w przemysłach wysokiej techniki iść szeroką falą. Do osiągnięcia celu w naszych warunkach jest konieczna maksymalna koncentracja wysiłków państwa na gałęziach prorozwojowych, a nie ich rozpraszanie na zbyt wiele branż. Temu służy właśnie polityka przemysłowa, a w niej priorytety sektorowe.

innowacyjnych branż. A wtedy można określać przemysły zasługujące dzisiaj na preferencje rozwojowe, a następnie na tej podstawie dokonywać wyboru tych przemysłów, a nie odwrotnie, jak to miało miejsce w przeszłości.

Własną propozycję przeprowadzenia nowoczesnej restrukturyzacji przemysłu w Polsce przedstawiłem w książce opublikowanej w 2023 r.: „Jak wyjść z obecnego chaosu i bezwładu – strategia i polityka przemysłowa dla Polski”.

Czy w polskiej polityce przemysłowej powinniśmy się na kimś wzorować?

– Nie widzę kraju, na którym moglibyśmy się wzorować w całości, bo nasze warunki różnią się zasadniczo od innych, choćby z racji roli węgla w gospodarce. Natomiast jest wiele doświadczeń innych krajów, które powinniśmy maksymalnie wykorzystać. Zaliczyłbym do nich: Japonię z okresu działania MITI (Ministerstwa Międzynarodowego Handlu i Przemysłu, które odegrało wiodącą rolę w jej powojennej modernizacji – przyp. red.)

PiS jakie jest, każdy widzi

Emerycy to dominująca grupa jedynek Kaczyńskiego

Robert Walenciak

Czy na pewno lubimy stare, dobrze znane melodie? Tak w każdym razie oceniają wyborców spin doktry PiS, bo wśród zaprezentowanych przez Kaczyńskiego jedynek na listach wyborczych trudno znaleźć kogoś, kto by zaskoczył i przykuł uwagę.

To wyborcze abecadło, ale warto je przypomnieć. Polska podzielona jest na 41 okręgów wyborczych. Liderzy list w każdym okręgu są twarzami swoich ugrupowań, to oni mają przyciągać wyborców, są jak okładka gazety. Mają stanowić wartość dodaną, są wyborczymi lokomotywami. Poza tym specyfika wyborów powoduje, że zapewniają już sobie mandat, przynajmniej jeśli chodzi o duże partie, PiS i PO. Liderzy partii, ustawiając jedynki, ustawiają sobie zatem przyszły układ sił w klubie sejmowym. Jak to wyszło Kaczyńskiemu?

Nie chciał Tuska, ma Ziobrę

Największą niespodzianką była oczywiście decyzja, by on sam nie kandydował w Warszawie, ale przeniósł się do okręgu nr 33, kieleckiego. Po tym manewrze rozległy się od razu słowa zachwytu, jak to sprytnie Kaczyński postąpił. Uciekł od pojedynku z Donaldem Tuskiem, za to wybrał miejsce, w którym będzie lokomotywą i przysporzy PiS dodatkowych głosów. No i miał to być kolejny argument na rzecz tezy, jakim to prezes jest geniuszem. Czyżby?

Zerknijmy na wyniki wyborów z roku 2019. PiS zdobyło w okręgu kieleckim 314 tys. głosów, czyli zebrało ich 55%. Dało mu to w okręgu, który liczy 16 mandatów, aż 10 miejsc w Sejmie. I trudno przypuszczać, by obecność Kaczyńskiego w jakiś sposób teraz powiększyła ten dorobek. By PiS mogło wziąć 11 mandatów. Bo



Prezentacja liderów list wyborczych KW PiS z udziałem Jarosława Kaczyńskiego. Warszawa, 31 sierpnia 2023 r.

wtedy musiałoby zebrać ponad 60% głosów. To mało prawdopodobne. Patrząc chłodnym okiem, przenosinami z Warszawy do Kielc Kaczyński co najwyżej może uratować obecny stan pisowskiego posiadania. Ale nic dodatkowego nie ugra.

Długa sprawa – wiele mówi się, że w ten sposób Kaczyński uniknął pojedynku z Tuskiem, że pisowski okręg pozwoli mu „ukręcić” dobry rezultat, którym mógłby się chwalić. Owszem, to prawda, ale częściowa. Przed Kaczyńskim liderem okręgu nr 33 był Zbigniew Ziobro. I zdobył w nim 114 tys. głosów, czyli więcej niż co trzeci głos, który padł na listę. To ta poprzeczka, którą Kaczyński powinien 15 października przeskoczyć, ze znaczącą nadwyżką. Bo owszem, nie rywalizuje już z Tuskiem, ale z Ziobrą, tym z roku 2019, już tak.

A Giertych? Też trudno przypuszczać, by jego obecność zwiększyła liczbę mandatów oddanych na KO. W roku 2019 Platforma zdobyła

w okręgu 96 tys. głosów (16,6%), co przełożyło się na trzy mandaty. Teraz może liczyć na cztery. Starcie z Kaczyńskim będzie raczej nękanie niż efektywnym bojem. Inna rola Giertychowi jest pisana.

Pionki Jarosława

A jeśli chodzi o efektywny bój – parokrotnie już zwracaliśmy na to w PRZEGLĄDZIE uwagę – sprawy te rozstrzygnęły się wcześniej, podczas pisania Kodeksu wyborczego, kiedy Sejm nie uwzględnił korekty demograficznej i sprawy głosów Polonii. W związku z tym platformerski okręg Warszawa I, gdzie głosowało 1,380 mln ludzi, dzieli te głosy na 20 mandatów, a pisowski okręg nr 33, czyli Kielce (głosowało 570 tys.), ma do rozdysponowania 16 mandatów. I to jest skok na kasę!

Ale wróćmy do list PiS. Miejsca w Kielcach Kaczyńskiemu musiał ustąpić Ziobro. W pierwszej wersji ►

► miał zostać przerzucony do Chełma, co było swego rodzaju upokorzeniem. Teraz ma startować z Rzeszowa. Widzimy więc, że nie on wybiera sobie okręg, tylko Kaczyński jemu. O tym, że to prezes dobierał jedynki, świadczą także inne ruchy. Aby ratować Ryszarda Terleckiego, przerzucono go z Krakowa na pierwsze miejsce do Nowego Sącza. Mandat już ma, okręg Nowy Sącz jest 10-mandatowy, PiS wzięło tam w roku 2019 aż osiem. No to teraz czekamy na telewizyjne obrazki, jak Terlecki agituje po góralskich wioskach.

Takich spadochroniarzy jest więcej. Mariusz Kamiński wylądował w Chełmie i pewnie pierwszy raz w życiu to miasto zobaczy. Krzysztof Szczucki, szef Rządowego Centrum Legislacji, rządowy prawnik, któremu Kaczyński ufa, otrzymał jedynkę w Toruniu, choć

niepodległość. Przy okazji utarczek medialnych wyszły na jaw akta Krasulskiego, w których możemy przeczytać opinie przełożonych. Oto jedna z nich: „Nie troszczy się o warunki bytowe żołnierzy. Musi być pod stałą kontrolą przełożonych. Samodzielnie nic nie potrafi zrobić. Nie dba o powierzone mu mienie wojskowe”.

Innym weteranem, któremu powierzono rolę lokomotywy wyborczej, jest Antoni Macierewicz, lat 75. On również będzie startować z dobrze sobie znanego okręgu, czyli z Piotrkowa. A jeżeli jesteśmy przy emerytach, nie sposób nie wymienić Zbigniewa Raua (lat 68, startuje w Łodzi), Bożeny Borys-Szopy (lat 69, Gliwice), Marka Kuchcińskiego (lat 68, Krosno), a także Czesława Hoca, lat 69, lekarza endokrynologa, który będzie jedynką w dobrze sobie znanym Koszalinie.

W Elblągu listę PiS ma ciągnąć 73-letni poseł Leonard Krasulski. W latach 70. zdegradowano go w wojsku za zdefraudowanie 20-litrowej beczki spirytusu.

z tym miastem nie ma nic wspólnego. A Paweł Szrot, też prawnik, szef gabinetu prezydenta Andrzeja Dudy – jedynkę w Bydgoszczy. Trzeba być wielkim optymistą, by wierzyć, że będą oni lokomotywami wyborczymi, że pociągną PiS do wielkiej wygranej. Ale mają swoje zalety – reprezentują w obozie władzy grupę osób wykształconych, nowy nabór.

Czas emerytów

Ale stary nabór trzyma się mocno! W Elblągu listę PiS ma ciągnąć polityk miejscowy, 73-letni poseł Leonard Krasulski. Parę lat temu głośno było w mediach o jego przeszłości. Otóż Krasulski był zawodowym podoficerem Ludowego Wojska Polskiego, doszedł do stopnia plutonowego. Nagle został zdegradowany do stopnia szeregowego i przeniesiony do rezerwy. On sam utrzymywał – podobnie pisało MON – że był to dowód represji za jego postawę niepodległościową. Potem się okazało, że zdegradowano go za zdefraudowanie 20-litrowej beczki spirytusu. W latach 70. była to rzecz niewątpliwie cenna, niczym

Z kolei listę w Rybniku ma poprowadzić parę miesięcy młodszy Bolesław Piecha, lekarz ginekolog, były wiceminister zdrowia. Inny był wiceminister zdrowia, a obecnie minister cyfryzacji, Janusz Cieszyński (ten od respiratorów), został liderem listy PiS w Olsztynie. Jest on tam oczywistym spadochroniarzem, jak piszą media, jego rzucenie na stolicę Warmii to dla miejscowego PiS szok.

W ostatnich tygodniach sporo spekulowano, że numerem jeden okręgu pilskiego będzie nowa minister zdrowia Katarzyna Sójka. Ba! Gdy ogłaszano pilską jedynkę, to jej nazwisko pojawiło się na telebimie za plecami Kaczyńskiego. Tymczasem bum! Prezes ogłosił nazwisko posła Krzysztofa Czarneckiego, lat 66, z wykształcenia technika budowlanego, byłego burmistrza Trzcianki, który ma jedną wielką zaletę – należał jeszcze do PC.

Wola prezesa

Inne zaskoczenie przyszło z południa kraju. Przez wiele tygodni wydawało się, że w Opolu listę Zjednoczonej Prawicy będzie prowadził Kamil

Bortniczuk, człowiek z Głucholazów, były współpracownik Jarosława Gowina, którego porzucił, przechodząc z Adamem Bieleńskim pod skrzydła Kaczyńskiego. Bortniczuk, obecnie minister sportu, już nawet reklamował się na wielkich billboardach na Opolszczyźnie. Niepotrzebnie, bo prezes rzucił go na Płock. Uznał, że ważniejszy od niego jest Kukiz, który też w roku 2019 startował z województwa opolskiego, tyle że z listy PSL. Choć to, że dziś Kukiz ma miejsce na listach PiS, niespodzianką nie jest. Tym razem jego „zgoda” miała być efektem tego, że prezes przyjął jego „proobywatelskie postulaty”. Chyba nie ma sensu zastanawiać się, o co tu chodzi.

Układ jedynek pokazuje w wielkim stopniu sposób myślenia Kaczyńskiego. Uwzględnia on układ sił w obozie rządzącym – więc i Ziobro, i Kukiz, i Bortniczuk dostali swoje. Uwzględnia ważne postacie – Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda także mieli jakiś wpływ na kształt list, choć ograniczony – bo ani Michał Dworczyk, ani Adam Niedzielski jedynek nie dostali.

No i na liście brylują wieloletni przybocznicy Kaczyńskiego: Piecha, Sasin, Błaszczak, Kamiński, Suski, z którymi czuje się on najlepiej. Plus Joanna Lichocka, ta od palca. Nie ma za to Beaty Szydło, o której powrocie do krajowej polityki dużo spekulowano.

Takie są więc listy Nowogrodzkiej. A miejscowe struktury? Im Kaczyński przydzielił rolę szerpów, którzy mają donieść jego wybrańców, a jak dobrze pójdzie, mogą też powalczyć o mandaty dla swoich liderów. Choć już wiadomo, że będzie z tym trudniej, bo tych innych miejsc biorących może nie starczyć, skoro sondaże dają PiS kilkadziesiąt mandatów mniej niż w roku 2019.

Czy tak będzie – zobaczymy. Kampania dopiero rusza. Na razie wiemy jedno – pisowskie jedynki szafu nie wywołują. Lokomotyw tam niewiele. Dominują różnego rodzaju układowcy i spadochroniarze. Rzucani raz tu, raz tam. I pokażne grono emerytów, zasłużonych w poprzednich bojach. Tak jakby prezes uznał, że kampania sterowana z Warszawy, poprzez usługowe media, załatwi wszystko.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Informacje z Rzeszowa o przypadkach groźnego zapalenia płuc wywołanego bakterią *Legionella pneumophila* zelektryzowały media, opinię publiczną i służby państwowe z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego włącznie. Pojawiły się różne teorie: że epidemia została wywołana przez rosyjskie służby specjalne, że bakteria została przywleczona przez Ukraińców, że przywlekli ją amerykańscy żołnierze, których na Podkarpaciu są dziś tysiące, a przecież śmiertelnie groźne zapalenie płuc po raz pierwszy pojawiło się 47 lat temu w USA...

Odkrycie McDade'a

Kilka tygodni po uroczystych obchodach 4 lipca 1976 r. 200-lecia ogłoszenia Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych do Filadelfii przybyły setki członków Legionu Amerykańskiego, wpływowej organizacji zrzeszającej kombatantów, by wziąć udział w dorocznej konwencji stanowej. Część z nich zakwaterowano w hotelu Bellevue-Stratford. Parę dni po zakończeniu konwencji ponad 200 jej uczestników zachorowało na ciężkie zapalenie płuc, w wyniku którego zmarło 29 osób. Władze przyjęły, że mają do czynienia z nieznaną epidemią, i zleciły ustalenie jej przyczyn Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom. To federalna agencja podlegająca Departamentowi Zdrowia i Opieki Społecznej, której zadaniem jest ochrona zdrowia i bezpieczeństwa publicznego.

Sprawą zajęł się zespół naukowców kierowany przez 36-letniego mikrobiologa Josepha McDade'a. Specjalizował się on w badaniu chorób przenoszonych przez pchły, wszy i kleszcze na ludzi i zwierzęta. Jak później wspominał, wydawało mu się mało prawdopodobne, by takie było źródło choroby, na którą zapadli uczestnicy konwencji Legionu Amerykańskiego, gdyż weterani nie mieli kontaktu ze zwierzętami domowymi. Czy wobec tego powodem były niepasteryzowane wyroby mleczne? Ten kierunek również okazał się ślepym zaułkiem.

Legionella i inne bakterie

Najczęstszą przyczyną zgonów na chorobę legionistów jest źle postawiona diagnoza lekarska



Bakterię *Legionella pneumophila* odkrył amerykański mikrobiolog Joseph McDade na przełomie 1976 i 1977 r.

Przełom nastąpił w okolicach Bożego Narodzenia. Jeden z rozmówców McDade'a powiedział mu, że jest bardzo zawiedziony brakiem postępów w tej sprawie. Mikrobiolog wrócił do laboratorium i zaczął przeglądać wyniki dotychczasowych badań. Jego uwagę zwróciły fragmenty tkanek świnki morskiej, których użyto podczas wstępnych testów. Pod mikroskopem zauważył niewielkie organizmy w kształcie pręcików. Początkowo zignorowano je, gdyż nie było ich wiele, lecz tym razem McDade znalazł fragment tkanki ze skupiskiem owych pręcików. To był strzał w dziesiątkę.

Po jakimś czasie zespołowi, którym kierował, udało się namnożyć tajemniczy organizm, który okazał się nieznaną wcześniej bakterią. Nazywano ją *Legionella pneumophila*. To ona była odpowiedzialna za

przypadki ciężkiego zapalenia płuc, na które zapadli weterani, członkowie Legionu Amerykańskiego.

Później naukowcy odkryli, że wywołuje ona też łagodniejszą chorobę, którą nazwano gorączką Pontiac. W 2014 r. Joseph McDade przeszedł na emeryturę. Obecnie jest członkiem krajowej naukowej rady doradczej ds. bezpieczeństwa biologicznego przy Narodowym Instytucie Zdrowia.

Groźniejsza niż COVID-19

Choroba legionistów nie jest w Polsce niczym nadzwyczajnym. Rocznie rejestrowanych jest od 70 do ponad 100 przypadków. Specjaliści zakładają, że maksymalnie może ich być trzy razy więcej. W przeszłości z powodu groźnego zapalenia płuc wywołanego tą bakterią umierało rocznie kilka ▶

► osób. Nic dziwnego, że media się tym nie interesowały.

Ognisko legionelli w Rzeszowie wzbudziło niepokój nie tyle z uwagi na pojawienie się nieznanego szczepu bakterii, ile ze względu na liczbę zgonów. Przy zapaleniu płuc wywołanym tym patogenem śmiertelność sięga 10% zarażonych i jest znacznie wyższa niż w przypadku COVID-19

Nad Wisłą rocznie rejestrowanych jest od 70 do ponad 100 przypadków legionellozy. W krajach południa Europy czy w Niemczech – od 700 do ponad 1000.

(od 0,5% w Europie i Stanach Zjednoczonych do 2% w niektórych krajach) czy grypy (od 0,025% do 0,05%). Jednak nie stanowi ona tak wielkiego wyzwania dla służby zdrowia jak np. COVID-19, gdyż bakterie *Legionella pneumophila* nie przenoszą się z człowieka na człowieka jak grypa czy wirus SARS-CoV-2. Dlatego zarażeń będzie znacznie mniej.

Na 30 sierpnia br. stwierdzono w Polsce 16 zgonów, a na Podkarpaciu 150 zakażeń, głównie wśród osób starszych z chorobami współistniejącymi. Władze nie są w stanie ustalić, co pierwotnie było źródłem bakterii. Wiadomo, że można się z nimi zetknąć, wdychając wodny aerozol rozpylany przez klimatyzację, prysznice, kurtyny wodne, na basenach itp. Natomiast wypicie szklanki wody, w której są te bakterie, nie wywołuje ciężkiego zapalenia płuc. Co więc się stało w Rzeszowie?

Przy czym nie wspomniano, że najczęstszą przyczyną zgonów związanych z legionellą jest źle postawiona diagnoza lekarska. Pacjent z objawami zapalenia płuc leczony jest w sposób standardowy, tymczasem ten przypadek wymaga innego zestawu antybiotyków. A jaki lekarz rodzinny w Polsce zleca przeprowadzenie testów laboratoryjnych na obecność bakterii *Legionella pneumophila*? Jeśli nawet w szpitalu specjaliści zorientują się, z czym mają do czynienia, często jest za późno, by uratować pacjenta.

Dzieje się tak nie tylko w Polsce. W południowej Europie czy w Niemczech, gdzie rocznie odnotowuje się

od 700 do ponad 1000 przypadków choroby legionistów, nie prowadzi się masowego testowania chorych pod tym kątem. Dlaczego? Ponieważ w Polsce – podobnie jak w innych krajach – na zapalenie płuc rocznie choruje jedna osoba na 100. Najczęściej umierają ludzie starsi, cierpiący na choroby przewlekłe, z obniżoną odpornością. Dla młodych osób

zestknięcie się z bakterią najprawdopodobniej skończy się podobną do grypy gorączką Pontiac. Bez poważniejszych powikłań.

Leczenie choroby legionistów polega na stosowaniu antybiotyków, erytromycyny lub klarytromycyny. Chorzy często wymagają opieki szpitalnej. Zapewne ten fakt spowodował wzrost zainteresowania sytuacją w Rzeszowie, zwłaszcza że mamy w pamięci to, co działo się w czasie pandemii COVID-19. Dziś jest więcej niż pewne, że jeśli nawet wybuchną kolejne ogniska tej choroby, do tak wielkiego dramatu jak w latach 2020-2021 nie dojdzie.

Pacjent z objawami zapalenia płuc leczony jest w sposób standardowy, tymczasem legionelloza wymaga innego zestawu antybiotyków.

Za to pojawienie się legionelli nad Wisłą powinno zwrócić naszą uwagę na inne choroby wywoływane przez obecne w wodzie bakterie i wirusy. Jest ich znacznie więcej, większa jest też skala zachorowań.

Groźne bakterie w groźnej wodzie

W 2020 r. Amerykanie opublikowali dane, z których wynikało, że 17 obecnych w wodzie patogenów jest przyczyną kilkunastu chorób. Najbardziej znaną i bardzo groźną obecną w wodzie bakterią jest przecinkowiec cholery, wywołujący chorobę, która przez stulecia dziesiątkowała ludzkość.

W 1854 r. brytyjski lekarz John Snow odkrył, że źródłem epidemii cholery w Londynie nie jest „złe powietrze”, jak wówczas powszechnie sądzono, ale pompa przy Broad Street (obecnie ulica ta nosi nazwę Broadwick Street), z której okoliczni mieszkańcy czerpali wodę. Fakt ten upamiętnia tablica na budynku, który stanął na miejscu słynnej pompy. 30 lat później niemiecki lekarz Robert Koch odkrył przecinkowca cholery i dzisiaj ta choroba nie stanowi w Europie wyzwania. W Niemczech co jakiś czas pojawiają się informacje o tragicznych skutkach kąpiei w Bałtyku. Obecne w wodzie przecinkowce z rodzaju *Vibrio* wywołują groźne dla zdrowia zakażenia ran, a nawet sepsę. W 2019 r. odnotowano 11 takich zakażeń, których ofiarą padły osoby starsze, mające problemy z układem odpornościowym, wątrobą lub chorujące na cukrzycę. Przypuszcza się, że mogło być ich więcej, gdyż w Niemczech nie ma obowiązku rejestrowania zakażeń tymi przecinkowcami.

O wiele częstsze są ostre zakażenia układu pokarmowego przez obecne w wodzie bakterie *Campylobacter jejuni*. W Stanach Zjednoczonych rocznie notuje się 2,4 mln takich przypadków. Objawami choroby są wysoka gorączka, biegunka,

mdłości, osłabienie. Zazwyczaj po kilku dniach objawy ustępują, lecz w przypadku osób o obniżonej odporności może się rozwinąć ogólnoustrojowa infekcja lub posocznica.

W podobny do choroby legionistów sposób rozprzestrzenienia się mykobakterioza płuc, wywołwana przez zakażenie prątkami niegruźliczymi. Wystarczy nawdychać się wodnego aerozolu, w którym znajdują się prątki, by pojawił się przewlekły lub nawracający kaszel, często z wykrztuszaniem wydzieliny. Ponadto mogą wystąpić osłabienie, zmęczenie, stany podgorączkowe, duszność, krwioplucie, ból w klatce piersiowej, chudnięcie. Do tej pory opisano ponad

125 gatunków prątków niegruźliczych i stale pojawiają się nowe.

Rodzice małych dzieci powinni zwrócić szczególną uwagę na norowirusy. Można się z nimi zetknąć w szpitalach, domach opieki i przedszkolach. Najczęstsze objawy to nudności, wymioty, bóle brzucha, wodnista biegunka wskazujące na ostre zapalenie żołądka oraz gorączka. Co gorsza, norowirusy są odporne na pasteryzację oraz stężenia stosowanych do dezynfekcji związków chloru poniżej 6,25 mg/l. Podgrzanie wody do temperatury 60 st. C unieszkodliwia norowirusy dopiero po 30 minutach. Na meblach, wyposażeniu łazienki i innych powierzchniach mogą one przetrwać nawet siedem dni. Dlatego w szpitalach i innych placówkach opieki tak surowo powinny być przestrzegane zasady higieny.

Zapomnianą chorobą jest czerwotka bakteryjna (dysenteria) wywoływana przez pałeczki *Shigella*.

W Polsce rocznie odnotowujemy ok. 300 przypadków. Czerwonką można się zarazić, nie przestrzegając zasad higieny i pijąc nieprzegotowaną wodę. W przeszłości choroba ta występowała znacznie częściej, zwłaszcza w czasie wojen.

Przy zapaleniu płuc wywołanym legionellą śmiertelność sięga 10% zarażonych i jest znacznie wyższa niż w przypadku COVID-19.

Na szczęście nie mamy w Polsce do czynienia z pałeczkami ropy błękitnej (*Pseudomonas aeruginosa*) i bakterią *Acinetobacter baumannii*, które są uważane za najgroźniejsze, gdyż są odporne na większość znanych nam antybiotyków. W przypadku zakażeń nimi ryzyko śmierci jest bardzo wysokie. Gdzie można się z nimi zetknąć? Jak zwykle w szpitalach, domach spokojnej starości, przychodniach itp.

I gotujemy wodę. Już starożytni Egipcjanie wiedzieli, że picie wody nieprzegotowanej może być groźne dla zdrowia, dlatego preferowali do posiłków piwo, które, będąc wynikiem fermentacji, stanowiło bezpieczniejszą alternatywę. Średniowieczna

Europa także stawiała na produkty fermentacji – piwo i wino. Na przełomie średniowiecza i renesansu pojawiły się produkty destylacji, czyli wódka i jej pochodne, mające bez wątpienia działanie bakteriobójcze. To, że dziś najczęściej pijemy wodę, wynika z faktu, że jest ona czysta, bezpieczna. Na ogół.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl



Żyję dzięki
Dawcy szpiku.
HANIA

POMOŻESZ?
BO MOŻESZ.
MASZ TO
W GENACH!

ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU!

ZAREJESTRUJ SIĘ NA
dkms.pl

ZBRODNIA JUNTY PINOCHETA

Dokonany 50 lat temu zamach stanu w Chile został zainspirowany przez USA i przeprowadzony z zakulisowym wsparciem CIA

Bohdan Piętko

11 września 1973 r. światowa opinia publiczna została zaskoczona wiadomością o wojskowym zamachu stanu w Chile. Z dzisiejszej perspektywy nie był to tylko kolejny przewrót w Ameryce Łacińskiej, ale jedno z kluczowych wydarzeń drugiej połowy XX w. To w rządzonym w latach 1973-1990 przez juntę gen. Augusta Pinocheta Chile powstał poligon dla neoliberalizmu gospodarczego. To tam „Chicago Boys”, czyli uczniowie Milтона Friedmana, testowali ustrój gospodarczy, który na przełomie lat 70. i 80. przeszczepiono do Wielkiej Brytanii i USA, a po 1989 r. do byłych państw socjalistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej.

Obalenie lewicowej administracji Salvadora Allendego i eksperyment z neoliberalizmem gospodarczym zostały przeprowadzone za pomocą brutalnego terroru, który na kilkanaście lat sparaliżował ten kraj strachem. O tym zwykle nie chcieli pamiętać politycy i dziennikarze, którzy propagowali neoliberalizm najpierw na Zachodzie, a potem w byłym bloku wschodnim. Także w Polsce, gdzie po 1989 r. szybko wprowadzono przetestowane w Chile neoliberalne wynalazki, takie jak masowa prywatyzacja (w tym systemu emerytalnego i usług publicznych), redukcja wydatków na cele społeczne (zaciskanie pasa) i rugowanie państwa z gospodarki. Mimo skompromitowania się tej ideologii gospodarczej po kryzysie światowym 2008 r. nadal nie brakuje

jej zwolenników. Dlatego w 50. rocznicę zamachu stanu w Chile zasadne jest przypomnienie o terrorze junty Pinocheta.

Dzisiaj już wiadomo, że zamach stanu w Chile został zainspirowany przez USA i przeprowadzony z zakulisowym wsparciem CIA. Kluczową rolę w tych działaniach odegrał Henry Kissinger – wówczas doradca ds. bezpieczeństwa administracji Richarda Nixona. Przed 1970 r., czyli objęciem władzy przez Salvadora Allendego, Chile miało ogromne znaczenie dla gospodarki amerykańskiej. Bogate złoża surowców mineralnych, zwłaszcza miedzi, były eksploatowane przez amerykański sektor wydobywczy i energetyczny. To wszystko

marksistą, że wspiera go ZSRR, co może doprowadzić do przekształcenia Chile w drugą Kubę i efektu domina – czyli zwycięstwa komunizmu w całej Ameryce Łacińskiej. Tezy te do dzisiaj chętnie powiela prawicowa publicystyka. W rzeczywistości początkowe poparcie Kremla dla przywódcy Chile szybko osłabło. Dominujący w otoczeniu Breżniewa dogmatycy odnosili się nieufnie do Allendego jako demokratycznego socjalisty. Uważali, że może on stać się problemem jak w Jugosławii Tito, który obrał narodową drogę do socjalizmu, zamiast kopiować model radziecki. Dlatego Moskwa pozostawiła prezydenta Chile samego w obliczu przewrotu wojskowego.

Śmierć prezydenta Allendego rozpoczęła masakrę jego zwolenników. W ciągu 18 dni od przewrotu życie straciło w Chile prawie 15 tys. osób.

zaczęło się sypać, gdy w wyniku demokratycznych wyborów doszedł do władzy Allende ze wspierającą go lewicową koalicją Jedności Ludowej (Unidad Popular).

Waszyngton-Kreml

Nacjonalizacja bogactw naturalnych Chile przyniosła ogromne straty gospodarce i budżetowi USA. Straty te na pewno nie pozostały bez wpływu na militarną klęskę USA w Wietnamie. Tego Allendemu nie wybaczone. Amerykańska propaganda głosiła, że jest on nieobliczalnym

Często podkreśla się, że przewrót ten ułatwiły jego nieprzemyślane reformy społeczno-gospodarcze, że właśnie one miały doprowadzić do gigantycznej inflacji i zrujnowania gospodarki Chile. To tylko połowa prawdy. Druga połowa jest taka, że amerykańska administracja Nixona od początku podkopywała gospodarkę Chile i władzę Allendego. Już w czasie kampanii wyborczej w 1970 r. Biały Dom wyłożył znaczące fundusze, by nie dopuścić do zwycięstwa kandydata Jedności Ludowej. Gdy to się nie udało, chciało doprowadzić do zamachu stanu



Gen. Augusto Pinochet i prezydent Salvador Allende, 23 sierpnia 1973 r. Kilkanaście dni później Pinochet przejął władzę w Chile.

przed zaprzysiężeniem nowego prezydenta. CIA zleciła i opłaciła wtedy porwanie gen. René Schneidera, głównodowodzącego chilijskich sił zbrojnych. Podczas próby porwania 22 października 1970 r. przez ultrapravicowych oficerów Schneider został postrzelony i zmarł trzy dni później. CIA miała nadzieję, że pozbawiona kontroli armia dokona przewrotu i nie dopuści do objęcia władzy przez Allendego. Tak się jednak nie stało. Siły zbrojne okazały wówczas lojalność nowemu prezydentowi.

Sojusznikami USA stali się w Chile właściciele ziemscy, więksi przedsiębiorcy i hierarchowie kościelni. Grupy te – powiązane (także rodzinie) z wyższym korpusem oficerskim i prawicą – były niezadowolone szczególnie z reformy rolnej, częściowej nacjonalizacji przemysłu, państwowej regulacji cen i płac oraz wprowadzenia bezpłatnego szkolnictwa i ochrony zdrowia. Prezydent

Richard Nixon polecił sprawić, by „gospodarka Chile zawyla z bólu”. USA zerwały wszelką współpracę z tym krajem, co faktycznie oznaczało blokadę gospodarczą, podobną do blokady Kuby. Fala strajków, która przetoczyła się przez Chile w 1972 i 1973 r. w związku z pogarszaniem się sytuacji gospodarczej, była wspierana przez wyższe klasy społeczne i prawicę. Słynny strajk właścicieli prywatnego transportu, który sparaliżował kraj, został najprawdopodobniej sfinansowany przez CIA.

Od początku 1973 r. sytuacja wewnętrzna Chile stawała się coraz trudniejsza. Upadała gospodarka, a prawica otwarcie parla do konfrontacji z lewicowym prezydentem. Do pierwszej próby zamachu stanu doszło 29 czerwca 1973 r., kiedy ppłk Roberto Souper rozkazał swojemu pułkowi czołgów otoczyć pałac prezydencki. Pucz się nie udał, zginęło 22 cywilów. Śmiertelnym błędem

Allendego było odwołanie pod naciskiem prawicy 23 sierpnia 1973 r. wiernego mu głównodowodzącego armii gen. Carlosa Pratsa i mianowanie na jego miejsce Pinocheta.

11 września 1973 r. około godz. 9 wojsko otoczyło pałac prezydencki La Moneda i rozpoczęło szturm. Budynku broniła nieliczna ochrona osobista prezydenta. Allende wygłosił przez radio ostatnią mowę do narodu. Powiedział, że wierzy w przyszłość wolnego kraju. W południe pałac został zbombardowany przez samoloty. Około godz. 13 podano do wiadomości publicznej, że prezydent popełnił samobójstwo.

Allende był jedną z pierwszych ofiar puczu, w wyniku którego wprowadzono w Chile na 17 lat brutalną dyktaturę wojskową. Według relacji lekarza Patricia Guijóna i dwóch innych współpracowników prezydent miał się zastrzelić z kałasznikowa. Taką jest oficjalna wersja utrzymywana do dzisiaj. Jej przeciwnicy twierdzą, że Allende żył jeszcze, gdy o godz. 13 puczyści podali w mediach informację o jego samobójstwie. Według relacji niektórych świadków ciało prezydenta było zmasakrowane od kul, a egzekucji dokonali żołnierze, którzy po godz. 14 wtargnęli do pałacu La Moneda.

Śmierć Salvadora Allendego rozpoczęła masakrę jego zwolenników. W ciągu 18 dni od przewrotu życie straciło prawie 15 tys. osób. Dwie główne areny sportowe Santiago de Chile – Estadio Nacional i Estadio Chile – zostały zamienione w obozy koncentracyjne. Umieszczono tam ok. 40 tys. więźniów politycznych: działaczy partii Unidad Popular, związkowców i przedstawicieli lewicowej inteligencji. Brutalnie ich przesłuchiowano i niejednokrotnie mordowano. Na Estadio Chile został zamordowany legendarny bard, poeta i reżyser teatralny Víctor Jara (1932-1973) – jedna z najbardziej znanych postaci lewicowej kultury za rządów Allendego, współtwórca gatunku muzycznego i ruchu społecznego Nueva canción chilena (Nowa pieśń chilijska). Przed zatrzymaniem Jara zdołał pozbyć się dokumentów. Mimo to został rozpoznany przez wojskowych. Jego kaźń na Estadio ▶

► Chile trwała cztery dni. Ciało muzyka podziurawione 44 kulami porzucono na ulicy. Dziś stadion nosi jego imię.

Karawana Śmierci

Z południa na północ kraju poruszała się tzw. Karawana Śmierci. Była to grupa złożona z kilku oficerów i dwóch szeregowców. Podróżowali helikopterem Puma. Pomiedzy 30 września a 22 października

związków byłych więźniów politycznych torturom poddano ok. 400 tys. osób).

Najbardziej złowrogim słowem w Chile stał się skrót DINA. Tę tajną służbę pod kierownictwem gen. Manuela Contrerasa utworzono w listopadzie 1973 r. (w 1977 r. zastąpiła ją CNI – Narodowe Centrum Informacji). Drugim złowrogim słowem stało się *desaparecidos* (dosłownie: zniknięci). Tak nazywano osoby, które

(Brygada Lautaro) i nadzorował tortury w Villa Grimaldi. W 2006 r. został skazany na 144 lata więzienia za udział w 20 zbrodniach przeciwko ludzkości. Po kolejnych wyrokach zasądzono mu ogółem 1007 lat pozbawienia wolności. Warto dodać, że Krasnoff oprócz akademii wojskowej w Chile ukończył tzw. Szkołę Ameryk – tajną szkołę CIA w Strefie Kanału Panamskiego, gdzie szkolono do walki z komunizmem oficerów służb specjalnych i członków szwadronów śmierci. Przeszkolono tam ok. 50 tys. wojskowych z Ameryki Łacińskiej, w tym niektórych przywódców junt (dlatego nazywano ją też „szkołą dyktatorów”).

Ogółem w latach 1974-1978 przez obóz tortur Villa Grimaldi przeszło ok. 5 tys. więźniów, z których co najmniej 240 zostało zamordowanych. Wielu było działaczami radykalnego Ruchu Lewicy Rewolucyjnej (MIR). Inne znane obozy tortur to Colonia Dignidad i Pisagua. W raporcie Valecha czytamy: „Świadomie lub nieświadomie cały kraj pogrążył się w konspiracyjnej ciszy dotyczącej torturowanych ludzi. Przetrzymanie w aresztach oraz tortury były polityką rządu w czasach reżimu, ustalaną i promowaną przez wpływowych polityków. Do tego celu zorganizowano środki, ludzi z różnych organizacji, ustanowiono dekrety

W Polsce po 1989 r. wprowadzono przetestowane w Chile neoliberalne wynalazki, takie jak masowa prywatyzacja, redukcja wydatków na cele społeczne i rugowanie państwa z gospodarki.

1973 r. wizytowali areszty wojskowe na prowincji i osobiście przeprowadzili egzekucje 97 osób. Większość tych ofiar dobrowolnie zgłosiła się po 11 września do garnizonów wojskowych, żeby uniknąć posądzenia o udział w aktach przemocy. Karawaną Śmierci dowodzili gen. Sergio Arellano Stark i ppłk Sergio Arredondo González. Ponadto w skład tego szwadronu śmierci wchodziły czołowe postacie późniejszej tajnej policji – Narodowej Dyrekcji Wywiadu, DINA: kpt. Marcelo Moren Brito, późniejszy komendant obozu tortur Villa Grimaldi, oraz mjr Pedro Espinoza Bravo i por. Armando Fernández Larios – późniejsi organizatorzy zabójstw politycznych w ramach operacji Kondor.

Kiedy zakończył się okres największego terroru pierwszych tygodni po zamachu stanu, rozpoczął się okres terroru wyselekcjonowanego i zinstytucjonalizowanego. Trwał on w zasadzie do końca dyktatury, aczkolwiek jego największe natężenie objęło okres do 1977 r. Terror ten według ustaleń powołanej w 1990 r. komisji Rettiga pochłonął 3197 ofiar śmiertelnych (2095 zamordowanych i 1102 „zaginionych”). Natomiast według raportu Narodowej Komisji ds. Więźniów Politycznych i Tortur w Chile (tzw. raport Valecha) z 2004 r. co najmniej 29 tys. osób było w latach 1973-1990 torturowanych i w większości trwale okaleczonych fizycznie oraz psychicznie (zdaniem chilijskich

zaginęły, tzn. zostały zamordowane w nieznanach okolicznościach, a ich ciał nie odnaleziono.

DINA odpowiadała za aresztowania, morderstwa i tortury osób podejrzewanych o związki z lewicą. Jej funkcjonariusze prowadzili m.in. tajny obóz tortur Villa Grimaldi na przedmieściach Santiago. Jedną z najbardziej bestialskich tortur tam stosowanych był tzw. grill (*la parilla*), czyli rażenie więźnia prądem elektrycznym za pomocą elektrod podłączonych do wrażliwych części ciała, w tym genitaliów. Jako formę nacisku psychicznego stosowano równoczesne torturowanie w ten sposób członków rodziny.

Śmiertelnym błędem Allendego było odwołanie pod naciskiem prawicy 23 sierpnia 1973 r. wiernego mu głównodowodzącego armii gen. Pratsa i mianowanie na jego miejsce Pinocheta.

Obok wspomnianego Morena Brita katowaniem więźniów w Villa Grimaldi kierował kapitan (później brygadier) Miguel Krasnoff Martchenko – wnuk kozackiego atamana Piotra Krasnowa i syn białogwardzisty Siemiona Krasnowa. Obaj w czasie II wojny światowej byli hitlerowskimi kolaborantami. Wydani przez aliantów ZSRR, zostali straceni. Żona Siemiona, Dina Marczenko, uciekła z synem Michaiłem do Chile, gdzie stał się on Miguelem Krasnoffem. Jako oficer DINA służył w specjalnej jednostce eksterminacyjnej

oraz prawo, które chroniło takie represyjne zachowania”.

Przed komisją Valecha zeznało 3399 kobiet. Większość była w różnym stopniu napastowana seksualnie, co było jedną z głównych metod łamania psychicznego więźniarek politycznych przez DINA. 316 kobiet zostało zgwałconych. 229 z nich zatrzymano podczas ciąży. Z powodu cierpień wywołanych torturami w 20 przypadkach doszło do przerwania ciąży, a w 15 do przedwczesnych narodzin w więzieniu. 13 kobiet zeznało, ►

PRZEGLĄD na Jesiennych Targach Książki

8-10 września, plac Defilad 1 w Warszawie
stoisko nr 9/C w namiocie C przed Kinoteką

Zapraszamy po dedykacje i książki w promocyjnych cenach!

Spotkaj się z naszymi autorami:

piątek, 8 września

- godz. 16.00-17.00 – **Piotr Ciszewski**,
„Robotnicza Warszawa 1918-1939” **PREMIERA!**

sobota, 9 września

- godz. 13.00-14.00 – **Robert Walenciak**, „Gambit Jaruzelskiego”
- godz. 14.00-15.00 – **Jerzy Domański**, tygodnik „Przegląd”
- godz. 15.00-16.00 – **Tomasz Turowski**, „Chichot hieny”

niedziela, 10 września

- godz. 14.00-15.00 – **Paweł Dybicz**, pakiet „Zakłamana historia powstania”
- godz. 15.00-16.00 – **Tomasz Turowski**, pakiet „Zabij pożyczonym mieczem”



Bądź z nami! Wstęp na targi jest bezpłatny



WARSZAWA, JAKIEJ NIE ZNACIE!

STRAJKI * POLICYJNE PAŁKI * STARCIA GANGÓW



**Kolejna książka
Piotra Ciszewskiego**

42 zł

PREMIERA!

Zamów też na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka
listem nierejestrowanym Poczta Polska.

eprasa.pl 8492e2260f





W kwietniu 1987 r. gościem chilijskiego dyktatora był papież Jan Paweł II.

► że zaszło w ciążę w wyniku gwałtów dokonanych przez funkcjonariuszy DINA, a sześć z tych cięż skończyło się urodzeniem dzieci.

Ryngraf dla Pinocheta

Aresztowania przeprowadzano bardzo brutalnie, w obecności dzieci, zwykle w środku nocy, z krzykami, strzałami i grożeniem śmiercią osobom zatrzymanym i członkom ich rodziny, co samo w sobie tworzyło atmosferę terroru i zastraszenia w całym kraju. W ośrodkach DINA panowały skandaliczne warunki bytowe, połączone ze stałym naciskiem psychologicznym. Każdy zatrzymany był doprowadzany do aresztu z zawiązanymi oczami. W podobny sposób doprowadzano aresztantów na brutalne przesłuchania.

Funkcjonariusze DINA uczestniczyli nie tylko w terrorze na terenie Chile, ale także w tzw. operacji Kondor. Była to kampania wywiadowczo-terrorystyczna przeciwko lewicowej opozycji politycznej przeprowadzona w latach 70. przez służby specjalne Argentyny,

Marek Jurek, Michał Kamiński i Tomasz Wótek związani z Akcją Wyborczą Solidarność po zatrzymaniu Pinocheta w areszcie domowym w Wielkiej Brytanii zawieźli mu ryngraf z Matką Boską Częstochowską.

Boliwii, Brazylii, Chile, Paragwaju i Urugwaju przy współpracy służb specjalnych Kolumbii, Peru, Wenezeli i niejawnej pomocy USA. Według odnalezionych w grudniu 1992 r. w Paragwaju tzw. archiwów terroru w wyniku operacji Kondor zamordowano

w Ameryce Łacińskiej od 50 do 80 tys. osób, a 400 tys. uwięziono. Jednym z inicjatorów operacji Kondor był szef DINA Manuel Contreras. W ten sposób junta Pinocheta rozlała terror na całą Amerykę Łacińską, stając się wzorcem dla dyktatur wojskowych w innych krajach regionu.

W ramach operacji Kondor DINA rozprawiała się z chilijskimi emigrantami politycznymi. 30 września 1974 r. wybuch bomby podłożonej w samochodzie przez agenta DINA zabił w Buenos Aires gen. Carlosa Pratsa i jego żonę. Dwa lata później w ten sam sposób został zabity w Waszyngtonie Orlando Letelier – były minister spraw zagranicznych w administracji prezydenta Allendego. Natomiast chadecki polityk Bernardo Leighton i jego żona zostali ciężko ranni w wyniku zamachu na ich życie zorganizowanego przez DINA w Rzymie.

To tylko najważniejsze przykłady terrorystycznej działalności junty gen. Augusta Pinocheta. W celu wybielenia junty przypisano jej rządowi tzw. chilijski cud gospodarczy z przełomu lat 80. i 90. Faktycznie zaś totalna prywatyzacja dwukrotnie doprowadziła w Chile do załamania gospodarki (w 1975 i 1982 r.) oraz bezrobocia na poziomie 30% (10 razy większego niż wtedy, gdy rządził Allende). To wyjaśnia, dlaczego był potrzebny aż taki terror. Z narodowej traumy, którą spowodowały 17-letnie rządy junty wojskowej, Chile wychodziło przez 30 lat i nie przewyciężyło jej w pełni do dzisiaj.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia dla Marka Jurka, Michała Kamińskiego i Tomasza Wółka,

związanych z Akcją Wyborczą Solidarność, którzy po zatrzymaniu w 1998 r. Pinocheta w areszcie domowym w Wielkiej Brytanii zawieźli mu ryngraf z Matką Boską Częstochowską.

Bohdan Piętka

Z Galicji



Jan Widacki

Kali był Polakiem

Kali, afrykański chłopak, postać stworzona przez Henryka Sienkiewicza w powieści „W pustyni i w puszczy”, uważał, że złym uczynkiem jest, gdy „ktoś Kalemu ukraść krowę”, dobrym, gdy „Kali ukraść komuś krowę”. Takie podejście do wartości zwykło się u nas nazywać moralnością Kalego. Nie trzeba się udać w podróż po Afryce śladami Stasia i Nel, by natrafić na Kalego i jego moralność. Wystarczy się rozejrzeć dokoła.

Przed kilkoma laty, gdy PiS po raz pierwszy sprzeciwiało się przyjęciu przez Polskę uchodźców, a prezes straszył, że roznoszą oni liczne choroby i pasożyty, jeden z kandydatów do Sejmu z listy PiS porozwieszał na Podhalu banery ze swoim hasłem wyborczym: „Stop nielegalnej imigracji!”. Mógłby ktoś pomyśleć, że tutaj takie hasło dla kandydata do Sejmu będzie samobójcze. Jak coś takiego głosić na Podhalu, gdzie w co drugiej rodzinie jest ktoś, kto albo nielegalnie wyemigrował do Ameryki, albo nielegalnie w Ameryce jako emigrant

Jeśli to przyciągnie „dularowych” klientów, Franek swojej Kaśce każe założyć hidżab.

przebywa i pracuje na czarno? Nic bardziej mylnego! Hasło to zyskało powszechną aprobatę. Nikt tego nie wziął do siebie. No skądże! Przecież to coś dobrego, gdy Kali nielegalnie emigruje do Stanów, a oczywiście złego, gdy ktoś chce emigrować do kraju Kalego.

Oglądający TVP Info mieszkaniowiec jednej z beskidzkich wiosek bardzo był oburzony na tych złodziei z Platformy, o których tyle się nasłuchał w telewizji. Wszystkich ich by wsadził do kryminału albo nawet powiesił. Swoje radykalne poglądy wygłasza do swojego znajomego, otwierając podrabianym kluczem szlaban, by wywieźć kradzione z państwowego lasu drewno. No bo jak Kali ukraść drewno, to dobry uczynek...

„Stop islamizacji Polski!”, „Stop imigrantom muzułmanom!”. Któż na Podhalu nie popiera tych haseł prawicy! Bo to nie tyle o tych ludzi chodzi, ile o ich kulturę. Obcą naszej, chrześcijańskiej – przekonywał mnie miejscowy mądry. Pech chciał, że wygłaszał te mądrości

w Zębnie, na tle kiosku z kebabem, ozdobionego napisami: „Halal”. W alfabecie łańskim i arabskim. Tym, którzy jeszcze się oparli islamizacji i nie wiedzą, co to halal, od razu wyjaśniam. Halal to islamskie określenie wszystkiego, co dozwolone prawem szariatu. Oddośnienie do gastronomii jest to zapewnienie, że potrawy są dozwolone dla prawowitych muzułmanów, że nie ma w nich wieprzowiny, a inne mięsa pochodzą z uboju rytualnego.

W samym Zakopanem i okolicy pojawiło się mnóstwo turystów z krajów arabskich. Na Krupówkach widziałem dziesiątki muzułmańskich kobiet odzianych w burki, czadory, czarczafy, kwefy, hidżaby czy nikaby i ani jednej w stroju góralskim. Chiński turysta, o którym było głośno, bo do Morskiego Oka wybrał się według wskazań GPS, tnąc w poprzek Orlej Perci, skąd go TOPR ściągnął i bezpiecznie sprowadził na dół, gdy wróci do domu, ochłonie ze swojej tatrzańskiej przygody i będzie opowiadał także o innych wrażeniach z polskich gór, strój góralski opisze zapewne jako składający się z burki, kwefu, hidżabu...

Ale ci turyści z Bliskiego Wschodu zostawiają dudki... To dla nich ten halal kebab i stosowne napisy po arabsku. Hasło „Stop islamizacji Polski” wymaga więc pewnej korekty. „Stop darmowej islamizacji Polski!”. Za dudki – czemu nie? Jeśli to przyciągnie „dularowych” klientów, Franek swojej Kaśce każe założyć hidżab. Przecież dobrze płacący w Zakopanem Arab to zupełnie co innego niż Arab znaleziony w Puszczy Białowieskiej. „Ciapaty”, znaczy się. On nawet kebaba nie kupi, po co mu budkę z kebabem po arabsku opisywać, męczyć się z rytualnym ubojem... On niech wraca, skąd przyszedł, niech nie roznosi chorób i pasożytów, przed którymi przestrzegał prezes, i niech swoją dziadowską obecnością nie islamizuje Polski, co to od wieków była przedmurzem chrześcijaństwa, a teraz znów jest jego przedpłociem i przeddrukiem. Bo Polak jest katolik i miłuje bliźniego jak siebie samego i nie chce, by ktoś mu te święte chrześcijańskie zasady islamem pokalał.

Jak widać, Sienkiewicz przypisał wymyślonemu przez siebie młodemu Afrykańczykowi Kalemu mentalność, którą znał z Polski. Moralność Kalego to nie wpływ obcej, murzyńskiej kultury. To coś swojskiego, od wieków starannie pielęgnowanego. To nasze, polskie. No i „dobre, bo polskie”.

Ameryka potrzebuje prawdziwej debaty o polityce zagranicznej

Tysiące Amerykanów zginęło, dziesiątki tysięcy zostało rannych przez krwawą pychę Waszyngtonu

Doug Bandow

20 lipca br. w witrynie internetowej Cato Institute (Instytutu Katona) ukazał się tekst Douga Bandowa o potrzebie głębokiej rewizji amerykańskiej polityki zagranicznej: cato.org/commentary/america-requires-real-foreign-policy-debate#. Tekst, którego fragmenty prezentujemy poniżej, stał się następnie przedmiotem komentarzy w innych amerykańskich mediach. Krytyka Bandowa podąża podobnymi ścieżkami jak krytyka – obecnego na łamach PRZEGŁĄDU – Andrew J. Bacevicha. Koncentruje się m.in. na zaniedbywaniu przez amerykański establishment rzeczywistych problemów Amerykanów i angażowaniu ich w awanturniczą politykę międzynarodową. Politykę, która niesie śmierć i zniszczenie w wielu miejscach na świecie.

specjalistą w zakresie polityki międzynarodowej. Był doradcą prezydenta Ronalda Reagana. Reprezentuje realistyczny nurt myślenia o polityce. Realizm – pośród wielu jego cech – oznacza ostrożność i brak awanturnictwa zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Jest wrogiem bezmyślnego interwencjonizmu, co nie musi oznaczać ciągów izolacjonistycznych. Wszystko to obecne jest w odważnej publicystyce Bandowa, jak również w jego najważniejszej książce „Foreign Follies. America's New Global Empire” (Zagraniczne szaleństwa. Nowe globalne imperium Ameryki).

•

Upadek ZSRR uwolnił świat od okropnej tyranii i globalnego zagrożenia. Jednocześnie w Waszyngtonie doprowadził do eskalacji pychy.

Doug Bandow zwraca uwagę na zaniedbywanie przez amerykański establishment rzeczywistych problemów Amerykanów i angażowanie ich w awanturniczą politykę międzynarodową.

Prezentowana analiza Bandowa nie jest jego debiutem w PRZEGŁĄDZIE. W numerze 34/2022 ukazał się jego odważny tekst „Czy Ukraina wdraża strategię obrażania sprzymierzeńców?”. Było to na długo przed tym, zanim do polskiej opinii publicznej przedostały się informacje o pojawieniu się napięć na linii Kijów-Warszawa. Przypomnijmy, że Bandow jest pisarzem politycznym, doktorem prawa (doktorat uzyskał w Stanford Law School), współpracownikiem Instytutu Katona,

Amerykańscy decydenci w zakresie polityki zagranicznej przekonani, że USA zwyciężyły – mało dbając o rolę odegraną przez Michaiła Gorbaczowa (...) – postrzegali upadek Moskwy jako zaledwie pierwszy krok. Uznali się za strażników jedynej światowej potęgi. Strażników posiadających mandat od niebios na przeobrażenie całego świata bez względu na koszty dla Amerykanów i innych narodów.

Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej wzmocniła waszyngtońskie iluzje wszechmocy. „To, co mówimy, dzieje

się”, zaintonował prezydent George H. Bush, odgrywający rolę pana wszechświata. Niestety, arogancja Wujka Sama z czasem tylko rosła. Sekretarz stanu w administracji prezydenta Clintona Madeleine Albright oświadczyła: „Jeśli musimy użyć siły, to dlatego, że jesteśmy Ameryką. Jesteśmy niezbędnym narodem. Stoimy dumnie i patrzymy w przyszłość dalej niż inne kraje, i dostrzegamy tutaj zagrożenie dla wszystkich”. (...) Niestety, niepoahamowana pycha tych, którzy dowodzą najpotężniejszą armią świata, przyniosła katastrofalne skutki. W świecie wyobrażonym przez (...) establishment amerykańskiej polityki zagranicznej jego przedstawiciele mają prawo, a nawet są zobowiązani do zabijania i niszczenia w imię stworzenia lepszego świata. Ponownie Albright wiodła tutaj prym, zadając Colinowi Powellowi niesławne pytanie: „Jaki jest pożytek z posiadania tej wspaniałej armii, o której ciągle pan mówi, jeśli nie możemy jej użyć?”. (...) Prawdopodobnie jeszcze gorzej wypadła jej odpowiedź na pytanie, czy warto było doprowadzić do śmierci pół miliona irackich dzieci w wyniku sankcji ONZ. Odpowiedziała

rzecz jasna: „Uważamy, że było warto”. W ten oto sposób amerykańscy decydenci, namaszczeni przez Boga lub przez coś, co jest jego współczesnym, świeckim odpowiednikiem, są uprawnieni do decydowania, kto żyje, a kto umiera na połowie globu. Ci w innym wypadku całkowicie nieistotni cudzoziemcy przypuszczalnie powinni czuć się zaszczytzeni, że mogą umrzeć w służbie Waszyngtonu.

Czy można coś jeszcze powiedzieć o inwazji na Irak – opartej na kłamstwie – która spowodowała

śmierć setek tysięcy mieszkańców tego kraju? Co z dwiema dekadami wojny w Afganistanie, zamieniającej kraj w rzeźnię? Czy można bronić pomocy udzielonej w celu obalenia dyktatora Libii, ignorując wynikłą

Takie działania oznaczają przedkładanie interesów obcych rządów nad interesy Amerykanów. Uznanie, że obowiązki Waszyngtonu odnoszą się nade wszystko do Amerykanów, nie jest, jak to w prymitywny sposób

oni bowiem ostatnim, najlepszym bastionem pokoju. Przykładowo, kiedy prezydent Barack Obama przedłożył Kongresowi kwestię zbombardowania Syrii z powodu rzekomego użycia przez nią broni chemicznej, naród amerykański głośno powiedział ustawodawcom, że sobie tego nie życzy. Mówiąc w sposób bardziej zasadniczy, Amerykanie powinni nalegać, aby decydenci polityczni niezależnie od barw partyjnych traktowali wojnę jako ostateczność, a nie jako kolejne narzędzie prowadzenia polityki. (...) Amerykanie nie mają w zwyczaju głosować, kierując się kwestiami polityki zagranicznej. Wydają się one tak odległe. Ale nie są. Tysiące Amerykanów zginęło, dziesiątki tysięcy zostało rannych – wielu ciężko

Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej wzmocniła waszyngtońskie iluzje wszechmocy.

z tego dekadę działań wojennych? Jeszcze bardziej groteskowo wypada pomaganie następcy tronu Arabii Saudyjskiej (...) w grabieniu, głodzeniu i zabijaniu setek tysięcy Jemeńczyków. Obecna polityka USA polega na karaniu cierpiącej ludności Syrii i Wenezueli, ponieważ żadne inne środki nie zdołały obalić dyktatorów, których Waszyngton nie lubi (...).

Pomimo ponoszonych ostatnio porażek Waszyngton nigdy się nie zmienia. Jest prawdą, że prezydent Donald Trump podjął pewne wysiłki, aby podważyć status quo, lecz dał się pokonać generałom, jeśli chodzi o kwestionowanie sojuszu NATO oraz południowokoreańskiego traktatu o „wzajemnej” obronie. Okazał się równie słaby, gdy przyszło przełamywać opór przed wycofaniem się z Afganistanu, Syrii i Iraku. Administracja Bidena zmierza obecnie w przeciwnym kierunku. Po skrytykowaniu morderczej tyranii saudyjskiej prezydent Joe Biden pokornie błagał Rijad o zwiększenie wydobycia ropy. Został okrutnie zlekceważony. (...) Inwazja Rosji na Ukrainę

przedstawiają krytycy, równoznaczne z polityką izolacjonizmu. Handel, inwestycje, imigracja i podróżowanie przysparzają Amerykanom ogromnych korzyści. USA powinny być handlowym i kulturalnym gigantem. Jednak obecni reprezentanci politycznego establishmentu wykazują

Na pytanie, czy warto było doprowadzić do śmierci pół miliona irackich dzieci w wyniku sankcji ONZ, Madeleine Albright odpowiedziała: „Uważamy, że było warto”.

niewielką troskę o tych, przed którymi rzekomo odpowiadają. Prowadzą politykę służącą zagranicznym interesom oraz własnym sojusznikom w sprawach krajowych. Firmy wspierają pomoc zagraniczną, think tanki pragną zagranicznej uwagi, bankierzy chcą zagranicznych umów, producenci broni potrzebują wojen toczonych za granicą, lobbysci służą zagranicznym klientom. (...) Tak,

– przez krwawą pychę Waszyngtonu. Gdy Stany Zjednoczone zmierzają ku jednoczesnej konfrontacji z Chinami i Rosją, przyszłość może się okazać o wiele bardziej niebezpieczna, a nawet katastrofalna.

Donald Trump pokazał, w jaki sposób bezkompromisowy, ale lepiej przygotowany prezydent może tak przeorientować politykę USA, by skupiała się na Amerykanach. Wstrząs, jakiemu doznał polityczny establishment po jego wyborze, był ogromny i zbawienny. Dziś ci, którzy czerpią korzyści z imperialnej polityki Waszyngtonu, zarówno w skali krajowej, jak i międzynarodowej, drżą na myśl o powrocie Trumpa. (...) Poważniejszy przywódca z polityką, która naprawdę stawia Amerykę na pierwszym miejscu, mógłby rozbić dzisiejszą koalicję podlegaczy wojennych, inżynierów społecznych i politycznych spekulantów. Najwyższy czas, aby poprowadzić politykę zagraniczną tak, jakby naród amerykański miał znaczenie.

*Wstęp, wybór i przekład
Piotr Kimla*

Producenci broni potrzebują wojen toczonych za granicą.

wywarła presję na Europejczyków, aby podjęli większe wysiłki na rzecz obrony, lecz amerykańska administracja wystąpiła natychmiast więcej żołnierzy do Europy, powołując nawet rezerwy, i wydała na pomoc Kijowowi znacznie więcej niż kraje europejskie. Dziś Wielka Brytania – mająca jeden z najbardziej jastrzębich rządów europejskich – zmniejsza liczebność armii, ponieważ, cóż, może sobie na to pozwolić z Ameryką na posterunku. (...)

Wuj Sam może się przyczynić do ich wzbogacenia, poświęcając interesy Amerykanów i głosząc, że tak naprawdę to wszystko dla dobra ludzkości. (...)

Amerykanów nie stać już dłużej na to, aby decyzje co do wojny czy pokoju pozostawiać w rękach prezydenta. Powinni dążyć do tego, żeby Kongres wypełniał swoje konstytucyjne zadanie w głosowaniu nad wypowiedzaniem wojny, co uczyni głos obywateli słyszalnym na Kapitolu. Są

Południe zmienia kierunek

BRICS zyskał sześciu nowych członków
– i nieformalne chińskie przywództwo



Mateusz Mazzini

O tym rozszerzeniu mówiło się już od lat, w końcu taki miał być cel istnienia tego nieoczywistego paktu. Kiedy powstawał, jeszcze jako czteroczłonowy blok, w 2009 r. na szczycie w Jekaterynburgu, miał przypieczętować wybiecie się dawnych europejskich kolonii na pozycję globalnych pierwszoligowców. Najgłośniejszą za zinstytucjonalizowaniem współpracy z Rosją, Chinami i Indiami agitował ówczesny prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva. Typowy dla latynoskiej lewicy anty-imperialista, niechętnie nastawiony do amerykańskich rozwiązań gospodarczych, marzył wtedy o otwarciu o stworzeniu platformy będącej realną przeciwwagą dla bogatej Północy. Chodziło mu przy tym nie o konkretną płaszczyznę, ale o zasady. Dokładnie mówiąc, o to, że zasady piszą

Liderzy BRICS. Nz. od lewej prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva, prezydent Chin Xi Jinping, prezydent RPA Cyril Ramaphosa, premier Indii Narendra Modi i minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow, Johannesburg, 23 sierpnia 2023 r.

Waszyngton i Bruksela, a każdy ma grać w ich grę.

Drugie życie układu

14 lat temu Lula roztaczał wizję wielkiego południowego (czytaj: antykolonialnego, niekoniecznie liberalnego gospodarczo) sojuszu. Z tej wizji niewiele się ziściło, zwłaszcza z jego punktu widzenia. Do grupy dołączył tylko jeden nowy członek – Republika Południowej Afryki w 2010 r. – a spośród założycieli to Brazylija przez lata miała zdecydowanie najmniej do powiedzenia. Kolejne szczyty przebiegały pod dyktando albo rosnących w siłę Chin, albo zaczepiającej Zachód Rosji Putina. Z czasem własną grawitację zaczęły wytwarzać Indie, głównie dzięki

potencjałowi demograficznemu. Ale jakkolwiek patrzeć, sojusz rósł raczej do środka niż na zewnątrz. Partnerów nie przybywało, dominacja USA w handlu i ustalaniu jego reguł (głównie za pośrednictwem Światowej Organizacji Handlu, WTO) pozostawała niezagrożona, podobnie jak pozycja dolara jako uniwersalnej waluty transakcyjnej. Ludzie małej wiary mogliby pomyśleć, że na tym koniec, nowego światowego porządku nie będzie.

Zakończony półtora tygodnia temu w Johannesburgu szczyt BRICS tchnął jednak w organizację nowego ducha. Głównie za sprawą rozszerzenia, bo przyjęto sześć nowych państw: Argentynę, Etiopię, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Iran, Arabię Saudyjską i Egipt. To i tak mało, bo

o członkostwo ubiegały się łącznie 23 państwa, wcześniej była mowa nawet o 40. Oprócz zmiany liczby uczestników oraz szyldu, z BRICS na BRICS+, na szczycie w RPA dokonała się też cicha, ale bardzo znacząca reorientacja. Podczas gdy zachodni komentatorzy skupiali się na obecności i słowach Siergieja Ławrowa i emitowanych na wideo przemówieniach Władimira Putina, Xi Jinping po cichu chwycił za ster – i obrał kurs na Pekin, obowiązkowy właściwie dla wszystkich zgromadzonych.

W przyjęciu każdego kraju z tej listy Państwo Środką ma bowiem istotny interes. Analiza rozszerzenia pokazuje, że – choć oczywiście nieznane są kulisy negocjacji wśród członków założycieli – to Xi miał decydujący głos w wybieraniu nowych

chęć podbicia stawki na poziomie globalnym może się odbić czkawką we własnym regionie.

Argentyńska niewiadoma

Przyjęcie Argentyny do BRICS to nie tylko relatywna niespodzianka, ale też potencjalna bomba z opóźnionym zapłonem. Zaproszenie do sojuszu otrzymała bowiem administracja odchodzącego prezydenta Alberta Fernándeza, której zarówno z Chinami, jak i z Rosją było w ostatnich latach po drodze. Oba mocarstwa zaopatrywały rząd w Buenos Aires w szczepionki na koronawirusa, a Pekin jest największym importerem argentyńskich produktów. Do Chin tafia 21,5% całego argentyńskiego eksportu. To więcej niż do sąsiedniej

w „Americas Quarterly”, że po październikowych wyborach, niezależnie od tego, kto z tej dwójki obejmie rządy, zaproszenie do BRICS+ zostanie odrzucone. To jednak mało prawdopodobne, bo olbrzymią presję wywierać będzie krajowa elita biznesowa, która na Chinach sporo zarabia – eksportując głównie wołwinę, soję, węglę i surowce naturalne – i chciałaby zarabiać więcej.

Argentyna w BRICS+ zapewne wzmocni więc pozycję Chin w sojuszu. A to oznacza, że Pekinowi (w połączeniu z Moskwą) łatwiej będzie narzucać antyzachodnią narrację w kwestii wojny. Przy czym o ile np. Republice Południowej Afryki zdarzało się sugerować, że z rosyjską inwazją nie ma większych problemów – chociażby przez wpuszczanie do swoich portów okrętów rosyjskiej marynarki wojennej – o tyle pozostałe kraje BRICS mają do konfliktu stosunek co najmniej ambiwalentny. Brazylia siedzi okrzakiem na barykadzie, a Indie pozostają najważniejszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w południowej części Azji.

Fakt, że Chiny będą teraz nadawać ton, może wymusić na krajach łatoskich zajęcie bardziej konkretnego stanowiska, czytaj: bliższego osi Pekin-Moskwa. Biorąc pod uwagę coraz mniejsze zaangażowanie finansowe USA w regionie, np. niewielkie fundusze przekazane ostatnio przez Waszyngton na ochronę puszczy amazońskiej, oraz przeciągające się, niezakończone negocjacje pomiędzy Unią Europejską a Mercosur (wspólną handlową czterech krajów Ameryki Łacińskiej), na kontynencie powstała próżnia. I to Chiny najpewniej ją wypełnią.

Kierunek Bliski Wschód

Pozostali nowi członkowie również stanowią dla Xi Jinpinga okazję do gospodarczej i geopolitycznej ekspansji. Uwagę zwraca zwłaszcza obecność w tym gronie Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, co potwierdza tezę o coraz silniejszej pozycji Chin na Bliskim Wschodzie. Jak wylicza Amr Hamzawy z Carnegie Endowment for International Peace, Pekin już teraz jest ▶

O członkostwo w BRICS+ ubiegały się aż 23 państwa. Ostatecznie przyjęto Argentynę, Etiopię, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Iran, Arabię Saudyjską i Egipt.

partnerów. Trudno, żeby było inaczej, w końcu Chiny są największym i najbardziej wpływowym geopolitycznie krajem z pierwotnej piątki, a ich gospodarka jest większa od pozostałych czterech razem wziętych. Ta druga informacja pokazuje, że choć półtora dekady temu mowa była o emancypacji, suwerenności i współpracy, ostatecznie BRICS stał się po prostu kolejnym sojuszem handlu międzynarodowego, tylko może niekoniecznie tak wolnego jak w Unii Europejskiej czy w NAFTA, Północnoamerykańskim Układzie Wolnego Handlu, w jego pierwotnej wersji.

Oliver Stuenkel, niemiecko-brazylijski ekspert ds. stosunków międzynarodowych, zauważył zresztą na łamach „Americas Quarterly”, że owszem, o nowych członkach była już mowa od dawna, ale za rozszerzeniem najbardziej lobbował właśnie Pekin, przy wyraźnie sceptycznym podejściu do tej kwestii zwłaszcza Indii i Brazylii. Oba te kraje miały własne powody, by sprzeciwiać się ekspansji pod dyktando Chin, ale kasus Brazylii jest szczególnie ciekawy, bo pokazuje, jak nierówno rozkładają się wpływy w tej organizacji. I że

Brazylii, tradycyjnie najważniejszego partnera handlowego, i prawie dwa razy więcej niż do Stanów Zjednoczonych. Przy tym Fernández symetryzje w kwestii wojny w Ukrainie i choć nie było to tak ostentacyjne jak niektóre wypowiedzi Luli, nie przeszło w Waszyngtonie bez echa.

Problem z akcesją Argentyny do BRICS zaczyna się, gdy popatrzymy w przyszłość, bo 22 października kraj czekają wybory prezydenckie. Po przeprowadzonych 13 sierpnia obywatelskich dla wszystkich kandydatów prawyborach widać już, że Argentyna potężnie skłoni w prawo. Wygrał ultrakonserwatywny społecznie libertarianin Javier Milei, zaraz za nim była ekszefowa Ministerstwa Obrony z czasów prawicowego rządu Mauricio Macriego, Patricia Bullrich. Chociaż teoretycznie szanse na wejście do drugiej tury ma też lewicowy były minister finansów Sergio Massa, ostatni z silnych kandydatów obozu peronistów, perspektywa jego triumfu w ostatecznym starciu pozostaje bardzo odległa. Zarówno Milei, jak i Bullrich są sceptyczni wobec zacieśniania stosunków z Pekinem. Możliwe, pisze Stuenkel

► najważniejszym partnerem handlowym Jordanii, Kuwejtowi i aż czterech nowo przyjętych do BRICS+ państw: Egiptu, Emiratów, Arabii Saudyjskiej i Iranu. Bilans handlu zagranicznego jest ponadtrzykrotnie większy, niż wynosi handel krajów Zatoki Perskiej ze Stanami Zjednoczonymi, a jeśli wyłączyć z rozliczeń Unię Europejską, to dwoma najważniejszymi dla arabskiego eksportu krajami okazują się Chiny i Indie. Inne kraje będące w szerokiej orbicie BRICS+, np. Algieria, także mają Państwo Środka bardzo wysoko na swojej liście kluczowych kierunków rozwoju handlu.

Do tego dochodzi aspekt geostrategiczny, chociażby antyzachodnia orientacja niektórych nowych członków. Iran od dawna jest na kursie kolizyjnym ze Stanami Zjednoczonymi, na dłuższą metę nie zmieniło tego nawet porozumienie o wstrzymaniu rozwoju tamtejszego programu nuklearnego, zawarte jeszcze przez administrację Baracka Obamy. Iran dostarcza Rosji drony i podzespoły do sprzętu wojskowego, wysyła również na front swoich instruktorów wojskowych. Nie protestuje też – o czym wiosną donosił magazyn „Foreign Policy” – kiedy Rosjanie próbują rekrutować do walki w Ukrainie przebywających na terenie Iranu,

wyszkolonych jeszcze przez Amerykanów afgańskich komandosów, którzy uciekli przed talibami. Ze wszystkich nowych członków to rządowi w Teheranie prawdopodobnie najbliżej do osi Pekin-Moskwa, co dla Putina i Xi Jinpinga jest o tyle wygodne, że wejście do BRICS+ nie stawia Iranu przed koniecznością przeformułowania swojej polityki zagranicznej.

Decydujący głos w wybieraniu nowych partnerów miał Xi Jinping.

Nieco inaczej jest w przypadku pozostałych krajów. Zjednoczone Emiraty Arabskie od lat próbują pozycjonować się jako łącznik między Wschodem a Zachodem, jednocześnie stabilizując sytuację w regionie. Nie przez przypadek Dubaj włączył się w konflikt w Jemenie, teraz próbuje mediuować w wewnętrznych starciach w Sudanie. Pod tym względem wejście do BRICS+ jest bardzo korzystne, bo żadne z wielkich mocarstw nie przeszkodzi emirom w realizowaniu ich strategii. Rosja jest za słaba i zbyt zajęta Ukrainą, w dodatku nawet jeśli działalność Jewgienija Prigożyna w Afryce przejmie typowany do tego gen. Andriej Awerjanow, nie jest wcale pewne, że żołnierze z grupy Wagnera będą mu lojalnie służyć.

Chiny z kolei, co także zauważa Amr Hamzawy z Carnegie Endowment, jako fundament swojej polityki zagranicznej utrzymują zasadę *zero conflict*, czyli, krótko mówiąc, do niczego nie zamierzają się mieszać. To pozwoli Emiratom wzmocnić ich pozycję jako państwa zapewniającego równowagę w regionie, niekoniecznie antagonizując przy tym USA i Unię Europejską – im w końcu też zależy na tym, żeby Bliski Wschód i Afryka Wschodnia były regionami stabilniejszymi, niż są teraz.

Etiopia, wychodząca z finansowej i humanitarnej katastrofy, jaką była wojna o region Tigrz, potrzebuje gotowych na bezpośrednie inwestycje zagranicznych partnerów – a na to Chiny i Indie są zawsze chętne. Jak zauważa Declan Walsh z „New York Timesa”, indyjscy inwestorzy od lat

są jednymi z największych graczy na etiopskim rynku nieruchomości, a Chińczycy masowo inwestują tam w infrastrukturę. To potrzebne, bo według Walsha zasypanie dziury, którą w gospodarce wywołał spór o Tigrz, będzie kosztować co najmniej 20 mld dol. Podobne motywacje ma Egipt, skąd inwestorzy ostatnio uciekali w panice, przerażeni możliwością destabilizacji kraju z powodu braku dostaw ukraińskiego zboża i chwiejnej sytuacji politycznej. Z kolei Saudyjczycy widzą w wejściu do BRICS szansę na zbilansowanie swoich strategicznych interesów, prowadzonych głównie z USA, z interesami czysto ekonomicznymi, których wektor skierowany jest na Chiny.

Mimo wszystko sierpniowe rozszerzenie pokazuje, że w BRICS nie chodzi tylko o pieniądze – przynajmniej nie wszystkim. Na czynniki pierwsze rozłożył ten proces Ziad Daoud, główny ekonomista ds. rynków wschodzących z Bloombergu. Zauważa on, że o ile członkowie założyciele sojuszu byli do siebie relatywnie podobni, bo mieli spore wewnętrzne rynki i duży potencjał wzrostu, o tyle z nowo przyjętymi państwami jest inaczej. Niektóre są gospodarczo zaawansowane, inne – jak Argentyna – praktycznie toną finansowo, Iran zaś jest kompletnie wypięty z globalnej gospodarki z powodu sankcji. To kolejny powód, dla którego Teheran tak chętnie wszedł do tej formacji, daje ona bowiem możliwość ominięcia zachodnich ograniczeń w handlu międzynarodowym, również poprzez transakcje w innej walucie niż dolar amerykański.

Do realizacji celu ostatecznego, czyli stworzenia przeciwwagi dla G7 i doprowadzenia do całkowitej redefinicji zasad wymiany handlowej pomiędzy suwerennymi państwami, jeszcze liderom globalnego Południa daleko. Brakuje im przede wszystkim wewnętrznej spójności i tego problemu BRICS+ nie rozwiąże. Faktem jest jednak, że sojusz mocno rośnie w siłę – choć dominująca pozycja Pekinu pokazuje, że są w nim kraje równe i równiejsze.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl





Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Liczy się jakość życia, a nie bogactwo

Odwiedzili mnie przyjaciele ze Stanów, Wacek i Małgosia. Mieszkają w okolicach San Francisco. Wacek, polski patriota o szerokich horyzontach, wolny od wszelkich uprzedzeń rasowych czy etnicznych, był szefem Kongresu Polonii Amerykańskiej w północnej Kalifornii, gdy tam mieszkałem. To jemu zawdzięczam m.in. wizytę na jednym z zebrań w Domu Polskim w San Francisco, gdzie ówczesny prezes Kongresu Edward Moskał popisał się antysemickimi wypowiedziami. Wspaniale skontrolował go Paweł Potoroczyn, konsul polski w Los Angeles.

Nie o tym jednak chciałem pisać, ale o przekazanych mi przez Wacka i Małgosię wrażeniach z obecnej sytuacji w Stanach. Można je podsumować jednym słowem: katastrofa. Moje ukochane San Francisco z miasta pełnego uroku i wdzięku zamieniło się w obozowisko bezdomnych, chorych psychicznie i uzależnionych od narkotyków. Ludziom nieustannie towarzyszy strach, bo nie ma dnia bez strzelaniny. Strach ten dotyczy także szkół i uniwersytetów, w których zarówno nauczanie, jak i pobieranie nauki stało się ogromnie stresujące z powodu możliwości zbiorowego mordu – dzieci przechodzą szkolenia, co należy robić w przypadku strzelaniny; można sobie wyobrazić, jak wpływają one na psychikę.

Ze smutkiem słuchałem relacji z kraju, który jest mi tak bliski. Najbogatszego kraju świata, gdzie jakość życia jest niska. Wszak składają się na nią takie m.in. rzeczy jak poczucie bezpieczeństwa, dobry poziom usług publicznych oraz zakres wolnego czasu do dyspozycji, o którym z kolei decyduje faktyczny czas pracy i długość urlopów. Czyli wszystko to, co w USA szwankuje. Nie przypadkiem zatem we wszelkich rankingach jakości życia znajdują się one na odległych pozycjach. W pierwszej dziesiątce nie brakuje natomiast państw skandynawskich, prezentujących dokładnie odwrotny do amerykańskiego model ekonomiczno-społeczny.

Wyciągnijmy wreszcie wnioski. Wszelkie próby zainstalowania w Polsce amerykańskiego modelu kapitalizmu trzeba uznać za przepis na katastrofę. Dotyczy to m.in. chęci wprowadzenia w naszym kraju zasad libertarianizmu w stylu Ayn Rand – chwalczyni egoizmu i bezlitosnej konkurencji oraz pogardy dla słabszych (z przerażeniem wyczytałem, że jej wielbicielem jest Przemysław Wipler, kandydat Konfederacji do Sejmu z Torunia. Czymże to piękne miasto zasłużyło sobie na to?). Tymczasem, jak

pokazują badania społeczne, Konfederacja, partia o libertarianistycznym obliczu, głosząca m.in. postulaty szerszego dostępu do broni, znajduje posłuch wśród wielu polskich wyborców, szczególnie młodych. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że wyrosło nam pokolenie ludzi, którzy prezentują egoistyczne nastawienie i mają w nosie dobro wspólne. Przemawiają do nich niemądre hasła o bogaceniu się bez granic i nieprzejmowaniu się katastrofą klimatyczną. O poleganiu jedynie na sobie i nieoglądaniu się na innych, o likwidacji państwa socjalnego, o osłabieniu już i tak słabego państwa. Wszystko to jest wyrazem chęci zaprowadzenia w Polsce takiego modelu kapitalizmu, który pchnął Stany Zjednoczone na skraj przepaści. To próba wzmocnienia i tak już silnego w Polsce indywidualizmu i pogardy dla państwa, która musi zaowocować hiperindywidualizmem i faktycznym anarchokapitalizmem. Czyli zjawiskami, które po neoliberalnej rewolucji Reagana i Clintona doprowadziły do upadku etosu wspólnotowego w Stanach Zjednoczonych, do niebywałego wzrostu nierówności społecznych, anomii i zimnej wojny domowej.

Wyrosło nam pokolenie ludzi, którzy prezentują egoistyczne nastawienie i mają w nosie dobro wspólne.

Wygląda na to, że niczego się nie nauczyliśmy z dramatycznych losów Ameryki. Kraju, w którym ludziom się wydaje, że można być szczęśliwym, choć wokół pełno nieszczęścia. Że wystarczy się odgradzić od innych, aby zyskać poczucie bezpieczeństwa i komfort psychiczny. Jak bowiem inaczej interpretować nasze polskie przywiązanie do grodzenia się, izolowania, wynoszenia się i puszenia bogactwem? Do pogardy dla dobra wspólnego, takiego jak piękno przyrody, krajobrazu bądź czyste powietrze? Do nieskrywanego podziwu dla silnych i bezwzględnych? Skłonności do upokarzania słabszych, przede wszystkim biedniejszych? Nic dziwnego, że w tej atmosferze dzieci tracą busolę moralną i wzorem amerykańskich popadają w depresję, sięgają po narkotyki i tracą sens życia. Sami zgotowaliśmy im taki los, promując bezwzględny kapitalizm, zabójczą konkurencję i patologiczny indywidualizm. Głosząc durne hasła o człowieku jako kowalu swojego losu i mity o indywidualnej samowystarczalności. Powtarzając błędy Amerykanów. Tragiczne. ■

Beata Dżon-Ozimek

W Vorarlbergu, graniczącym z Niemcami i Szwajcarią, dopuszczanych w austriackim prawie zabiegów zakończenia ciąży nie wykonuje się w żadnym publicznym szpitalu – chyba że decydują o tym względy medyczne. Lokalny rząd, na którego czele od 1945 r. stoją nieprzerwanie „czarni” (nomenklatura austriacka), czyli ÖVP, Austriacka Partia Ludowa (aktualnie w koalicji z Zielonymi), pozostawia to od dekad jednemu ginekologowi, jednemu zdecydowanemu na tę pracę i pomoc kobietom, dr. Benediktowi-Johannesowi Hostenkampowi. Nie kwapiono się do szukania następcy, a zegar tyka i za chwilę nie będzie tu dostępu do aborcji. W sierpniu ginekolog skończył 71 lat i od 2014 r. skraca czas pracy; od lat prosi polityków, lokalny parlament, kolegów z branży o następcę. Wciąż pracuje, ale nieodwołalnie kończy w tym roku.

Powaga sytuacji w końcu dociera do polityków tego drugiego najmniejszego landu Austrii. Zajmuje się tym wreszcie lokalny parlament, pojedyncze polityczki poruszają temat od lat, ale rozwiązania nie widać.

Schron dla kobiet

Benedikt-Johannes Hostenkamp pochodzi z Niemiec, pracował niedaleko granicy, w Lindau. W latach 90. za namową kobiet z Vorarlbergu otworzył praktykę w Bregencji. Ma wrażenie, że miejscowi lekarze są zadowoleni, że robi to ktoś inny. Uważa, że austriackie przepisy dotyczące aborcji są bardziej liberalne niż niemieckie i mniej jasno sformułowane, np. nie ma wymogu limitu czasowego między konsultacją a zabiegiem. Parlament Europejski ocenia sytuację w Niemczech lepiej, bo łatwiej tam o informacje i lekarze nie mogą tak łatwo powołać się na klauzulę sumienia, a nad Dunajem „żaden lekarz nie jest zobowiązany do przeprowadzenia aborcji”. Przerwanie ciąży jest nadal objęte Kodeksem karnym – i tę zawilość stara się wytłumaczyć organizacja kobieca Profemina.

Ostatni doktor od aborcji

Jedyny ginekolog, który wykonuje zabiegi przerywania ciąży w austriackim Vorarlbergu, przechodzi na emeryturę



Zasadniczo aborcja nie jest w Austrii legalna zgodnie z par. 96 Kodeksu karnego. Prawo przewiduje tam kary więzienia lub grzywny w wysokości do 720 stawek dziennych. Kluczowe są te wyjątki, kiedy aborcja nie jest zagrożona karą. I tu par. 97 kk, obowiązujący od 1 stycznia 1975 r., mówi, że zabieg ma się mieścić w terminie obowiązującym w Austrii dla aborcji (12-14 tygodni) oraz ma być wykonywany przez lekarza. Zakłada się też zgodę kobiety w ciąży i konsultację lekarską oraz zapewnienie aborcji ze wskazania medycznego.

Dr Hostenkamp zaczął pracować w Bregencji na prośbę tamtejszego Instytutu Usług Społecznych; do 1997 r. w Vorarlbergu nie było dostępu do aborcji. Pomieszczenia wynajęte w budynku z lat 60. wcześniej były przeznaczone na gabinety medyczne, więc nie trzeba było zgody

mieszkańców na gabinet ginekologiczny, w którym będą przeprowadzane aborcje. Wielu wynajmujących w ostatnim momencie odmawiało podpisania umowy, trudno było znaleźć miejsce dla „takiego” gabinetu ze względu na agresywną czasem obecność działaczy antyaborcyjnych, krwawe plakaty, zaczepki, głośne modlitwy, demonstracje.

Oczywiste, że to nie podoba się innym najemcom i samym pacjentkom. Aby zapewnić im jak największą anonimowość, gabinet jest elektronicznym bunkrem. Jak pisze „Wiener Zeitung”, komputer nie jest podłączony do internetu, dane są przesyłane wyłącznie faksem, wszystko jak dawniej, nawet myszka jest z kablem. Ogólnodostępny korytarz jest wspólny dla kilku mieszkań, biur funduszu pracowniczego, Hostenkamp postawił tam ścianki działowe, by zapewnić pacjentkom

prywatność, ale komuś to przeszkadzało i musiał je zdemontować.

Co odstrasza lekarzy

Kobiety są przerażone, bo u odanego im lekarza, dojeżdżającego z Niemiec, czuły się pewnie i bezpiecznie. 95% nieplanowanych ciąży to błąd antykoncepcji, uważa lekarz, aborcja zaś to wyjątkowa sytuacja, jedyny moment w medycynie, gdy naprzeciw siebie stają dwa podstawowe prawa – prawo do życia wchodzi w konflikt z prawem kobiety do samostanowienia, wolności, czasem

miał powstać w domu dla personelu obok szpitala regionalnego w Bregencji, obsługiwany przez niemieckiego operatora. Ale zgodnie z prawem mogą go prowadzić wyłącznie lekarze, co oznacza np. zgłoszenie działalności gospodarczej i powiązanie nazwiska z aborcjami.

Hostenkamp obawia się wzrostu kosztów dla pacjentek po jego odejściu: „Mamy ponad 50% imigrantek i naprawdę trzeba się upewnić, że będzie to przystępne cenowo”. Punktuje, że politycy opuścili kobiety w potrzebie, w Vorarlbergu nadal nic nie zrobiono, by pomóc finansowo

Aby zapewnić pacjentkom anonimowość, gabinet jest elektronicznym bunkrem.

także do życia. Dlatego ta procedura medyczna wymaga wrażliwości i praktyki. Hostenkamp jest przekonany, że sama możliwość bezpiecznego przerwania ciąży w jego gabinecie przynosi kobietom ulgę, wytchnienie, przecież „muszą podjąć decyzję i nie mogą jej odkładać”. Lekarz jest zawsze dostępny dla pacjentek po aborcji pod własnym telefonem – 24 godziny na dobę.

Dr Hostenkamp przeprowadza ok. 320 aborcji rocznie. „Przed pandemią było ich ok. 270. Teraz jest 10% więcej”, mówi dziennikowi „Heute”. Mniej więcej 10% kobiet odwołuje umówiony termin.

Według ginekologa istnieje kilka powodów braku zainteresowania tą pracą: „Po pierwsze, aborcja wciąż jest tematem tabu, a po drugie, nie jest to opłacalne finansowo. Do tego dochodzą groźby śmierci”. Z wrogością, groźbami oswoili się on i żona, z którą prowadzi praktykę od 25 lat, a to, że mieszka za granicą, pomaga jemu i rodzinie udźwignąć sytuację. Nie ukrywa w mediach swojej twarzy. Trudno o współpracowników, o anestezjologów do zabiegów, regułą jest to, że przyjeżdżają z Niemiec, spoza okolicy, nie chcą stygmatyzacji, a ta towarzyszy małżonkom Hostenkamp od 26 lat.

Na miejsce po dr. Hostenkampie zgłosiło się ponoć 15 lekarzy, ale stawiają warunek: praca anonimowo, najchętniej w szpitalu. Nowy gabinet

kobietom w niezamierzonej ciąży, nie ma dla nich pożyczek pomocowych, aby mogły zapłacić za aborcję, ani podobnego funduszu jak w Tyrolu. Tam oferuje się wsparcie finansowe nie tylko przy aborcji, ale i w dostępie do antykoncepcji, bo ani jedno, ani drugie nie powinno być powiązane z możliwościami finansowymi kobiet, uważają polityczki z lewej strony sceny. Tyrolskie ministerstwo spraw socjalnych zapewnia 20 tys. euro w tzw. funduszu awaryjnym.

Radykalniej przeciw kobietom

Rządząca landem ÖVP przez lata przyglądała się, jak radykalni przeciwnicy aborcji zastraszali pacjentów i lekarzy, sprzeciwiała się wprowadzeniu zakazu zbliżania się do

Zastępczyni przewodniczącego rządu Barbara Schöbi-Fink (ÖVP) zastępną wypowiedzią, że szpitale nie są miejscami dla aborcji, a są „przede wszystkim po to, aby ratować życie i promować zdrowie”. Zapewnia jednak o wsparciu w znalezieniu następcy Hostenkampa. Ginekolog zaś przypomina sytuację w innych krajach związkowych Austrii: „W Tyrolu jest tylko jeden odpowiedzialny za to (aborcje – przyp. aut.) kolega, który wkrótce przechodzi na emeryturę. W Burgenlandzie nie ma nikogo”. W Tyrolu mieszka ok. 170 tys. kobiet w wieku rozrodczym, dr H.J. Wolf, wspomniany lekarz, wykonuje tam ok. 750 zabiegów rocznie.

W Vorarlbergu, w przeciwieństwie do większości landów, takich jak Wiedeń czy Dolna Austria, w szpitalach państwowych mogą być wykonywane tylko aborcje niezbędne z medycznego punktu widzenia. O tym, jakie usługi zapewniają szpitale, decydują rządy lokalne. Powtarzany jest argument, że zabiegi przerywania ciąży są „emocjonalnie trudne” dla lekarzy, a według prawa nie można od personelu medycznego wymagać udziału w nich. FPÖ, Wolnościowa Partia Austrii, chce jeszcze większych restrykcji w Vorarlbergu. Domaga się bezpłatnego, obowiązkowego doradztwa psychologicznego i socjalnego przed aborcją, a po nim obowiązkowego okresu oczekiwania, albo wymogu anonimowego zgłaszania takich „przypadków medycznych” – czyli donoszenia na kobiety.

Prawnicy twierdzą, że jeśli prawo zezwala na aborcję, to państwo powinno umożliwić do niej dostęp.

pacjentek i klinik. Hostenkamp wzywa polityków do ustanowienia stref ochronnych przed gabinetami i szpitalami oraz do wznowienia praktyki przejmowania przez władze landów kosztów aborcji w przypadku kobiet otrzymujących podstawowe świadczenia socjalne i do zapewnienia dostępu do aborcji w co najmniej jednej placówce w Vorarlbergu, która jest prowadzona przez lekarza i ma specjalistyczny standard.

Aktywiści antyaborcyjni również co jakiś czas się mobilizują. Prawicowo-konserwatywna fundacja Citizen Go organizowała kampanię przeciwko przerywaniu ciąży w szpitalach publicznych „Nie dla aborcji w budynkach państwowych”. Do parlamentarzystów wysyłano laleczki przedstawiające 12-tygodniowy płód, z napisem „Nazwijmy go Markus” oraz informacją, że miał „wszystkie niezbędne organy” ▶

► i jego serce już biło. W sąsiednim Tyrolu podczas obrad w lokalnym parlamencie widzowie rozwinęli transparenty z napisami: „Cięża to nie choroba. Aborcja nie jest usługą zdrowotną”.

Wschód lepszy niż zachód

W Austrii wschód kraju jest życzliwszy kobietom niż zachód. Aborcje są prawnie możliwe w szpitalach publicznych w Karyntii, Styrii, Dolnej i Górnej Austrii, ale często zależą od gotowości i poglądów dyżurujących lekarzy. Salzburg i Wiedeń znajdują się w lepszej sytuacji – mają kilka klinik ambulatoryjnych, w Wiedniu można skorzystać także z przerwania ciąży w szpitalu, zabiegi kosztują od 330 euro. W przypadku kobiet w trudnej sytuacji finansowej koszty te pokrywa miasto Wiedeń.

Koszty aborcji w Vorarlbergu i Tyrolu to 800-900 euro, chyba że względy medyczne są wskazaniem do terminacji ciąży w szpitalu, wtedy koszty pokrywa kasa chorych. Aborcja jako taka nie jest objęta w Austrii

ubezpieczeniem zdrowotnym. Niektórzy prawnicy twierdzą, że jeśli prawo zezwala na aborcję, to państwo powinno zapewnić do niej dostęp. We wschodniej Austrii ginekolodzy mówią to wprost: „Jeśli jestem za czymś, muszę być gotowy to zrobić”.

Dostępne w organizacjach kobiecych statystyki mówią o ok. 35 tys. aborcji rocznie w Austrii, co potwierdzają lekarze.

Małżeństwo Hostenkamp w ostatnich miesiącach inicjowało wspólnie z przedstawicielami organizacji medycznych imprezy pod hasłem „Praktyka ginekologiczna w Vorarlbergu z dostępnym sprzętem do aborcji. Kto chce, kto może?”. Z 30 osób obecnych na sali nie zgłosił się nikt.

Hostenkamp zna lekarza, który rozważa tę możliwość. Jest ledwie pięć lat młodszy i wkrótce również ma zamiar przejść na emeryturę. Byłoby to więc tymczasowe rozwiązanie. Ale nawet ten medyk nie chce samotnie stawiać czoła dobrze finansowanym organizacjom antyaborcyjnym. Lekarze szpitalni, którzy byliby gotowi zająć się przerywaniem

cięży, nie mieli odwagi powiedzieć pracodawcy, że chcieliby pracować u Hostenkampa. „Wiele lat temu nie przedłużono umowy z pracownikiem szpitala, ponieważ nam pomagał”, przyznaje lekarz na łamach „Der Standard”.

„Trzeba zdać sobie sprawę, że nie każda kobieta jest szczęśliwa, gdy jest w ciąży. Czy kobiety naprawdę muszą dojeżdżać na aborcje do Tyrolu, do Niemiec, do Wiednia?”, pyta dr Hostenkamp. Być może Vorarlberg wróci do stanu sprzed 1997 r. i dołączy do Burgenlandu – w środku Europy, w kraju, którego stolica uznawana jest od lat za najlepsze na świecie miejsce do życia, kobiety nie mają gdzie przerwać ciąży, poddać się najczęściej wykonywanemu zabiegowi na świecie. 30 sierpnia, godz. 10.37 – w tym momencie w 2023 r. wykonano 29 524 916 aborcji (worldometer.info).

Parlament UE chce włączyć aborcję do Karty praw podstawowych Unii Europejskiej.

Beata Dżon-Ozimek

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

28 09 2023

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

OGÓLNOPOLSKA INTERDISCYPLINARNA KONFERENCJA NAUKOWA

DZIŚ WIDZĘ WIELKĄ WARSZAWĘ

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI
PAŁAC PRZEBENDOWSKICH/RADZIWIŁŁÓW
AL. SOLIDARNOŚCI 62 W WARSZAWIE

SPATRONAT HONOROWY

SPATRONAT MEDIA

25^{lecie} Mazowsze

Partnerzy:

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Od lat, od dekad zaklinamy rzeczywistość naszym uznaniem, uwielbieniem, oddaniem „demokracji” i jej rządcom. I nie chodzi o to, że ma ona mankamenty, że w każdym miejscu, gdzie teoretycznie się ją praktykuje, jest lokalny przepis na nią. Mówię o tym, że w jakimś momencie fundamentalne założenia demokracji, jej legitymizacja jako ustroju kształtowanego przez wolę większości i gwarancje indywidualnej wolności, zaczynają tak odjeżdżać od założeń, że nie wiemy nawet, kiedy deklaracyjna „demokracja” przestaje być metodą demokratycznie sprawowanych rządów.

Można powiedzieć, że w swoich ideowych założeniach jest ustrojem dość prostym, dla tych, których pozbawia wcześniejszej władzy (arystokracji, monarchistów, przywódców religijnych, wojska), jest modelem nawet prostackim. Czymże są te rudymenty demokracji? Przepadam za przypominaniem przy okazji takiego namysłu nad demokracją słów, które wypowiedzieć miał ateński przywódca i reformator demokracji Perykles 2,5 tys. lat temu, a zapisał w nieśmiertelnych frazach „Wojny peloponeskiej” Tukidydes: „Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości.

Bravo). Weźmy jednak ducha tych zasad, nie ich literę, i krytyczne, historyczne realizacje. Jeśli możemy uznać, że Perykles, wódz, władca, podzielił się realnie władzą, jeśli nie ze wszystkimi, to jednak z wieloma, definicja ta może być doskonałym punktem wyjścia do pytań zadawanych demokracji dzisiejszej, ba, nawet tej tutaj – nad Wisłą. Bo niby dlaczego nie?

Żywię od dawna przekonanie, że każde wybory są bardziej okazją do zadawania sobie pytań o kształt, jakość, czytelność i wartość demokracji, niż tylko wrzuceniem kartki i oddaniem „naszej” władzy starannie wyselekcjonowanej w posłusznosci i nijakości grupie „kandydatów”. Od zawsze wybieramy spośród wybranych, a owi wybrani oprócz wybrania ich przez liderów – a najczęściej jednego lidera – mają pakiety innych uprzywilejowań (rządzi pieniądź – na plakaty, reklamy, spotkania, media). Naprawdę nie wiem, jakich trzeba by użyć łamańców umysłowych, żeby zobaczyć tu równość szans i inkluzywność wyborów. Tradycyjnie możemy oskarżyć szkołę, że nie uczy zadawania tych pytań. Ale nie robi tego sama z siebie, tak wszystkim aktorom sceny politycznej jest wygodniej i bezpieczniej. Od dekad.

Demokracja, jaki śmieszny żart

W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy w obliczu prawa; jeśli zaś chodzi o znaczenie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do pewnej grupy, lecz ze względu na talent osobisty, jakim się wyróżnia; nikomu też, kto jest zdolny służyć ojczyźnie, ubóstwo albo nieznanie pochodzenie nie przeszkadza w osiągnięciu zaszczytów. W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności. W życiu prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się naszych współobywateli, nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli się zajmuje tym, co mu sprawia przyjemność, i nie rzucamy w jego stronę owych pogardliwych spojrzeń, które wprowadzają szkody, ale ranią. Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym; jesteśmy posłuszni każdorazowej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanim, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę”. Dalej też jest bardzo ciekawie, ale poprzestańmy na tym.

Rzecz jasna, ówczesna demokracja była pogrążona w mroku wykluczeń, których nie zauważała: praw nie miały kobiety ani osoby bez odpowiedniego statusu materialnego, nie mieli ich niewolnicy ani ci, którzy nie byli obywatelami Aten. Szacuje się, że w przededniu wojny peloponeskiej prawa obywatelskie posiadało niewiele więcej niż 40 tys. mężczyzn (Ewa Wipszycka, Benedetto

Hucpiarstwo PiS wskoczyło jednak na wyższy poziom. Nie tyle już ociera się o możliwości naciągania, manipulowania wynikami samych wyborów, ile zanurzyło je w mechanizmach patologii, bez żadnego wstydu uchwalonych przez najwyższą władzę społeczeństwa – parlament. Nie ma lepszego przykładu niż doklejenie do wyborów parlamentarnych kuriozalnego „referendum” ze stroniczymi, absurdalnymi pytaniami skleconymi pod obecnie rządzącymi. Ktoś powie: można władzy, która chce, żeby na cztery pytania odpowiedzieć „nie”, przeciwstawić swoje „tak”. Jednak taka teoretyczna możliwość wyklucza nas ze wspólnoty myślących i odpowiedzialnych osób. Zgodnie z tym przeświadczeniem CAŁA opozycja, co jest dość rzadkim wypadkiem, rekomenduje odmowę wzięcia udziału w referendum, by nie uzyskało ono 50-procentowej frekwencji i stało się nieważne. Procedura odmowy jest oczywiście skomplikowana, niejasna, wymaga minimum odwagi cywilnej i świadomości, w czym nie chce się wziąć udziału. Na dodatek konieczność zapisania w protokole faktu odmowy przyjęcia karty referendalnej (jedyna skuteczna metoda niewzięcia udziału) sprawia, że władza dostaje listę osób jej nieprzychylnych, wrogich czy niepopierających. Nie mówię, że proskrypcyjną. Ale łamiącą jedną z fundamentalnych reguł wolnych wyborów – ich tajność. Cóż, taki mamy demokratyczny klimat. ■

Im młodszy, tym lepszy w matmie

Deszcz polskich medali
na Międzynarodowych Mistrzostwach
w Grach Matematycznych i Logicznych

Bronisław Tumiłowicz

Najnowszy komunikat głosi: „12 medali – cztery złote, pięć srebrnych i trzy brązowe – zdobyli reprezentanci Polski na Międzynarodowych Mistrzostwach w Grach Matematycznych i Logicznych, nieoficjalnie zwanych mistrzostwami świata. Przez dwa dni na Politechnice Wrocławskiej w ośmiu kategoriach rywalizowało blisko 400 osób z 11 krajów”.

W ostatnich dniach sierpnia Wrocław stał się areną wielkiego turnieju matematycznych pasjonatów, bo tak postanowił Międzynarodowy Komitet Gier Matematycznych, prywatna organizacja mająca siedzibę w Paryżu. Było to swoiste wyróżnienie dla miasta, gdyż to właśnie na Politechnice Wrocławskiej 30 lat temu doc. Janusz Górniak po raz pierwszy zorganizował mistrzostwa Polski w tej dziedzinie. Mistrzostwa Polski w 2023 r. odbyły się tutaj w maju, jeszcze przed wakacjami. I one wyłoniły odpowiednio mocną kadrę na mistrzostwa międzynarodowe. Impreza ta tradycyjnie odbywała się w Paryżu, ale od dwóch lat lokalizacja finałowych zmagania jest ruchoma. W 2022 r. gospodarzem była szwajcarska Lozanna, a w tym roku, pierwszy raz w historii, Polska. Już wiadomo, że w przyszłym roku finały ponownie zostaną rozegrane w Paryżu.

Pewnym zaskoczeniem dla obserwatorów była otwartość mistrzostw i rozpiętość wiekowa uczestników startujących w ośmiu kategoriach.



Najmłodszy miał niecałe dziewięć lat, najstarszy – 63 lata. Regulamin nie wymaga posiadania żadnych dyplomów ani potwierdzania kwalifikacji zawodowych, chociaż jedna z kategorii jest zarezerwowana dla matematyków i informatyków z wykształcenia. Liczy się tylko chęć rozwiązywania zadań logicznych. Występujący w najmłodszej kategorii otrzymują pięć zadań, które trzeba rozwiązać w określonym czasie, uczestnicy wyższych kategorii mają takich zadań 18. Jak powiedział nam Michał Ciepielski z Działu Informacji i Promocji Politechniki Wrocławskiej, chodziło tu nie o sprawność w grach komputerowych, ale o zadania rozwiązywane na papierze, które odwołują się do znajomości np. algebry, geometrii, trygonometrii, są też ciągi i inne zadania pozwalające wykorzystać umiejętność rozumienia zagadnień matematycznych, wymagające po prostu logicznego myślenia.

O swoich drogach do sukcesu opowiadali także sami zwycięzcy

i medaliści. Łukasz Simbiga, który w międzynarodowym finale dotąd nie brał udziału, powiedział: – Przez ostatnie dwa tygodnie robiłem zadania z turniejów finałowych z ostatnich 15 lat, a i tak zostało mi kilkanaście zadań, które czekają na rozwiązanie. Tym razem tylko ostatnie zadanie sprawiło mi problem, niestety strzeliłem dwie głupie gąfy i to przełożyło się na końcowy wynik.

W rezultacie Łukasz zdobył srebrny medal w kategorii L2 obejmującej studentów studiów pierwszego stopnia kierunków ścisłych i technicznych, którzy nie są licencjatami lub inżynierami. Złoto w tej kategorii wywalczył Konrad Czarnecki.

Złoty medalista w kategorii obejmującej uczniów szkół średnich, Maciej Ignaciuk, okazał się najszybszy i tym samym obronił tytuł mistrzowski wywalczony przed rokiem w Lozannie. Jego koledzy, choć też rozwiązywali wszystkie zadania, musieli się podzielić medalami srebrnym i brązowym. O zwycięstwie decydował czas.



Przez dwa dni na Politechnice Wrocławskiej w ośmiu kategoriach rywalizowało blisko 400 osób z 11 krajów.

Laureaci kategorii L1 (pozostali uczniowie szkół średnich): Maciej Ignaciuk – medal złoty, Michał Węgrzyn (srebrny) i Norbert Dąbrowski (brązowy).



– Jestem tym bardziej zadowolony, że nie popełniłem żadnego głupiego błędu i zrobiłem wszystkie zadania – przyznał zwycięzca, który w październiku rozpocznie studia na Uniwersytecie Warszawskim. – Matematyczne tamigłówki pozostaną moim hobby i planuję start w przyszłorocznych mistrzostwach Polski. Będę wtedy najmłodszy w swojej nowej kategorii wiekowej, a stawka jest bardzo mocna i zobaczymy, czy uda mi się awansować do międzynarodowego finału – dodał.

Srebrnym medalem w pierwszej kategorii CE, obejmującej uczniów

klasy III lub młodszych, może teraz się poszczycić Piotr Łukomski, a brązowym Maksymilian Siódmok. Podobnie jest w kategorii CM – to uczniowie klas IV oraz V szkół podstawowych – w której srebro przypadło Łukaszowi Sulowskiemu. Natomiast pierwszy złoty medal dla Polski otrzymał Jan Micyk za zwycięstwo w kategorii C2 – to uczniowie klasy VIII podstawówki.

Najważniejszą nagrodą dla mistrzów i wicemistrzów świata jest satysfakcja z wyniku. Organizatorzy oczywiście postarali się o medale i dyplomy. Najlepszym wręczano

również drobne upominki, np. programy lub licencje komputerowe. Zwycięstwa w tych mistrzostwach nie zapewniają jednak przyjęcia na studia ani do renomowanego liceum. To już przywilej oficjalnych olimpiad matematycznych. A w tych rozgrywkach też często stajemy na podium.

Olimpiady matematyczne organizowane przez Polskie Towarzystwo Matematyczne to najstarsze olimpiady przedmiotowe. Laureaci mają zapewnione oceny celujące z matematyki na koniec roku, 100% z matematyki na świadectwie oraz miejsce na wielu uczelniach, także na wydziałach niezwiązanych z matematyką. Ostatnio są też mocno spolonizowane turnieje. W międzynarodowej olimpiadzie, która odbywała się między 3 a 13 lipca br. w Chibie w Japonii, nasi reprezentanci zdobyli jeden srebrny i cztery brązowe medale oraz jedną zaszczytną wzmiankę. A w kwietniu w 12. Europejskiej Olimpiadzie Matematycznej Dziewcząt w słoweńskim mieście Portorož nasze zawodniczki zdobyły jeden złoty, jeden srebrny i dwa brązowe medale. Matematyka wyraźnie przestaje być naszą piętą achillesową.

Wacław Radziwinowicz laureatem Nagrody im. Henryka Panasa

Uroczysta gala trzeciej edycji nagrody dziennikarsko-literackiej im. Henryka Panasa odbyła się tradycyjnie w sali kopernikowskiej zamku Kapituły Warmińskiej. Tym razem do grona organizatorów, czyli olsztyńskich oddziałów Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej i Związku Literatów Polskich, dołączyły Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze” i związana z nim Fundacja im. Bronisława Sałudy. Wcześniej kapituła jednogłośnie wybrała laureata, którym został Wacław Radziwinowicz, doświadczony dziennikarz, założyciel redakcji „Gazety Wyborczej” w Olsztynie, wieloletni korespondent „GW” w Moskwie (wydalony stamtąd w 2015 r.), autor kilku książek o Rosji, w tym „Gogol w czasach Google”, „Crème de la Kreml” i ostatnio „Putin. Car Atlantydy”.

Podczas gali laudację na cześć laureata wygłosił Jarosław Kurski, pierwszy zastępca redaktora naczelnego „GW”, a statuetkę z wizerunkiem Henryka Panasa wręczyli Gustaw Marek Brzezina, marszałek województwa warmińsko-mazurskiego (patron honorowy wydarzenia), i syn pisarza Jacek Panas. Gratulacje Radziwinowiczowi złożyli laureaci dwóch pierwszych edycji: Krzysztof Daukszewicz i (listownie) Aleksander Kwaśniewski, a także prezesi: SD RP Jerzy Domański i ZLP Marek Wawrzekiewicz. Laureat podzielił się przemyśleniami na temat aktualnej sytuacji międzynarodowej, w tym gorzką refleksją na temat roli tzw. dziennikarzy w podsycaniu nastrojów wojennych.

Henryk Panas (1912-1985) był dziennikarzem i pisarzem, naczelnym pisma „Warmia i Mazury”, autorem powieści regionalnych i słynnego apokryfu „Według Judasza”, tłumaczonego na osiem języków, stałym w lewicowych poglądach intelektualistą.

MK



Wacław Radziwinowicz (z lewej) odebrał nagrodę z rąk marszałka województwa warmińsko-mazurskiego Gustawa Marka Brzezina.

Pies w niemal co drugim domu

Wielu młodym parom szczeniak zastępuje dziecko

Rozmawia
Ewa Smolińska-Borecka

Według serwisu Statista, który w 2021 r. przeprowadził badania dotyczące populacji psów i kotów w krajach Unii Europejskiej, w Polsce jest 6,466 mln psów (nie wliczając bezpańskich). Pod tym względem zajmujemy w Unii piąte miejsce, po Niemczech, Hiszpanii, Włoszech i Francji. Pies jest w 43% gospodarstw domowych, co daje nam drugie miejsce w UE po Rumunii, gdzie psy są w 45% gospodarstw. Czy pan jako psycholog społeczny i zoopsycholog może powiedzieć, z czego wynika miłość Polaków do psów?

– Tego nie można stwierdzić w sposób jednoznaczny, bo jest to zjawisko złożone. Polacy nie mają jakiegoś genetycznego uwarunkowania ani predyspozycji psychicznych do posiadania i kochania psów. Ale wydaje się, że w tak trudnych i nieprzewidywalnych czasach, jakie mamy w ostatnich kilku latach, rola psa w naszym społeczeństwie wzrosła. Pies daje nam poczucie bezpieczeństwa oraz bezwarunkową miłość, kontakt z tym zwierzęciem redukuje napięcie i stres.

Jak to się dzieje?

– Na przykład głaskanie psa powoduje zwiększone wydzielanie hormonów związanych z zadowoleniem i przywiązaniem, takich jak dopamina czy oksytocyna. Dział

Grzegorz Plezia – magister psychologii Uniwersytetu Warszawskiego i magister ekonomii Szkoły Głównej Handlowej. Od ponad 15 lat zajmuje się zawodowo zagadnieniami psychologii społecznej, w swojej praktyce jest zoopsychologiem, behawiorystą i trenerem psów. Właściciel marki Dogolog i firmy Humans and Animals Counselling Solutions, w której na co dzień prowadzi terapię behawioralną, treningi psów i warsztaty edukacyjne, współpracując z opiekunami, hodowlami oraz schroniskami dla zwierząt. W 2023 r. współtworzył projekt Pet'nTravel, promujący „psiolubne” miejsca pobytu w Polsce.

GRZEGORZ PLEZIA

– psycholog społeczny
i zoopsycholog



Grzegorz Plezia jest właścicielem suczki JoJo – jack russell terriera, i psa Drega – małego münsterländera.

też relaksująco i odprężająco, powoduje również obniżenie ciśnienia krwi. Kiedy dołożymy do tego regularną aktywność związaną z codziennymi spacerami, otrzymujemy prozdrowotną mieszankę, korzystną dla kondycji fizycznej i dobrostanu psychicznego.

Czy jesteśmy bardziej zestresowani niż inne narody?

– Jesteśmy narodem, który bardzo dużo pracuje, a to może być źródłem ciągłego stresu. Poza tym przed

pandemią była bardzo wysoka presja na posiadanie i utrzymanie pracy. Po pandemii ta presja się zmniejszyła, ale poziom stresu w miejscu pracy wcale się nie obniżył, bo doszło poczucie osamotnienia i atomizacji relacji ze współpracownikami, związane z rozpowszechnieniem pracy zdalnej, w zespołach wirtualnych. Z badań przeprowadzonych w 2022 r. w Wielkiej Brytanii wynika, że 79% właścicieli psów jako główny powód ich posiadania wskazuje potrzebę towarzystwa na co dzień.

Czy pies jest bardziej pożądanym przez osoby starsze?

– Wiele osób starszych, które są na emeryturze, odczuwa osamotnienie, ma potrzebę kontaktu z innymi ludźmi. Pies, który wymaga kilkakrotnego w ciągu dnia wyprowadzania na spacer, sprawia, że ci ludzie spotykają się z innymi właścicielami psów. To bardzo

ważne. Z psychologicznego punktu widzenia posiadanie psa poprawia wiele elementów dobrostanu człowieka. Ma pozytywny wpływ na nasze samopoczucie, poprawia obraz samych siebie i podnosi samoocenę. Fakt, że jest obok nas istota, za którą jesteśmy w pełni odpowiedzialni i która nie domaga się od nas niczego w zamian, zrzuca z nas balast w postaci licznych zobowiązań społecznych. Porównajmy to z relacjami z innymi członkami rodziny, którzy mogą oczekiwać np. uwzględnienia w testamencie, otrzymania drogich prezentów lub uczestnictwa w uroczystościach rodzinnych. Znanie jest powiedzenie: wierny jak pies. To znaczy, że nawet gdy właściciel nie traktuje psa dobrze, on odpowiada przywiązaniem. Człowiek posiada psa tylko przez część życia, ale pies posiada człowieka przez całe swoje życie, dlatego relacja z nami jest tak silna.

Ale przecież w podobnej sytuacji jak Polacy są mieszkańcy innych krajów UE, a to wcale nie skutkuje tak wielką potrzebą posiadania psa. W czterech krajach Unii – Holandii, Austrii, Szwecji i Grecji – odsetek gospodarstw domowych posiadających co najmniej jednego psa jest poniżej 20%.

– Tak, ale na posiadanie psa składa się kilka aspektów. Na przykład dostęp do terenów zielonych. Jeśli przyjrzymy się większym miastom niemieckim, chociażby Lubece, to okaże się, że tam wokół budynków nie ma terenów zielonych. A dużym plusem blokowisk w Polsce jest to, że budynki są otoczone zielenią. W krajach zachodnich ograniczony jest też dostęp do parków, gdzie można by odbywać spacer z psem, są one często zamykane na noc. Tymczasem w Polsce jest wiele parków dostępnych całą dobę – w Warszawie park Kaskada na Żoliborzu czy park im. Księcia Janusza na Woli. To ważne w przypadku planowania zakupu lub adopcji psa. Kiedy kupowałem mieszkanie, przy wyborze jego lokalizacji kierowałem się także tym, by mieć łatwy dostęp do miejsc, w których będę mógł odbywać spacer i trenować z psami. Podobny trend widać w Stanach Zjednoczonych, gdzie ponad 80%

osób wybierających czy zmieniających miejsce zamieszkania bierze pod uwagę potrzeby swoich zwierząt domowych.

Czyli pies w tej chwili stał się ważnym członkiem rodziny?

– W ciągu ostatnich dwóch dekad zmienił się nasz stosunek do rodziny. Rodziny są mniej dietne, jest znaczna liczba rodzin patchworkowych, więzi w rodzinie ulegają osłabieniu. To zachęca coraz więcej osób do tego, by jako dopełnienie rodziny mieć psa. W 2017 r. firma Cognosco wykonała badania „Populacja psów i kotów w gospodarstwach domowych w Polsce”. Wynika z nich, że im większe gospodarstwo domowe, tym większa otwartość na posiadanie psa. Jedynie 17% gospodarstw jednoosobowych posiadało psa, podczas gdy aż w 60% gospodarstw cztero-, pięcioosobowych był pies.

Człowiek posiada psa tylko przez część życia, ale pies posiada człowieka przez całe swoje życie, dlatego relacja z nami jest tak silna.

Dodatkowo wzrost liczby restauracji, sklepów czy miejsc kultury deklarujących się jako „psiolubne” spowodował, że pies nie jest wykluczony z udziału w wydarzeniach rodzinnych i spotkaniach towarzyskich, nie musi być pozostawiany w domu.

Jak pan jako psycholog społeczny traktuje zjawisko rezygnowania przez wiele małżeństw czy par z posiadania dziecka i zastępowania go psem? O psach mówi się nawet psiecko.

– W ten sposób te pary realizują swoją potrzebę posiadania istoty, którą mogą się opiekować, a która jednocześnie daje im poczucie bezpieczeństwa i staje się substytutem pełnoprawnego członka rodziny. Jednocześnie zmienia się styl życia par milenialsów, szczególnie w dużych miastach. Zależy im na byciu mobilnymi i na dokonywaniu stosunkowo szybkich zmian w swoim życiu w zależności od aktualnych potrzeb. Pies jest pod tym względem mniej wymagający, łatwiejszy w przystosowaniu i zwyczajnie tańszy w utrzymaniu i opiece niż dziecko. Posiadanie

psa zapewnia poczucie celowości w życiu, nie zmieniając tak znacząco dotychczasowego sposobu życia jak pojawienie się dziecka.

Czy religia ma wpływ na stosunek do posiadania psa?

– Tak. Szczególnie w społeczeństwach z dużym odsetkiem wyznawców islamu to może mieć wpływ. Islam tradycyjnie traktuje psy jako zwierzęta nieczyste, których nie powinno się posiadać jako domowych pupili. Odmienny jest tam stosunek do kotów.

W czasie pandemii wiele osób zaadoptowało psa ze schroniska, żeby mieć więcej swobody, a potem je zwracało.

– To prawda. Ale też nie każdy decydował się na posiadanie psa, ze względu na ograniczenia w poruszaniu się bardzo popularne było pożyczanie psów od znajomych. Wydaje

mi się, że Polacy nie lubią być ograniczani. Tym, co daje nam poczucie wolności, jest m.in. fakt, że możemy wyjść z domu i pójść z psem, gdzie chcemy – nad rzekę, do parku, na poloniny. Na większą potrzebę posiadania psa wpływa również zmiana stylu życia. Coraz bardziej rozpowszechniony jest zdrowy tryb życia, wegetarianizm i weganizm, potrzeba bycia w bliskości z naturą, zgodnie z ekologią. Jesteśmy coraz wrażliwsi na krzywdy zwierząt, co towarzyszy wzrostowi wrażliwości na krzywdy ludzi. Nie wiem, czy ktoś się spodziewał, że w momencie rozpoczęcia wojny w Ukrainie społeczeństwo polskie zareaguje taką szeroką pomocą dla uchodźców. Pomagaliśmy także, przysparzając zwierzęta. **Nie można więc powiedzieć, że obecność psa w czterech na dziesięć gospodarstw domowych wynika z osobliwej miłości do tych zwierząt. To raczej złożona kalkulacja.**

– Kalkulacja z domieszką miłości.

e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Ornitolog z obozu

128 – tyle gatunków ptaków naliczył niemiecki ornitolog Günther Niethammer wokół obozu Auschwitz-Birkenau

Günther Niethammer, namiętny myśliwy i baczny obserwator, po wybuchu II wojny światowej zgłosił się do armii i został przydzielony do służb wartowniczych w rozrastającym się obozie. Mimo że mógłby być bezcennym świadkiem, po wojnie milczał jak grób. Jak to możliwe, że wrażliwy intelektualista nie dostrzega tragedii dziejącej się za drutami obozu? Co sprawia, że można prowadzić obserwacje ptaków z masową zagładą za plecami? Dlaczego po wojnie nie powie na ten temat ani słowa?

Beata Dżon-Ozimek i Michał Olszewski pracowali nad książką pięć lat, wyszło bowiem na jaw, że historia Niethammera ma różnorodne konteksty, w tym ten jakże istotny – rodzinny. Autorzy badają jego biografię, a wraz z nią losy polskich więźniów i niemieckich naukowców, ukazując życiorysy bohaterów, konformistów i zbrodniarzy. „Ptaki krzyczą nieustannie” to również historyczne śledztwo w sprawie nauki, która idzie na służbę morderców.

Beata Dżon-Ozimek i Michał Olszewski

Ciconia ciconia – bocian biały

Bocian biały jest powszechnie spotykanym ptakiem lęgowym, wszystkie gniazda są tu rozmieszczone na drzewach, nie są mi znane te na domostwach. Pierwsze bocianny widziałem 4 kwietnia: 10 ptaków przyleciało w okolice Soły. W te dni obserwowałem pierwszą parę ptaków, którą znalazłem w Pławach, gdzie później zbudowały gniazdo. Kolejne znalazłem w Pławach [...]; trzecie w Harmężach, czwarte zajęte w Birkenau. 12 maja obserwowałem 11 bocianów odpoczywających w pobliżu Dworów.

Z obozowych zeznań Władysława Siwka: „W pierwszych dniach kwietnia 1943 r., już po zgaszeniu światła, usłyszałem – jako szósty, ostatni – mój numer. Ogolony i ostrzyżony miałem następnego dnia zgłosić się do izby pisarskiej. Przeżyłem noc przed rozstrzelaniem. Rano zobaczyłem u siebie całkowicie siwy zarost, który pozostał już do końca życia. Oprócz mnie zgłosiło się pięciu więźniów. Przyszedł esesman z karabinkiem i sprawdził nasze numery (w obozie nie było nazwisk więźniów, były tylko numery). Pięciu więźniów zabrał na rozstrzelanie, mnie zostawił na korytarzu. Okazało się, że byłem wezwany, aby zamalować białą farbą szyby w oknach. [...]



W lipcową niedzielę kapowie urządzili w obozie mecz piłki nożnej. Nagrodą dla zwycięzców był kocioł zupy. Graliśmy z komandem szewców. Szewcy wygrali zupeł”.

Pożółkła kartka z notatkami z obserwacji ptaków, data: 14 kwietnia 1943 r. Synek Günthera, musi to być ośmioletni Jochen, o którym wiadomo, że podobnie jak ojciec interesuje się przyrodą, podgląda go, a z obserwacjami ptaków jest w naturalny sposób obeznany.

Odnotowuje: „Kos. Tata znajduje gniazdo w żywopłocie w ogrodzie. Samiczka składa [ktoś dorosły poprawia na »wysiaduje«] o 7.30 trzy jaja”.

To chyba jednak pismo Günthera, tym razem bardzo wyraźne, żeby syn mógł przeczytać. Dopiero później zaczynają się kulfony piórem: „O wpół do szóstej (wieczorem) samiczka siedziała w gnieździe. Pięć minut później odfrunęła. Godzinę później znowu siedziała w gnieździe”.

Kolejna notka ręką chłopca, z 15 kwietnia: „O wpół do siódmej samiczka siedzi w gnieździe. O wpół do dziewiątej odfrunęła. O wpół do dwunastej odfrunęła. Wpół do drugiej znowu siedziała w gnieździe”. Przez kolejne dni wpisy na kartce uzupełniane są ręką Günthera: samiczka wysiaduje nadal, samiec się nie pojawia.

Obserwują też gniazdo drozda. Dziecięca rączka pisze krzywo ołówkiem 27 kwietnia: „16.30 młode się wykluły, ale te drozda nie”.

To znaczy, że tato, Günther, po był trochę w wiedeńskim domu z rodziną.

Wspólne obserwacje, wyprawy będą się wielokrotnie powtarzać.

Jochen cierpliwie uczy się sporządzania notatek z obserwacji zwierząt.

Chce być taki jak tata.

Wiedeńskie Muzeum Historii Naturalnej publikuje kolejny, 53. rocznik, za rok 1942. Tata Jochena napisał tam trzypięciowy tekst o obserwacjach życia ptaków z Auschwitz: „Nachtrag zu den ornithologischen Beobachtungen in Ost-Oberschlesien” [Dodatek do obserwacji ornitologicznych na wschodnim Górnym Śląsku]. (...)

Jesienią 1943 r. Władysław Siwek trafia do komanda, które opracowuje plany rozbudowy obozu. To czysto pragmatyczna decyzja esesmana sprzedającego pod swoim nazwiskiem wykonywane przez Siwka obrazy o tematyce myśliwskiej. Żeby ustrzec go przed zagrożeniami, załatwia artyście ekskluzywną pracę. Siwek maluje dwa duże obrazy olejne: „Budowę Werkhalle” (zakłady Kruppa) i „Budowę Erweiterungu”

„Niemieckie badania nad zwierzętami przeżywają swoje wspaniałe dni także podczas wojny, a z młodej kadry naukowej możemy być dumni”.

(nowa część obozu). To detaliczne, pełne szczegółów, choć pozbawione drastycznych szczegółów obrazy, z tłumami robotników, końmi, wozami, na jednym widać wyraźnie dźwig. Siwek ma za zadanie pokazać rozmach przedsięwzięcia. Ale to nie wszystko: w grudniu razem z dwoma więźniami rozpoczyna pracę nad makietą nazwaną roboczo „Oświecimy przyszłość”. Gipsowy model o powierzchni dwóch metrów na trzy obejmuje widły Wisły i Soły. Ma za zadanie pokazać punkt dojścia, moment, kiedy obóz osiągnie maksymalne (przynajmniej na chwilę) rozmiary. Zbudowana na sześciu płytach i rusztowaniu makietą nie przetrwa do końca wojny, ale detaliczna pamięć artysty pozwoli na szczegółowe odtworzenie tego projektu. Więzień Siwek zajmuje się topografią, więzień Paczesny zadrzewieniami, a więzień Frank architekturą. Budynki mają kolor biały, place i drogi żółty („ugier z bielą” – wspominał artysta), a reszta zielony („zieleń z bielą”). Wykonawcy otrzymują niezwykle, jak na więźniów, uprawnienia, co pokazuje, że projekt traktowany jest przez władze obozu priorytetowo. Dostają do rąk zdjęcia lotnicze obozu, plany z archiwum, przez miesiąc mogą swobodnie poruszać się w terenie, dokumentując jego ukształtowanie. Jest i nagroda: za dotrzymanie terminu cała trójka otrzymuje obietnicę zwolnienia z obozu.

Zamierzenia władz obozowych są ambitne, a plany – dalekosiężne. Łącznie teren obozu ma zająć powierzchnię 40 km kw. Auschwitz I ma obejmować budynki starego obozu i tzw. Neubau, czyli teren ciągnący się w kierunku Brzezinki. Auschwitz II to inna nazwa Birkenau. W centrum założenia architektki planują plac apelowy, sześć dużych, dwupiętrowych bloków dla esesmanów przy szosie wzdłuż Soły (mają stać w układzie wachlarzowym

ze względu na zakręt szosy). Na terenie Rajsa powstaną wille dla członków załogi i ich rodzin, ustawione w schodkowatych rzędach. Do tego stadion. Na makiecie trzeci odcinek obozu Birkenau („Meksyk”) zyskuje ostateczny kształt – zamiast 32 baraków widać 188, łącznie dla 60 tys. więźniów.

Widać również już ukończony w wyobraźni planistów odcinek IV, dla kolejnych 60 tys. osób.

Początek maja 1943 r. Günther spędza w „naukowej bazie” Instytutu Tybetańskiego im. Svena

Kriebstein. Prosi brata o przystanie niektórych jego trofeów łowieckich, ma miejsce w Wiedniu, by je zawieść. Polowania na kozice w styryjskim Kleinalm powinny się udać.

Jochen, najstarszy syn, ma szkarlatynę i trafia do szpitala. Drugi, Gerd, sprawia trudności wychowawcze. Jest niegrzeczny, rozrabia. Ruth przebywa z dziećmi w Wiedniu.

W Rzeszy coraz trudniej o żywność i inne towary, większość jest racjonowana, zmniejszane są racje mięsne. Dzieci nie mają co liczyć na nowe zabawki, ich produkcja jest stopniowo wygaszana. Przejazdy koleją Reichsbahn są ograniczane, reglamentowane, godziny pracy urzędników zostają wydłużone, a sklepy nie mogą być zamykane z powodu urlopów.

Niethammerowie niezmiennie polują.

Na początku listopada Wilhelm musi się ze Styrii ewakuować w jakichś dramatycznych okolicznościach; nie podaje szczegółów. Zapewne spełni prośbę młodszego brata Günthera o wystanie mu sześciu paczek papieru, choć „skrzynie są teraz takim skarbem w fabryce jak kawa ziarnista w domach”. Szykuje się u nich w Kriebstein pokaz trofeów łowieckich, brat żałuje, że nie zdąży przygotować medalowych wieńców jeleni.

Wiedeńskie Muzeum Historii Naturalnej publikuje kolejny, 53. rocznik, za rok 1942. Niethammer napisał tam trzypięciowy tekst o obserwacjach życia ptaków z Auschwitz.

Hedina w zamku Mittersill w kraju salzburskim.

Zaprzatają go polowania i plany polowań, tak przynajmniej można wywnioskować z listu pisanego 4 maja do rodzeństwa. Trzy tygodnie później zmienia zdanie, nie liczy na tegoroczne polowania na jelenie w rodzinnych okolicach: „Nie dam rady się przemieszczać z moim prawem jazdy Wehrmachtu”; poza tym jak miałby się pokazać jako cywil, kiedy wszyscy mężczyźni są na wojnie, nie dojedzie więc do

Günther pisze z Mittersill w Pinzgau, że jest w zamku, ma pokój i jest mu tam całkiem dobrze. Ma już zaplanowane polowania.

23 listopada Günther odpowiada Wilhelmowi, „kochanemu Mine”. Dziękuje za barwną opowieść o polowaniu. Dziękuje także za filc na onuce. Z najwyższą przyjemnością czyta list brata i przeżywa rykowsko jeleni, jakby przypatrywał mu się z bliska.

Wkrótce sam wybiera się do Wiednia na zaplanowane polowanie. ▶

► Pisze bratu, że żal mu kolegów z oddziału, którzy zostali na Peloponezie. Czterech zginęło, jeden stracił nogę, przeżyło dwóch.

Kolejny list od Wilhelma datowany jest na 29 listopada. Brat nie ma dobrych wieści: Irma i Horst stracili mieszkania, wszystkie meble zostały wywiezione, nie można tam wchodzić. Może załatwi sobie jakieś zatrudnienie w Berlinie. Prosi o zwrot pustych skrzynek, są na wagę złota. W tym czasie w Teheranie obradują Churchill, Roosevelt i Stalin, debatują na temat reorganizacji Europy po zakończeniu II wojny światowej. Zobowiązują się do utworzenia drugiego frontu w Europie Zachodniej w maju 1944 r. i jednocześnie ofensywy Armii Czerwonej.

Tymczasem 28 listopada 1943 r. ukazuje się „niedzielny tygodnik dla miasta i wsi” – „Die Grüne Post”. Egzemplarz kosztuje 20 fenigów. Obok polecanych artykułów ze świata filmu, opowieści myśliwego z Afryki o złowieniu leoparda i kryminału o diamentach zrabowanych z sejfów jest i powiastka ze świata nauki: „Tempo w niemieckich badaniach zwierząt. Nowe odkrycia”. I tu bohaterami są nie kto inny, jak dr Günther Niethammer oraz jego sierpowki z Wiednia i ptaki odkryte na Krecie oraz zająć z Peloponezu.

Podtytuł mówi: „niemieccy naukowcy odkrywają”. Dr Niethammer, młody naukowiec, jak opisuje go gazeta, jest u siebie w gabinecie w Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu, pracuje, mimo że ma urlop. Opowiada o gołębiu o długim ogonie, którego w sąsiedztwie obserwuje od kilku miesięcy, dokładnie od 30 kwietnia – tę datę pamięta znakomicie, podobnie jak zadziwienie, że tutaj, w Wiedniu, dziesiątki kilometrów od Węgier, gdzie w 1932 r. natknęto się na tego ptaka, czy kawał drogi od Słowacji, gdzie odkryto sierpowkę w 1939 r., ten gatunek się osiedlił. Gazeta drukuje zdjęcia sierpowki i pyta czytelników, czy ktoś ją może w Niemczech widział. Ornitolog uważa, że dalej w głąb Niemiec się nie przeniesie, że Wiedeń stanowi granicę jej występowania. Niethammer wyjaśnia, że podczas greckiej wyprawy badawczej odkrył na Peloponezie zającą, bardzo rzadkiego, zagrożonego wyginięciem. Dwa dni na niego polował i jak przyznaje, „to było emocjonujące”. Zwierzątko ma wyjątkowo długie uszy: zwykle zajęcze „słuchy” mają po 110-120 mm, a te upolowane przez naukowca – obydwa – miały po 165 mm. Opisem ssaka zajął się inny specjalista, dr Otto von Wettstein, miał także prawo i obowiązek nadać mu

nazwę. Długouchy peloponeski zając nazywa się: *Lepus europaeus niethammeri*.

Pośród zaś bałg, skórek ptasich pochodzących z Krety, których von Wettstein dostarczył Niethammerowi aż 268, trzy rodzaje nie są podobne do znanych europejskich ptaków. Odróżniają się m.in. dłuższym dziobem i krótszymi skrzydłami. Tym razem, jako ornitolog, to Niethammer je opisuje i musi je nazwać. Jednemu z trzech nowych podgatunków lerki nadaje nazwę pochodzącą od odkrywcy, *Lullula arborea wettsteini*.

Ponadpółstronicowy artykuł w gazecie kończy się słowami: „Zgodnie z tymi wynikami można na pewno uznać, że niemieckie badania nad zwierzętami przeżywają swoje wspaniałe dni także podczas wojny, a z młodej kadry naukowej możemy być dumni”.

Z zeznań Władysława Siwka: „Oprócz wymienionych w treści oświadczenia SS-manów przypominam sobie jeszcze następujących:

Ninkaus – Blockführer. W zimie 1940/1941 miał zwyczaj przed wyjściem na apel poranny wylewać wodę na więźniów – z wiader stojących na sali.

Seidler – zastępca Schutzhaft-lagerführera. Miał dwa tresowane wilczury, które poszczute na więźniów rzucaty się na nich, wyrwijac im genitalia.

»Perełka« (pseudonim nadany SS-manowi przez więźniów) – pilnował więźniów również z tresowanymi psami na Industriefhof III.

»Dusiciel« (pseudonim nadany SS-manowi przez więźniów) – SS-Unterscharführer Storch był Blockführerem bloku 22. W 1942 r. w okresie wiosny i lata przychodził do umywalni bloku podczas rannej mycia, upatrywał sobie ofiarę wśród więźniów, a następnie mordował ją, dusząc”.

Fragmenty książki Beaty Dzon-Ozimek i Michała Olszewskiego *Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz, Czarne, Wołowiec 2023*



BAJIT CHADASZ

SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ
(1996-2023)

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA
WRZESIEŃ - LISTOPAD 2023

30 LAT
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
(1993-2023)

31-058 Kraków, ul. Meiselsa 17,
tel. (12) 430-64-49, www.judaica.pl
facebook.com/judaica.krakow info1@judaica.pl

Wykonawca programu i inicjator:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy

Patronat medialny

Zobacz program:

Współpraca redakcyjna:

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Izrael, ciąg dalszy

Skandowane często na wiecach w Izraelu hasło to: *Yariv Levin po ze lo Polin*, tłumacząc dosłownie: Jariwie Lewin, tutaj to nie Polska. Lewin jest ministrem sprawiedliwości, autorem reformy systemu sprawiedliwości, przeciwko której już od 33 tygodni protestują Izraelczycy. Nie ma w Izraelu konstytucji, dlatego tak ważny jest sąd. Netanjahu, nazywany tu pieszczotliwie i złośliwie Bibim, chce, by Kneset miał kontrolę nad sądem. Żeby uzyskać większość w Knesecie, podobierał sobie skrajne partie. Będzie więc kontrolował sądy. A ma otwartych kilka spraw karnych.

W szabat Izrael staje, wszystko zamknięte, a religijni nie mogą wykonywać żadnej pracy, nawet windy automatycznie zatrzymują się na każdym piętrze, bo ortodoks nie może przyciskać guzika, to przecież praca. W Tel Awiwie jednak kursowała w ten dzień szybka kolej miejska. Już nie kursuje. Coraz więcej dzieci ma tu nadwagę. Poprzedni rząd wprowadził więc dopłatę do słodkich napojów. Rząd Bibiego wycofał ten przepis ze względu na religijnych, ich dzieci bardzo lubią słodkie. Takich absurdów co niemiara, u nas też przecież religijni zakazali handlu w niedziele, bo ludzie mają siedzieć w kościołach, a nie w sklepach. Niedawno w Tel Awiwie ortodoksi zażądali, by kobiety przeszły na tył autobusu, a sami ulokowali się z przodu. Tego jeszcze nie było. Ludzie wyszli na ulice. W miasteczku ortodoksów także urządzono manifestację, jakaś dziewczyna zdjęła bluzkę i biustonosz.

Od razu po przyjeździe do Tel Awiwu natknęliśmy się na obiekt wojskowy i rzeszę ludzi w mundurach, chłopców i dziewcząt, młodzi tam wchodzili i wychodzili. Nad dziwnym niskim budynkiem królowała wielka wieża. Przypominałem sobie, że to Kirja, baza wojskowa, zamurzona w ziemi na wiele pięter. Centrum dowódcze. Byłem w niej kiedyś, co niezwykle, bo nie wpuszcza się tam dziennikarzy. Załatwiła mi to przyjaciółka, pianistka i pisarka Viola Wein, która potrafi wszystko załatwić. Pisałem wtedy reportaż o kobietach w armii izraelskiej. Spotkałem się z wysokimi rangą oficerkami, które z mety posądziły mnie o męski szowinizm. Byłem w strachu. Teraz wzruszająca scena: na murku siedzi mężczyzna w średnim wieku, widać, że na kogoś czeka. Wychodzi z bazy dziewczyna w mundurze, przytula się do niego – więc to ojciec – i strasznie płacze. Jestem pewien,

że ma jakieś przykrości w wojsku, dziewczęta często źle tu znoszą służbę, jest nie na żarty też dla kobiet, chociaż nie ma pruskiego drylu, oficerowie są na ty z rekrutami, siłą izraelskiej armii jest wywiad, tam idą najcięższe umysły. Żołnierze na przepustkę wychodzą z bronią. Widać ich na ulicy. Czasami ładne dziewczęta uwodzą zawieszonymi na ramieniu karabinami maszynowymi, na które spływają długie włosy. Armia jest w Izraelu najważniejsza. Dlatego bunt w armii i w siłach specjalnych przeciwko obecnemu rządowi, co jest już faktem, może mieć poważne konsekwencje.

Wszędzie słyszy się język rosyjski, 2 mln rosyjskich Żydów przybyło tu przed laty, wychodzą gazety po rosyjsku, są rosyjskie teatry, w muzeach pilnujący zbiorów to niemal zawsze „Rosjanie”, ale część tych rosyjskich Żydów to podróbki. Od kiedy przyjechali „Rosjanie”, zaczęło się pijaństwo, którego tu nigdy nie było. Karolina

była nauczycielką, opowiada, jak jej rosyjscy uczniowie popili się na wycieczce.

Izrael sprzedał niedawno Niemcom rakiety. Żydzi sprzedają wyrafinowaną broń Niemcom, 80 lat po wojnie, po której miało

ich nie być. Właśnie, czy Żydzi? Viola mówi: w Izraelu nie ma Żydów, Żydzi to ci w rozproszeniu, tu są Izraelczycy, czyli sto różnych nacji, które zjechały się z całego świata. „A ortodoksi?”, pytam podstępnie. Odpowiada: „To nie Żydzi, tylko zboczone, fanatyczne, mesjaszowo-pasożytnicze oszołomy”.

Z Ewą znamy się od lat, zawsze narzeka, ale z wdziękiem, katastrofistka, mówi: „Dobrze, że spotkaliśmy się teraz, za rok tego kraju już nie będzie. Pozabijamy się nawzajem i wszystko się rozleci”. Marek Janai, znakomity malarz, miał 10 lat, gdy wyjechał z Polski, i język polski mu zardzewiał, wypowiada się z ogromnym namysłem: „U nas nie tylko jest obrzydzenie, my się boimy”. Na dodatek w granicach państwa jest milion Palestyńczyków, a za granicami wrodoży sąsiedzi. Marek odwozi nas samochodem do Jaffy, która jest już częścią Tel Awiwu. Piękna malutka starówka, potem plaża i tańce z falami. Obok słyszę, jak ktoś mówi po polsku: „To teraz po piwku i do morza”. A do tego morza wchodzi właśnie Arabka okutana w swój strój od stóp do głów i tak skromnie się kąpie, gdy obok królują stringi.

Nie ma jednego kina kobiet

Wspieramy osoby tworzące filmy,
które mają wpływ na rzeczywistość

Rozmawia Artur Zaborski

HER Docs Forum przybliży widzom kino dokumentalne kobiet. Jaka jest jego sytuacja?

– Zajmujemy się pewnym wycinkiem kina tworzoną przez kobiety, ale uwzględniamy także inne niedoreprezentowane gatunki. Pokazujemy filmy eksperymentalne, animacje czy video-art. W tych przypadkach z parytetem jest lepiej. Gatunki te potrzebują mniejszego dofinansowania, które łatwiej zdobyć. Zarówno polskie, jak i zagraniczne badania dowodzą, że kobietom niechętnie powierza się wysokobudżetowe produkcje. Oczywiście mowa tu o kinie producenckim, ale ze strony instytucjonalnych fundatorów również widać brak zaufania. Często twierdzą oni, że kobiety nie podołają pewnym zadaniom. Ten problem wynika z wielu czynników. Dopiero co celebrowaliśmy w Polsce fakt, że na reżyserię w łódzkiej Filmówce dostały się wyłącznie kobiety. To było wydarzenie, o którym się mówiło. A kiedy na wydział dostawali się sami mężczyźni, nikt nie poruszał tematu. Nigdy nad tym się nie zastanawialiśmy, nie budziło to kontrowersji.

Podobnie było, gdy Rosjanie najechali Ukrainę. Niektórzy wtedy odkryli, że dokumenty o wojnie kręcą też kobiety, choćby Adelina Borets, a stereotypowo przypisywano to jedynie mężczyznom.

– Stereotypy zdecydowanie są silnie powiązane z binarnym podziałem na to, co męskie i kobiece, na racjonalne, chłodne podejście oraz emocje i wrażliwość. Oczywiście podobne myślenie to bzdura. Zresztą takie filmy powstawały już wcześniej, w innych miejscach konfliktu, np. w Syrii czy Kurdystanie, do których narażając życie,



WERONIKA ADAMOWSKA

– współtwórczyni inicjatywy HER Docs, która od pięciu lat wspiera i upowszechnia kino dokumentalne kobiet w Polsce i za granicą; współorganizatorka HER Docs Forum.

jeździły kobiety. Faktycznie w przypadku Ukrainy rzuca się to w oczy najbardziej, bo chęć wsparcia osób, które ucierpiały w tym konflikcie, jest w nas bardzo duża. Pomagamy zarówno w zwiększaniu widoczności tego tematu, jak i w uzyskiwaniu finansowania.

Da temu wyraz tegoroczne HER Docs Forum.

– Tak, planujemy m.in. przegląd najnowszego ukraińskiego kina dokumentalnego kobiet. Bo kobiety mają dokładnie takie samo spektrum tematów, nad którymi się pochylają, jak każda inna osoba tworząca filmy. Najlepszym przykładem są opowieści o sytuacji na granicy z Białorusią, które tworzą m.in. Zuzanna Solakiewicz i Lidia Duda. Nie lubię sformułowania kino kobiece, które automatycznie uruchamia w naszych głowach stereotypowe skojarzenia z kinem na obcasach. Nie ma jednego kina kobiet – ten zakres jest przebogaty. Jeśli już chcemy go wyrazić, lepiej powiedzmy o kinie autorstwa kobiet.

Jaki obraz świata wylania się z filmów, które wybrałyście do programu?

– Jak zawsze zależało nam na różnorodności geograficznej i tematycznej. „Żółty sufit” Isabel Coixet opowiada o szkole teatralnej w Hiszpanii, której studentki przez wiele lat były wykorzystywane seksualnie. Mamy również film o życiu położnych w Mjanmie, niosących pomoc ciężarnym w regionie objętym konfliktem etnicznym. Zobaczymy film „Mara. Białoruski sen” Sashy Kulak, opowiadający w oniryczny sposób o protestach w Mińsku w 2020 r. Dwie inne produkcje mówią o sytuacji na granicach Unii Europejskiej i kryzysie humanitarnym z różnych perspektyw – tę francusko-włoską przedstawia Juliette de Marcillac w filmie „Pod osłoną nocy”, natomiast do granicy polsko-białoruskiej odnosi się Zuzanna Solakiewicz w „Dobrej wiadomości”. Współautorem filmu jest jej

Weronika Adamowska – od 15 lat związana jest z branżą filmową, pracując naprzemiennie jako programerka i kuratorka, konsultantka przy projektach filmowych, organizatorka wydarzeń filmowych oraz dystrybutorka filmowa. Stypendystka programu Berlinale Talents.

partner, Zvika Gregory Portnoy. Zaprezentujemy również film „Zielone życie miast”, który w lekkiej i optymistycznej formule opowiada o tym, że powinniśmy myśleć o urbanistyce i samych miastach w zdecydowanie bardziej zrównoważony sposób. Jego autorzy to francuski duet Manon Turina i François Marques. Oboje pracowali wcześniej w korporacjach i poczuli, że chcieliby zrobić coś znaczącego. Wzięli kamery i wyruszyli w podróż, aby zrozumieć, jak może wyglądać nasza miejska przyszłość i jakie rozwiązania są potrzebne, aby miasta stały się zrównoważonymi przestrzeniami.

Z tego, co wymieniasz, wylania się obraz tematów ważkich społecznie, zaangażowanych.

– Zaangażowane spojrzenie to temat tegorocznej edycji HER Docs Forum. Nie możemy zapominać o tzw. POV, czyli subiektywnym punkcie widzenia, który determinuje to, w jaki sposób odbieramy poszczególne tematy. Jest to bardzo ważne w przypadku kina dokumentalnego, ponieważ odczytujemy je najczęściej wyłącznie jako prawdę i zapis zgodny z rzeczywistością. Umyka nam, że tego subiektywizmu nigdy nie uda nam się pozbyć w stu procentach. Odbiliśmy już wiele dyskusji na temat męskiego i kobiecego spojrzenia w kinie, a nam z kolei zależy na analizowaniu kina dokumentalnego pod względem jego zaangażowania. Wojna w Ukrainie uświadomiła nam, że chcemy wesprzeć osoby tworzące kino, które ma wpływ na rzeczywistość. Kino, które dąży do tego, żeby ta rzeczywistość była lepsza. Chciałyśmy się skupić na kinie dokumentalnym zaangażowanym społecznie, bo często ma ono najtrudniej.

A tworzące je osoby nieraz płacą za to wysoką cenę, choćby własnego zdrowia.

– Problemy o podłożu psychologicznym są częste, bo waga podejmowanych tematów sprawia, że twórcynie i twórcy muszą zadbać także o siebie. Trzeba mieć na uwadze, że tworzenie filmu dokumentalnego to bardzo długi, drenujący proces. Popularnym określeniem używanym w stosunku do dokumentów stał się ostatnio impact,



Tegoroczna edycja **HER Docs Forum** odbędzie się **13-17 września w Warszawie**. Wydarzenie organizowane jest przez Fundację HER Docs, Goethe-Institut w Warszawie i Instytut Francuski w Polsce. **Więcej informacji na www.herdocs.pl.**

czyli wpływ, zmiana. Chcemy wspierać dokumentalistki, które tworzą właśnie takie kino. Nasza idea opiera się na zwracaniu się do szerokiego grona publiczności, dlatego przegląd festiwalowy, który towarzyszył nam przez dwie edycje, oczywiście z nami pozostanie. Zależało nam jednak na rozbudowaniu sekcji poświęconej dokumentalistkom i części eksperckiej. W tym roku zorganizujemy więc trzydniowe forum branżowe, łączące ze sobą dokumentalistki, jak również aktywistki, naukowczynie i artystki wizualne. W trakcie festiwalu będziemy też rozmawiać o tym, jakie relacje nawiązują się między twórczyniami a bohaterami i bohaterkami filmów, jak chronić osoby, które portretujemy, jak nasza praca może wpływać na ich życie i wreszcie jak w tych relacjach możemy chronić same siebie.

Czy dziś kino dokumentalne faktycznie może wywołać jakąś zmianę?

– Osoby, które tworzą filmy, z pełną świadomością zaczynają je traktować jako narzędzia wpływu. Ale to złożony proces, ponieważ wpływ, który chcemy wywrzeć, musi mieć miejsce zarówno na poziomie legislacyjnym, jak i w świadomości obywatelskiej oraz edukacji. Trzeba włożyć dużo pracy w to, żeby te zmiany faktycznie zaistniały. Na świecie powstało jednak wiele filmów, które są przykładami dobrze

przeprowadzonych kampanii tego typu. Wystarczy prześledzić wpływ filmografii Laury Poitras, reżyserki m.in. „Citizenfour” oraz „Cafe to piękno i krew”, którego bohaterka, Nan Goldin, walczy z wielką korporacją uśmiercającą swoich pacjentów. Poitras jako znana reżyserka ma siłę przebicia i dociera do mediów, a jej film zyskał widoczność na bazie poprzednich produkcji, kandydował do Oscara i jest pokazywany nie tylko na festiwalach, trafia też do dystrybucji kinowej w wielu krajach. Uświadamia on widzom globalną skalę problemu i dociera do publiczności, która mogła w ogóle nie mieć styczności z tym tematem. Według mnie film to medium, którego potencjał tkwi w warstwie wizualnej.

Istotnym nośnikiem danych w naszym świecie nadal pozostaje telewizja, która wyrządza sporo zła w tych krajach, gdzie jest przestrzenią zawłaszczaną przez władze. Na szczęście mamy media alternatywne. Kto wie, czy gdyby twórcy Netfliksa pewnego dnia stwierdzili, że nie będą już dostarczać rozrywki, lecz skupią się na wybranym aspekcie obywatelskim i dokonają selekcji tematycznej, to platforma nie zyskałaby większej siły przebicia niż telewizja i social media. Uwydatnienie problemu i okazywanie wsparcia bohaterkom i bohaterom można już nazwać istotnym wpływem. ■

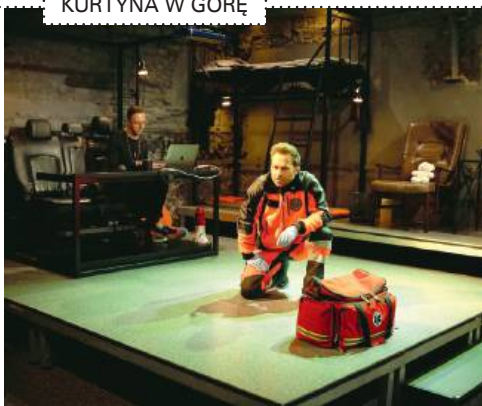
KURTyna W GÓRĘ

Ratownik

Marcin Hyncar maluje sugestywny wizerunek ratownika medycznego. Właściwie nie tyle maluje, ile rekonstruuje, bo materię do tego wizerunku stworzył Jakub Sieczko, lekarz pracujący kilka lat w pogotowiu ratunkowym na warszawskim Grochowie. A więc to literatura faktu, prawda życia utrwalona w książce i przeniesiona na scenę.

Powstał w ten sposób poruszający monodram o codzienności ratownika. Rzecz o kosztach psychicznych obcowania ze śmiercią, nierzadko bezradności lekarza w obliczu nieodwracalnego zaniku funkcji życiowych, niewyobrażalnym trudzie sprostania zdarzeniom ostatecznym, kiedy trzeba wypisać akt zgonu i poinformować najbliższych, że właśnie nastąpiła śmierć i nic już nie da się zrobić. A potem wyjść i zostawić tę śmierć za drzwiami.

Hyncar mówi o tym wszystkim bardzo prawdziwie, choć czasem ze ściśniętym gardłem. Powściągając emocje, przytacza dziesiątki sytuacji, z którymi lekarz pogotowia musi się zmagać. Nieraz trzeba pokonać naturalną niechęć do brudu melin, wyglądu bezdomnych, smrodu zapijaczonych. Albo pokusę okazania ludzkiej solidarności samotnym, opuszczonym starszkom, dla których wezwanie pogotowia to jedyna szansa spotkania z drugim człowiekiem.



„Pogo”, adaptacja i reżyseria Kinga Dębska, Teatr Polonia, premiera 15 czerwca 2023

Są momenty czarnego humoru, pewnego luzu. Ratownik broni się przed okazywaniem współczucia i słabości tarczą profesjonalizmu. Ale kiedy w grę wchodzi walka o życie dziecka, zderzenie z niesprawiedliwym wyrokiem zawisłym nad życiem dopiero rozpoczętym, zawodzą wszystkie mechanizmy obronne. Głos się łamie, tzy pojawiają się same.

Spektakl dystansuje się od cukierkowo-bohaterskiego wizerunku ratowników z popularnych seriali. Hyncar z talentem parodiuje te zwycięskie pozy rodem z westernów

i „Gwiezdnych wojen”, które wnoszą patos i ekranową wzniosłość niezawodnych herosów do codzienności medyków. Ale mimo że wykpiwa słodkie telewizyjne malowanki, pokazuje również te rzadkie momenty, kiedy uratowani przez pogotowie okazują wdzięczność, kiedy widać, że ratownicy naprawdę prowadzą walkę o najwyższą stawkę.

Czasem ta walka ma dramatyczne następstwa. Niektórzy nie wytrzymują napięcia, staczają się w otchłań uzależnień, szukając odtrutki na stresy. A pewnie wszyscy – bo tak się ta opowieść domyka – marzą o chwilach, kiedy już nikogo nie muszą ratować, kiedy mogą się delektować swoimi małymi radościami.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Andrzej Jeznach

Sprawa diabła

Prószyński i S-ka, Warszawa 2023

Otwierające „Sprawę diabła” sceny mają prawo wydać się znajome. To była 10 lat temu sensacja – odkrycie ponad tysiąca prac znanych artystów, m.in. Picassa, Matisse’a czy Degasa, zachomikowanych od czasu II wojny przez niepozornego starszego pana z Monachium. *Raubkunst* wciąż budzi emocje, również dlatego, że nieraz

bardzo odlegli spadkobiercy prawowitych właścicieli upominają się o zagrabione przez nazistów dzieła – jeśli już udaje się je odnaleźć. Ale przypisywany Rembrandtowi obraz, dyskretnie odsprzedawany po wojnie, staje się u Jeznacha przede wszystkim śladem zakazanej miłości Polki i niemieckiego żołnierza. Jasto, gdzie tych dwoje się poznało, jesienią 1944 r. zostało z woli hitlerowskiego starosty Waltera Gentza w zasadzie starte z powierzchni ziemi. Obfity materiał faktograficzny zręcznie dopełniła wyobraźnia autora, zastanawiającego się, skąd ta zaciekałość w niszczeniu, lecz także stawiającego szersze pytania o odpowiedzialność – za zbrodnie, za grabieże. Niekiedy w spokojnej narracji, wędrującej między współczesnością a przeszłością, pobrzmiewa ton mentorski. W sumie nie ma co się dziwić, przedsiębiorca Jeznach dotąd dzielił się w książkach doświadczeniami z dziedziny biznesu.

Aleksandra Pańko

BYLIŚMY



Moniuszko w Indiach

Dla Stanisława Moniuszki temat hinduski był sposobem na zainteresowanie zagranicy jego nową operą. Dla Fabia Biondiego wykonanie „Parii” w Warszawie jest kolejnym dowodem uznania dla talentu polskiego kompozytora. Solistów sprowadził z Ameryki Łacińskiej, a chór z Białegostoku. Śpiewano po włosku. Będzie nagranie płytowe. Atrakcja dla melomanów.

Bronisław Tumitowicz

Stanisław Moniuszko, „Paria”, dyrygent Fabio Biondi, Europa Galante, chór i soliści, wykonanie podczas Festiwalu Chopin i jego Europa, 25 sierpnia 2023



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Drżące istnienie

Poeta Majzel wysłał SMS-a ze skargą, że znalazł w antykwariacie swój tomik sprzed bez mała ćwierćwiecza z własnoręczną dedykacją. Tłumaczę mu, że kiedy sprzedawałem dom, nikt nie chciał przyjąć mojego księgozbioru, ostatecznie cieszę się, że nabywcy chciało się książki oddać w dobre ręce antykwariuszy, zamiast wystawić je na śmietnik. Ileż tam było rarytasów, które dziś pewnie ucieszą ginący gatunek łowców starych tomów poezji! Na przykład „Kadysz” z osobistym wpisem Allena Ginsberga, któremu jako naiwne szczenię wpadłem w oko po spotkaniu autorskim (w 1994 r. w Katowicach przygrywał na harmoszcze i wypluwał z siebie „Skowyt”, rozglądając się za śląskimi adonisami). Szczęśliwcy, którzy dotrą do tomów bardziej klasycznych, mogą także się natknąć na autografy sfingowane, mieliśmy bowiem w czasach studenckich okrutne poczucie humoru. W grupie Na Dziko bawiliśmy się setnie i dziko. Podczas lirycznych libacji w domostwach młodych poetów zwykliśmy się zakradać do bibliotekzek i wpisywać krotocwilne dedykacje od autorów nieżyjących, przeto znalazłem niegdyś nawet w „Iliadzie” lakoniczny, lecz jakże ważki historycznie palimpsest na stronie tytułowej: „Kucziemu – Homer”, spreparowany bodaj przez Maćka Meleckiego wspólnie z Grzesiem Olszańskim. Ceniłem sobie kilka, może kilkanaście tytułów, pod którymi wpisywali mi się autorzy z najwyższym wysiłkiem – jeden z poetów warmińskich w stanie umiarkowanego obłędu ledwie zmieścił swoje inicjały na stronie, z kolei Jurek Pilch już w zaawansowanym stadium drżenia samoistnego drobny maczkiem życzył mi pożywnej lektury „Wielu demonów”. Jeśli komuś od tego mocniej serce zabije, niech mu wyjdzie na zdrowie: czytelników należy nagradzać za samo drżące istnienie.

Spośród rzeczy, których się pozbyłem, najbardziej było mi żal książek, teraz już i o nie jestem spokojny – pozbyłem się wszystkiego, a zatem nie mam niczego do stracenia, to olbrzymie bogactwo. Przyzwyczajenie do gromadzenia przedmiotów przeszło mi z pierwszą w życiu wyprowadzką, do 5 m kw. w krakowskim akademiku, gdzie musiałem się mieścić z ówczesną żoną i małą córeczką; odtąd wiem, że jedyne, co chcę posiadać, to przestrzeń. Tobość wędrowni nieprzyciężki i drogę, którą

można się przewałęsać w stronę ciszy wyborczej, z dala od politycznych szumowin i społecznych mętów. Deszcz, który po prostu leje się z nieba, i wiatr, który wieje, kędy chce; w mieście już nawet deszcz i wichry są polityczne – kiedy nawałnica podtopiła stołeczną trasę szybkiego ruchu, w „Wiadomościach” TVPiS przypisano winę Rafałowi Trzaskowskiemu, choć za ten odcinek jezdni odpowiada Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad.

Często w życiu śniłem o trąbach powietrznych; zdarzyło się w końcu wyśnić to na jawie, lokalne tornado zaskoczyło mnie, kiedy grałem z synkiem w piłkę na obiektach bielskiego Rekordu. W ciągu kilkunastu sekund

Na wszelki wypadek staram się nie mieć już nic do stracenia, oprócz życia.

flauta przeszła w huragan, ledwie zdążyliśmy się schować w załamaniu ścian budynku. Stamtąd obserwowaliśmy latające poziomo konary i drzewa przewracające się na samochody. To, co we śnie było przerażające, na jawie zdawało się zupełnie odrealnione – tylko płacz i strach dziecka były autentyczne i mobilizowały mój instynkt rodzicielski. Przypomniat mi się finał ponurej „Melancholii” Larsa von Triera, gdy najważniejsze dla bohaterki było uchronić dziecko przed strachem; Antoś wołał, że nie chce umierać, a ja rzucałem jakieś suchary, że pogoda zrobiła nas w trąbę, ale się jej nie damy, zaraz pójdziemy się wysuszyć do babci i opowiemy jej o naszej przygodzie.

Koszmar przeżywany po wielokroć przez sen okazuje się nie budzić już takich emocji w rzeczywistości, jakbym się „wybał” na zapas podczas sennych projekcji. Przeczucie, że lokalne kataklizmy są tylko pilotowymi odcinkami globalnej zagłady, mnie nie opuszcza – ale może kiedy śmierć w końcu przyjdzie, też nie będzie taka straszna jak ta, którą tylekroć się śniło. Na wszelki wypadek staram się nie mieć już nic do stracenia, oprócz życia.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn

eprasa.pl 8492e2260f



Tamara Łempicka. Za kulisami

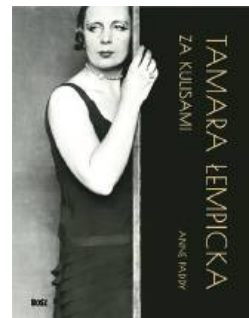


1

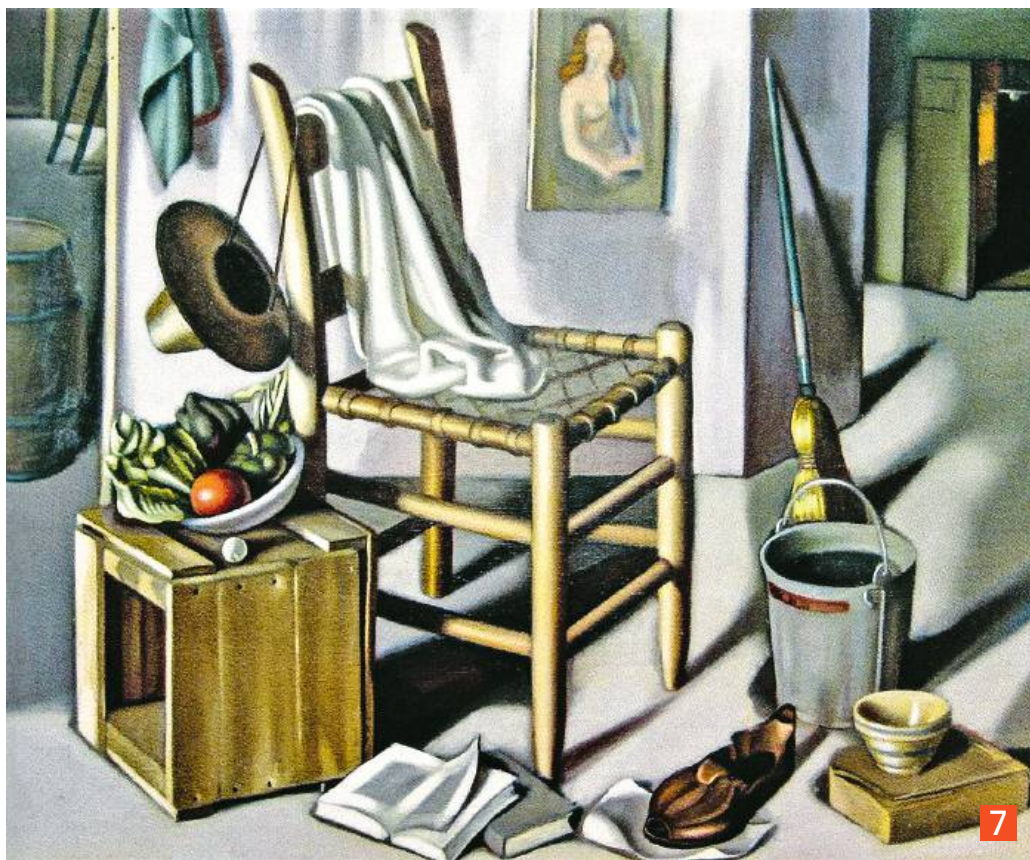
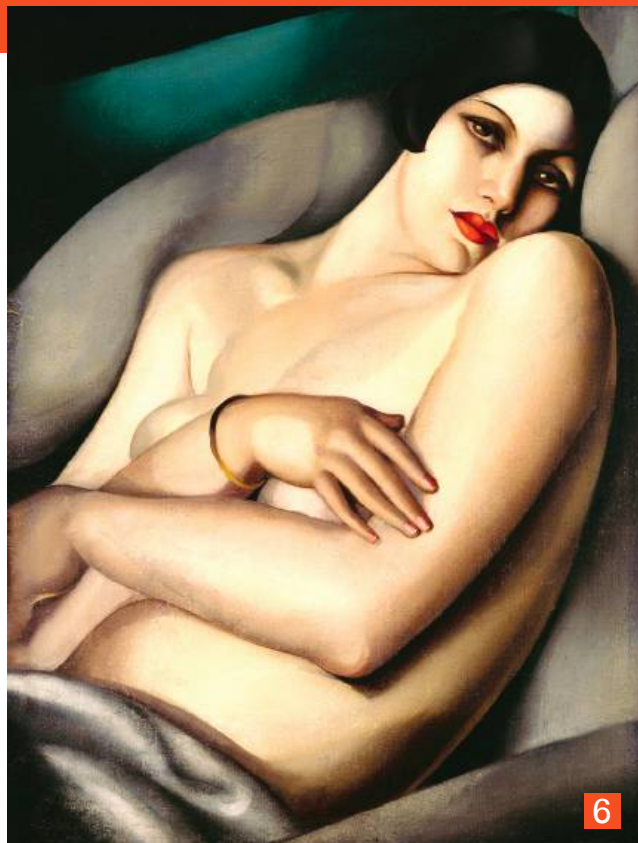
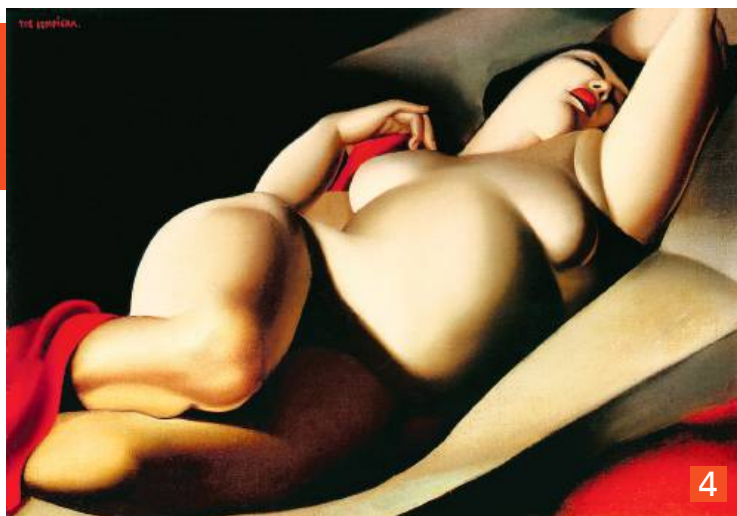


2

„Tamara Łempicka. Za kulisami” to kolejna książka wydawnictwa Bosz poświęcona malarce, skoncentrowana tym razem nie na jej życiu, lecz na obrazach. Autorka, Anne Paddy, kolekcjonerka zafascynowana malarstwem Łempickiej, przedstawia okoliczności powstania prac, ich bohaterów oraz relacje między nimi a tą nietuzinkową postacią. Przybliży także losy sprzedanych płócien oraz sylwetki kolekcjonerów, artystów i wielu innych osób, które uległy urokowi i talentowi Łempickiej.



3



1. Rosyjska tancerka, ok. 1924
2. Blask, ok. 1932
3. Portret doktora Boucarda, 1928
4. Piękna Rafaëla, 1927
5. Różowa tunika, 1927
6. Marzenie, 1927
7. Kompozycja w atelier, 1941

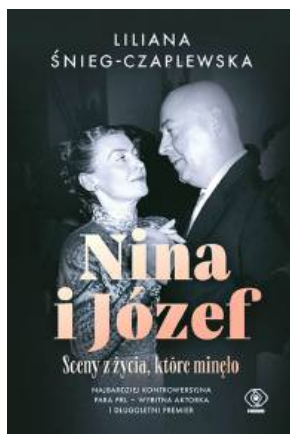
W drodze, pałacach i Świątoszku

Rafał Skąpski o spotkaniach z Niną Andrycz i Józefem Cyrankiewiczem

Nader ciekawa książka Liliany Śnieg-Czaplewskiej „Nina i Józef” o historii miłości Niny Andrycz i Józefa Cyrankiewicza, najbarwniejszej pary artystyczno-politycznej z okresu PRL, przywołała wspomnienia kilku moich kontaktów z jej bohaterami. Zanim je przedstawię, dodam jeszcze, że to książka niezwykle ciekawa i elegancka. Daleko jej (książce i autorce) do szukania sensacji tak często obecnego współczesnie w mediach społecznosciowych. Elegancja autorki polega i na tym, że przyjażniąc się z Niną Andrycz, opisuje Jej męża obiektywnie i z sympatią (podobnie zresztą wspominała Go sama Andrycz). Śnieg-Czaplewska rozprawia się także z pomówieniami, jakie pojawiły się w niektórych publikacjach, dotyczącymi postawy Cyrankiewicza jako więźnia Auschwitz.

NINA

Na początku lat 90. XX w. Bogusław Kaczyński poprosił mnie o przysługę. Jechaliśmy z żoną Amelią na jego zaproszenie na Festiwal im. Jana Kiepury do Krynicy, a Nina Andrycz miała być tam gościem honorowym. Kaczyński zapytał, czy weźmiemy do auta wielką aktorkę. Poczuliśmy od razu dreszczyk emocji. Wtedy jeszcze Jej osobiście nie znaliśmy, więc nadarzała się okazja do nawiązania znajomości, wymiany myśli. Ale przecież słyszało się co nieco o niełatwym charakterku Królowej Sceny. Podróż okazała się przemita, Pani Nina obdarowała nas sympatyczną



rozmową i w czasie jazdy, i podczas przystanku w jakiejś malutkiej kafejce, którą pamiętała z poprzednich podróży. Słyszając, że pracuję w wydawnictwie (były to moje pierwsze kroki w branży), pytała o to, jak się sprzedaje poezja. Odebrałem to jako delikatne sondowanie szansy

Po zakończeniu jazdy, gdy zanośiłem Jej bagaż do pokoju, podziękowała mi w sposób zaskakujący: „Muszę panu podziękować za podróż. Jechało mi się wyśmienicie. Dobrze prowadzi pan auto. Znałem tylko jednego lepszego szofera od pana. To był mój mąż – premier Józef Cyrankiewicz”. Słowa mąż i premier powiedziane były z wyraźnym naciskiem, a może nawet z dumą.

Kiedy zaproponowaliśmy, by po trudach podróży wypić wspólnie po kieliszku brandy, powiedziała, że chętnie, ale za pół godziny, bo wcześniej musi poleżeć z nogami do góry. Po 30 minutach zapukaliśmy do drzwi Jej apartamentu. Usłyszawszy głośnie „Otwarte”, weszliśmy. I rzeczywiście, Pani Nina leżała na łożu, ale odwrotnie, trzymając nogi w górze oparte stopami o ścianę nad wezgłowiem. Przy kieliszku zagadnęła: „Ciekawe,

Usłyszałem, jak Krystyna Kofta mówi do Niny Andrycz: „To nowy wiceminister kultury, mój dawny wydawca”.

Pani Nina teatralnym szeptem odpowiedziała:

„Ależ znam, znam. A mnie tomiku poezji wydać nie chciał”.

na opublikowanie u mnie Jej tomiku. Mówiłem – zresztą zgodnie z prawdą – że na poezję nie ma zbyt wielu amatorów, że to dla wydawcy spory kłopot, że poniesione nakłady wolno się zwracają, o ile w ogóle... Usłyszawszy to, nie wracała do tematu, ale jak się po latach okazało, rozmowę zapamiętała.

czy będzie na festiwalu pani X. To wielbicielka Bogusia. Co roku tu przyjeżdża ze Szwecji. Kiedy byłam w Krynicy poprzednio, obiecywała, że zaprosi mnie do siebie, do Szwecji, na serię spotkań autorskich. Wszystko miało być opłacone. Nic z tego nie wyszło. W ogóle się do mnie nie odezwała”.



Bal sylwestrowy, Warszawa, 1 stycznia 1959 r.

Poszliśmy do Pijalni Główniej, gdzie odbywała się próba koncertu otwarcia. Gdy weszliśmy do sali, Pani Nina szepnęła do nas z nieukrywaną satysfakcją: „Jest” i podeszła witać się z tam obecnymi. Usłyszeliśmy z żoną słowa kierowane do eleganckiej starszej pani, która okazała się tą właśnie panią X: „Jak miło cię widzieć. Po naszym zeszłorocznym tu spotkaniu opowiadałam wszystkim w Warszawie, że jadę na tournée do Szwecji. No i wyszłam na kłamczuszkę”. Po czym serdecznie ucałowała panią X.

Rok czy dwa później znów poprosił mnie Bogusław Kaczyński, bym przywiózł Panią Ninę, tym razem do pałacu Ostrogskich, gdzie miał się odbyć prowadzony przez niego koncert z Jej udziałem. Zaprowadziłem Panią Andrycz na samą górę, na ostatnie piętro pałacu, i wprowadziłem do pokoju stanowiącego

garderobę. Była już tam wybitna artystka operowa, o pokolenie młodsza od Pani Niny – urodzona w 1934 r. Hanna Rumowska-Machnikowska (zmarła trzy miesiące po Pani Ninie). Panie przywitały się, a śpiewaczka zauważyła: „Pani Nino, tyle pięter, tyle schodów, a Pani wcale się nie zadyszała, a ja tchu nie mogłam złapać”. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „No, a ja się nie zadyszałam. A nie wiadomo, która z nas starsza...”.

Kilka lat po tym zdarzeniu, na początku roku 2002, kiedy już pracowałem w Ministerstwie Kultury, uczestniczyłem w noworocznym spotkaniu twórców organizowanym przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Po wejściu do ogromnej sali, wypełnionej już sporą grupą gości, zauważyłem stojące obok siebie Ninę Andrycz i Krystynę Koftę. Skierowałem się ku nim. Podchodząc,

usłyszałem, jak pisarka mówi do aktorki: „To nowy wiceminister kultury, mój dawny wydawca”. Pani Nina teatralnym szeptem odpowiedziała: „Ależ znam, znam. A mnie tomiku poezji wydać nie chciał”.

JÓZEF

W latach 60. i 70. polityk tracący wysokie stanowisko zniknął z przestrzeni publicznej i medialnej. Jego nazwisko i dawne dokonania otaczało milczenie. Wyłomem stał się Józef Cyrankiewicz, zapewne dzięki temu, iż po odejściu z polityki sprawował funkcję przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju. Jego nazwisko sporadycznie pojawiała się w mediach.

Widziałem Go z bliska w 1982 r. W pałacu w Wilanowie był bankiet z okazji Międzynarodowego Biennale Plakatu. Obserwowałem obecnego na nim Cyrankiewicza, jak w otoczeniu kilku osób zajada się kanapkami, wychylając co raz kieliszek wódki.

W końcu 1985 i na początku 1986 r. rozmawiałem z Nim kilka razy, ale poznałem rok czy dwa wcześniej, gdy odwiedziłem w siedzibie OKP Jacka Paliszewskiego, sekretarza tej organizacji. Do gabinetu Jacka wszedł Cyrankiewicz, przywitał się ze mną, zapytał o coś Jacka, ten Mu odpowiedział i dodał, że właśnie dostał list od kogoś ważnego i musi szybko na niego odpowiedzieć. Cyrankiewicz poprosił o list, zerknął nań i wyszedł, wkładając go do kieszeni. Jacek rozłożył ręce: „I jak mam odpowiedzieć na list, nie mając tego listu?”. Po czym dodał, że coraz częściej szef, odwiedzając go, niezauważenie coś mu z biurka zabiera...

W połowie 1985 r. zapadła decyzja, że w Warszawie odbędzie się Kongres Intelktualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata. Zorganizować go miały wspólnie Narodowa Rada Kultury i Ogólnopolski Komitet Pokoju. Główny ciężar organizacji spoczął na przewodniczącym NRK prof. Bogdanie ▶

► Suchodolskim i biurze NRK. Ja byłem wówczas doradcą Sucho-
dolskiego m.in. w sprawach za-
granicznych. Współprzewodniczą-
cym Komitetu Organizacyjnego
Kongresu był Józef Cyrankiewicz;
uczestniczył w spotkaniach, ale nie
wtrącał się specjalnie w podejmo-
wanie ustaleń. W tej roli wyręczał
Go sekretarz OKP. Pewnego razu
po takim spotkaniu były premier

filharmonii zaplanowane było wyko-
nanie jego utworu. Prof. Suchodolski
wydał kolację na cześć gościa, zapro-
siliśmy też Cyrankiewicza. Miejs-
cem był Świątoszek, lokal na Starym
Mieście przy ulicy Jezuickiej. Przypa-
dło mi miejsce przy Cyrankiewiczu,
co stanowiło okazję do kolejnej cie-
kawej rozmowy. Pierwsze, co mnie
uderzyło, to zmiana w wyglądzie.
Tył tysej głowy otaczał wianuszek

W tych kilku kontaktach z Józefem
Cyrankiewiczem nie zauważy-
łem żadnego symptomu alzheimer-
a, o czym mówiono i pisano po
Jego śmierci. Widocznie miewał
lepsze i gorsze dni, ja trafiłem na
te lepsze.

I jeszcze dwa wspomnienia „z dru-
giej ręki”.

Pierwszy mąż mojej żony – An-
drzej Jeż – poznał Cyrankiewicza
w końcu lat 70., w czasach OKP.
Opowiadał, że podczas przyjęć,
w których Cyrankiewicz był gospo-
darzem i wiele rozmawiał z uczest-
nikami obiadu czy kolacji, opóźniał
się z jedzeniem. Kelnerzy, widząc,
że większość już zjadła, zabierali
talerze. Ten, który chciał to samo
zrobić z talerzem Cyrankiewicza,
dostawał zawsze po łapach z re-
prymendą, że dopóki sztucce nie są
ułożone „na godzinę 5.25”, zabierać
talerza nie wolno.

Matka moja pracowała w urzędzie
dzielnic Śródmieście, przy Poznań-
skiej. Jedną z jej podwładnych cze-

**Szukając profesora, wszedłem do pokoju, przy biurku siedział
Cyrankiewicz. Na mój widok wstał. Bardzo mnie to zaskoczyło
i ujęło. Miałem 35 lat, Cyrankiewicz o 40 więcej.**

oczekiwał na ulicy na zięcia, który
miał Go zawieźć samochodem do
domu. Towarzyszyłem Mu w tym
oczekiwaniu, miło się rozmawiało.
Cyrankiewicz zaoponował, gdy Go
po raz kolejny tytułowałem panem
premierem. „Niech pan da spokój
z tym premierem, dawno nim nie
jestem”. Na to ja: „Ależ ten tytuł do
Pana tak przyległ. Nawet gdy był
Pan przewodniczącym Rady Pań-
stwa, zawsze w myślach nazywałem
Pana: przewodniczący Rady Pań-
stwa, premier Józef Cyrankiewicz”.
Spodobało Mu się to.

Zięcia zaś poznałem w cza-
sie, gdy kierowałem PIW. Nawet
w jakimś sensie współpracowali-
śmy. Nie wiedziałem wtedy o jego
koligacji z Cyrankiewiczem. Dopiero
książka Liliany Śnieg-Czaplewskiej
mi to uświadomiła.

Kongres odbywał się w styczniu
1986 r. w hotelu Victoria. Tam też
spali jego uczestnicy. Jeden z pokoi
urządzono jako gabinet dla współ-
przewodniczących Kongresu, Cy-
rankiewicza i prof. Suchodolskiego.
Szukając profesora, wszedłem do
tego pokoju, przy biurku siedział
Cyrankiewicz, Sucho-
dolskiego nie
było. Na mój widok Cyrankiewicz
wstał zza biurka. Bardzo mnie to za-
skoczyło i ujęło. Miałem 35 lat, Cy-
rankiewicz o 40 więcej.

Kilka miesięcy później do Warsza-
wy przyjechał jeden z uczestników
Kongresu, kompozytor z Portuga-
lii. W warszawskiej i krakowskiej

gęstych włosów, opadających na
kołnierzyk marynarki. Wydaje mi się,
że były ciemne. Nie mogłem się po-
wstrzymać i zapytałem, co się stało.
„Niemcy golili nam głowy w Au-
schwitz, żeby w razie ucieczki łatwo
rozpoznać więźnia. Kiedy nastąpiła
wolność, postanowiłem golić gło-
wę – to był rodzaj mojego protestu
i przypomnienia świata o obozach.
A teraz... teraz już mi się nie chce”.

**Jedną z urzędniczek czekała na przystanku na autobus.
Padał rzęsy deszcz. Wtem zatrzymało się auto i kierowca
zapropo-
nował podwiezienie. Dopiero gdy wsiadła,
zorientowała się, że kierowcą był Cyrankiewicz.**

Wtedy też opowiedział mi o nawy-
ku, od którego nie mógł się uwolnić
przez całe życie. „W obozie głodo-
waliśmy. Kawałek suchego chleba
był rarytasem. To spowodowało, że
przez wszystkie następne lata musia-
łem mieć na stoliku nocnym talerzyk
z kromką chleba, z kanapką. Nie zja-
dałem jej, ale zasnąć bez niej w zasię-
gu ręki nie mogłem”.

W pewnym momencie do Cyran-
kiewicza podszedł mężczyzna. Ele-
gantcko przeprosił, przedstawił się
i powiedział o swoim szacunku dla
Niego. Panowie uściskali sobie dło-
nie. Odchodząc, mężczyzna dodał:
„Ale to przemówienie w Poznaniu nie
było potrzebne”. Cyrankiewicz na-
chylił się do mnie: „Niczego w moim
życiu nie żałuję... niczego... poza tym
przemówieniem”.

kała na przystanku na autobus, by
dojechać do pracy. Padał rzęsy
deszcz. Wtem zatrzymało się auto
i kierowca zaproponował podwie-
zienie pod wskazany adres. Dopie-
ro gdy wsiadła, zorientowała się, że
kierowcą był Cyrankiewicz. Była to
połowa lat 70.

Rafał Skąpski

* Chodzi o przemówienie z 29 czerwca 1956 r., w któ-
rym padła groźba, że „każdy prowokator czy szale-
niec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy
ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza
ludowa odrąbie w interesie klasy robotniczej, w in-
teresie chłopstwa pracującego i inteligencji, w in-
teresie walki o podnoszenie stopy życiowej ludności,
w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia,
w interesie naszej Ojczyzny”.

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Dyskusje, które wygrywam pod prysznicem

Ile razy, zasypiając, obmyślałam riposty, które wybawiały mnie z opresji albo pozwalały wyjść ze sporu bez szwanku. Te merytoryczne – precyzyjne i mordercze – i te emocjonalne – błyskotliwe i kończące rozmowę bezlitosną puentą. Nie jestem jedną z tych sprytnych osóbek w stylu F-16, z reflekssem psów gończych, dlatego mój podziw dla takich osób jest nieograniczony. Czytając powieści, podziwiam przebiegłość bohaterów i bohaterek, którzy w momencie emocjonalnego kolapsu, upokorzenia, rozstania, potrafią jeśli nie zwyciężyć (językowo rzecz biorąc), to przynajmniej pozostawić po sobie coś ładnego. A dobrze przegrać nie jest łatwo.

Filmy to pomarańczowe czarne skrzynki pełne zdań wypowiedzianych na moment przed śmiercią. Linijki wykrzyczane w powietrzu, w kosmosie albo na Ziemi: kamera filmuje postać nieco z góry, ktoś – przyjaciel lub partnerka – unosi lekko głowę bohatera i pochyla się nad nim. A wtedy tamten, stękając, czasem plując krwią i kaszląc, ale nadal ze lśnącymi, pięknymi oczami – zdobywa się na tę ostatnią linijkę, popis scenarzystów. Bez zestawu bon motów nie wyobrażamy sobie przecież choćby Bonda, który jest wyposażony nie tylko w szpiegowskie fetysze, ale również w te wszystkie zdania, które w odpowiednim momencie wysuwają się jak nóż z rękawa (i potrafią zadać równie ostry cios). „Casablancę” można by całą przepisać do wiersza (wielu tak zrobiło). Bogart bywał niezłym poetą i w ogóle trzeba przyznać, że w kinie pistolet stoi w parze z dobrą liniijką. Woody Allen umiejętnie wykorzystał topos gangusa obdarzonego literackim słuchem w znanej komedii „Strzały na Broadwayu” (1994): oto grany przez Chazza Palminteriego gangster Cheech znajduje się przypadkiem w teatrze podczas prac nad spektaklem. Gdy wydaje się, że wszystko stracone, kompromisy żrąty sztukę, sponsor wepchnął do spektaklu beztalencję, główny aktor nie może się skupić na roli przez ataki bulimii, a atmosfera podczas prób jest fatalna – z pomocą przychodzi ów gangster. Cheech, który obserwuje próby z tylnych rzędów widowni, nie wytrzymuje i zaczyna wygłaszać uwagi. Zaskakująco sensowne. Kiedy grany przez Johna Cusacka reżyser orientuje się, że ma do czynienia z człowiekiem utalentowanym, koryguje scenariusz i z wdzięcznością przyjmuje uwagi gangstera. Postać

Cheecha jest satyryczna – to nawiązanie do bohaterów kina akcji, obdarzonych (dzięki scenarzystom) słuchem literackim. Bo przecież to on pozwala Tomowi Cruise’owi, Melowi Gibsonowi, George’owi Clooneyowi, Evie Green, Angelinie Jolie wypowiadać pomysłowe, dowcipne teksty. Czym byłyby wczesne lata 90. bez Pasikowskiego i Lindy? Teraz brzmią poza wszystkim szowinistycznie i kiczowato, ale nadal nie wszystkie. Wiadomo, dziś chętniej przyznamy się do bojowo-sentymentalnych powieздzonek Clint Eastwooda.

No i co tu robią ci wszyscy panowie? Cóż, wygląda na to, że częściej umierali albo przynajmniej najbardziej zależało im na pokazaniu, że prawdziwy mężczyzna umie dobrze kończyć. Ale tu już przechodzimy do polityki, gdzie jest znacznie mniej językowej finezji, dlatego spójrzmy jeszcze na koniec w stronę hollywoodzkich miłości.

Komedie romantyczne – podobnie jak kino gangsterskie – to elementarze atrakcyjnych ripost i pomysłowych wypowiedzi, z jednej strony lekkich, z drugiej – niosących stosowny ciężar egzystencjalny.

Komedie romantyczne – podobnie jak kino gangsterskie – to elementarze atrakcyjnych ripost i pomysłowych wypowiedzi.

Wystarczy sobie przypomnieć „Notting Hill” lub (cu-downy) „Dzień świstaka”. Łatwiej nam zapamiętać liniijkę podaną z urokiem przez Julię Roberts, Billa Murraya czy Hugh Granta, niż to, co powiedział jakiś Thor czy gnom. Ale w nierealistycznym kinie gatunkowym też mówi się wzniosłe, lirycznie, dowcipnie i przede wszystkim szybko. Mnie trafne odpowiedzi udaje się wymyślić zwykle po fackie, najczęściej pod prysznicem. I czasem chciałabym wybiec z mokrą głową, odnaleźć przeciwnika i wyłożyć mu coś jasno, logicznie albo zwyczajnie obrzucić go wiązkami, ale żeby były wyjątkowe, dziwaczne, wspaniałe. Inaczej zostaje Tuwim i jego słynne odgryzienie się „endekowi, co nań szczekał”: „Próżność repliki się spodziewała. / Nie dam ci prztyczka ani klapsa. / Nie powiem nawet pies cię jebał, / bo to megalomani byłby dla psa”. I nagle poczułam się jak Tadeusz Konwicki, który, mówiąc coś, zreflektował się i zrobił mały metakomentarz: „Kogoś zacytowałem – powiedział. – Zacytowałem starych ludzi”.

Stanley Tucci

Żywienie się podczas pracy na planie filmowym tym, czego dostarczają firmy cateringowe, to ponura perspektywa. Zasadnicza reguła mówi: im większy budżet, tym lepsze jedzenie. Pora i długość przerwy na posiłek są ustalane przez związki zawodowe, więc różnią się w poszczególnych krajach. Ja sam, jako aktor i reżyser, najbardziej lubię pracę w trybie ciągłym albo inaczej „francuskim”, to znaczy bez wyznaczonej przerwy obiadowej. W takim systemie stale dostępne są talerze z kanapkami albo innym jedzeniem, a w połowie dnia ogłasza się krótką przerwę i wtedy można coś swobodnie zjeść albo odpocząć. Dzięki takiej organizacji dzień zdjęciowy wydaje mi się krótszy i wydajniejszy.

Tryb francuski jest popularny w Europie, ale już nie w Stanach, (...) trzeba jednak wiedzieć, że posiłki na planie nie tylko dostarczają ludziom energii, ale również mają istotny wpływ na budżet filmu, organizację dnia zdjęciowego i współpracę wszystkich członków ekipy.

Kiedy aktor przyjeżdża na plan rano, co może oznaczać dowolną godzinę między 4.30 a 7, zależnie od skomplikowania charakterystyki, kostiumu albo sceny zaplanowanej do nakręcenia, czeka na niego gorące śniadanie. Wcześniej na miejscu zjawiają się drudzy reżyserzy, asystenci produkcji, garderobiani i ludzie od charakterystyki. Gdy przyjeżdżają aktorzy, oni są już po śniadaniu albo w jego trakcie. Na planie wysokobudżetowych filmów śniadanie serwuje się na stołach ustawionych pod namiotem, gdzie czekają jajecznicza, jajka sadzone, parówki drobiowe albo wege, boczek, smażone ziemniaki, wędzony łosoś, owoce, bajgle do opiekania w wielkich tosterach, biały chleb, masło, dżem, miód, jogurt, sok owocowy, kawa i herbata. Jeżeli budżet jest naprawdę spory, a producent docenia swoją ekipę i ciężką pracę wszystkich jej członków, pojawia się także barek omietowy i nie tylko. Tacy producenci wynajmują dobrą firmę cateringową, która

Wielkie żarcie

Jak wykarmić ekipę na planie filmowym



Stanley Tucci i Meryl Streep w filmie „Julie i Julia”.

przygotowuje bufet wytrawny i słodki, a do tego często mobilny bar z kanapkami, koktajlami owocowymi, kawą itd., żeby porządnie nakarmić ekipę spędzającą na planie nierzadko 15 godzin dziennie. Ale to zdarza się tylko przy filmach z naprawdę dużym budżetem.

Na większości planów filmowych jest jedno stoisko z jedzeniem, gdzie kilka osób z firmy cateringowej dwoi się i troi, żeby niewielkim kosztem wykarmić i zadowolić całą ekipę. Dostawcy jedzenia, którzy faktycznie błędem świtem przyjeżdżają na plan jako pierwsi, każdego dnia muszą przygotować dwa posiłki dla co najmniej 50 osób. Zwykle nie mają do dyspozycji składników z najwyższej półki, a ich umiejętności ledwo wystarczają do zapewnienia jako tako urozmaiconego wyżywienia przez kilka tygodni zdjęć.

Żeby zadowolić gusta tylu ludzi, codziennie na obiad pojawia się jakieś danie mięsne lub drobiowe, ryba, dwa dodatki skrobiowe, dwa jarzynowe, danie wegetariańskie, jedna lub dwie sałatki i deser. Niełatwo przygotować taki zestaw nawet

przy sporym budżecie i ani trochę nie zazdroszczę pracownikom cateringu. Skądinąd rzadko stają na wysokości zadania, więc pod koniec zdjęć spora część ekipy filmowej przestaje jeść to, co podają. Niektórzy zaczynają przywozić własne jedzenie, jeśli tylko znajdą czas na robienie zakupów i gotowanie (...).

Zwykle kiedy aktor zjawia się na planie, jego zamówienie śniadaniowe trafia do drugiego reżysera (który zarządza całym miasteczkiem produkcyjnym), a sam aktor idzie do charakterystyki. Tysiące aktorów i aktorek pochłonięto w charakteryzatorni tysiące śniadań, gdy biedni charakteryzatorzy nakładali podkład na przeżuujące szczęki i przetykające szyje, taktownie ignorując siarkowe zapachy gotowanych jajek. To właśnie w wozie charakteryzatorów, swoistej oazie dla ekipy, można dostać najlepszą kawę na planie, bo wizażystki i wizażysty często instalują sobie porządne ekspresy.

W każdym razie na wszelki wypadek zawsze pierwszego dnia zdjęć przywożę ze sobą dwie maszyny – jedną do charakteryzatorni, dla

wszystkich spragnionych kafeiny, a drugą do swojego kampera, w którym podczas zdjęć człowiek spędza wiele godzin, więc dobra kawa bywa konieczna.

Jako że w każdym kraju kuchnia jest nieco inna, firmy cateringowe serwują różne wersje tradycyjnych dań.

Bardzo angielskie śniadanie: Wielka Brytania

W mojej nowej ojczyźnie podstawą śniadań na planie są jajka sadzone (często na smalcu), kiełbaski, boczek, pieczone, duszone, smażone bądź gotowane na parze pomidory (fuj), fasolka po bretońsku i owsianka. Zdarzają się też ciemne lub jasne bułki przełożone kiełbasą (zwykle cumberland) i czasami jajkiem. Bułki są na ogół dość suche i niezbyt smaczne, ale jeżeli dano porządną kiełbasę, to całość jest do tego stopnia kusząca, że gdy parę lat temu kręciłem film w Anglii, musiałem się naprawdę zmagać ze sobą, żeby nie jeść ich codziennie. Pracę zaplanowano na prawie pięć miesięcy i bałem się, że jeśli będę je pożerał bez ograniczeń, dorobię się miażdżycy i zejdę na zawal, zanim skończymy.

W Anglii nie przykładają się szczególnej wagi do obsługi bieżącej na planie, chyba że film ma duży budżet albo amerykańskiego producenta. Do dyspozycji jest zwykle „bufet”, czyli stojący gdzieś w kącie stół z dystrybutorem gorącej wody, pudełkiem herbaty w torebkach, mlekiem, cukrem, papierowymi kubkami i kilkoma paczkami herbatników. Rzecz cudownie powściągliwa, staroświecka i bardzo brytyjska.

Koszmarne nieporozumienie: Włochy

Jadąc pierwszy raz na plan do Włoch, byłem strasznie podekscytowany, bo uwielbiam Italię. Kręciliśmy w Rzymie i w wolnych chwilach jadałem doskonałe posiłki na mieście, za to catering na planie okazał się wielkim rozczarowaniem. Wyszło na to, że Włosi, choć są narodem, który stawia jedzenie praktycznie ponad wszystko i traktuje je



Styropianowe pojemniki to rzeczywistość wielu planów filmowych.

z większą estymą niż inne, strawą dla filmowców nie przejmują się w ogóle. Podejrzewam, że zakładają, że członkowie ekipy i tak będą jadać na mieście, kiedy tylko się da. Ci, którzy nie mają możliwości wyjścia (np. aktorzy, którym nie pozwala na to charakterystyka albo kostium), zawsze mogą skorzystać z cateringu, ale poza tym wszyscy gdzieś sobie idą na obiad.

Jedyną rzeczą, dzięki której można wytrzymać włoski catering, jest wino, zawsze podawane do posiłków. Gdy asystent pyta aktora, czego sobie życzy na obiad, zwykle padają słowa: „Białe czy czerwone?”. Jeżeli odpowiemy: „Białe”, dostaniemy kurczaka albo rybę. „Czerwone” oznacza danie z innego mięsa. Jedzenie zjawia się zapakowane w styropianowy pojemnik z czterema przegródkami: w jednej mięso bądź ryba, w drugiej zwykle makaron, w trzeciej i czwartej warzywa i jakaś sałatka, a do tego buteleczka wina w rozmiarze samolotowym. Muszę przyznać, że te obiady bywają całkiem znośne, jednak na pewno nie zachwycają, zwłaszcza jeśli się wie, że w okolicy mnóstwo świetnych restauracji serwuje najlepsze jedzenie świata. To jeszcze nic – śniadania są znacznie gorsze.

Włosi nie cenią sobie śniadań. Nie jedzą rano jajek ani wędlin (...). Piją espresso albo cappuccino, ale do kawy wolą zjeść coś słodkiego

– bywa to cornetto, czyli rogalik, albo palmier. W Rzymie często jada się ciastka z nieprzystojną ilością bitej śmietany albo smażone w oleju pączki z kremowym nadzieniem. Na Sycylii śniadaniem może być słodka bułka z lodami. Próbowaliśmy każdego z tych specjałów, ale nie przepadam za słodyczami i nie mam ochoty szybko umierać, więc niezbyt mnie pociągają, zwłaszcza z samego rana.

Śniadanie na planie filmowym we Włoszech to jednak jeszcze inna historia, najciemniejsza strona włoskiego cateringu w tej branży. Nie ma żadnego wozu z jedzeniem. Żadnego tostera. Żadnych bułek. Stoi tylko stół, a na nim poślednie cornetti z supermarketu i trochę małych kanapek z pieczywa typu focaccia z pojedynczym plasterkiem szynki, prosciutto albo salami. Do picia – co najwyżej kilka kartonów ciepłego soku pomarańczowego i termos z „espresso” (a raczej kwaśną lurą), które można pić jedynie z cienkich plastikowych kubeczków. Jeśli jest po dziesiątej, zjawia się jeszcze piwo w butelkach. I tyle. Zgroza i tragedia jak na kraj będący kulinarną wyrocznią. (...)

Un petit déjeuner en camion: Francja

Wszyscy wiedzą, że Francuzi przywiązują tak samo wielką wagę do kuchni jak Włosi. Na szczęście ►

► w przeciwieństwie do Włochów dbają o jakość i sposób podania posiłków również na planach filmowych. Przerwa obiadowa potrafi przeciągnąć dzień zdjęciowy, ale nie we Francji. Prawa do przerw przestrzega się tutaj wręcz fanatycznie, ale godziny pracy na planie rzadko przekraczają wyznaczony limit. Gdy robota się przeciąga, ekipa potrafi rozejść się do domu, tak po prostu. I ja to bardzo szanuję. Plan zdjęciowy bywa królestwem dezorganizacji, braku porozumienia i niekompetencji, przez które wszyscy niepotrzebnie tracą czas.

Wiele lat temu przez tydzień przyglądałem się, jak Robert Altman (reżyser niezwykle kompetentny) kręcił w Paryżu „Prêt-à-Porter”. Planem zdjęciowym był elegancki hotel w centrum Paryża, który przedstawiał elegancki hotel w centrum Paryża. Kiedy ogłoszono przerwę obiadową, wszyscy zostali poproszeni na zewnątrz, na ulicę, gdzie stała zaparkowana wielka naczepa. Z tyłu prowadziły do niej metalowe schodki, a wewnątrz ustawiono dwa rzędy stołów z przejściem pośrodku. Stoły – przy każdym mogło usiąść od czterech do sześciu osób – nakryto białymi obrusami i ustawiono

na nich butelki z wodą gazowaną i niegazowaną, szklanki do wody, kieliszki, solniczki i pieprzniczki oraz po butelce czerwonego wina. Obok – serwetki i sztućce. Powitała nas niewielka grupa kelnerów w białych koszulach i kamizelkach. Za chwilę jeden z nich znalazł się przy naszym stole, wymieniając dania serwowane tego dnia. Gdy dokonaliśmy wyboru, nalał chętnym czerwonego wina i poszedł po butelkę schłodzonego białego dla pozostałych.

Patrzyłem oszołomiony, bo nigdy w życiu nie widziałem na planie zdjęciowym nic podobnego.

Stanley Tucci, amerykański aktor o włoskim rodowodzie i maniak kulinarny, przedstawia osobisty pamiętnik swojego życia w kuchni i poza nią. Zanim zdobył sławę dzięki rolom w „Diabeł ubiera się u Prady” czy „Igrzyskach śmierci” oraz internetowemu tutorialowi, w którym uczy, jak przyrządzić negroni, wychowywał się w amerykańskiej rodzinie o włoskich korzeniach i co wieczór siadał do rodzinnej kolacji. Magią tych posiłków podzielił się z czytelnikami w dwóch książkach kulinarnych, a teraz postanowił opowiedzieć historię, które kryją się za jego ulubionymi przepisami. Tucci snuje więc opowieści o dorastaniu w miasteczku w stanie Nowy Jork, o kręceniu poświęconych jedzeniu filmów „Wielkie otwarcie” oraz „Julie i Julia”, o zakochaniu przy obiedzie i o gotowaniu dla licznej rodziny.

Wpatrywałem się z niedowierzaniem w aktorów i członków ekipy jedzących wspólnie obiad przy elegancko nakrytych stołach, podczas gdy dookoła toczyło się paryskie życie. Było to doświadczenie tak cudownie wytworne i niecodzienne, że czasami w głębi duszy mam wrażenie, że tylko mi się przyśniło. Jeśli tak, chciałbym, żeby ten sen powtarzał się na każdym moim planie filmowym.

Stanley Tucci



Stanley Tucci *Smak. Życie i jedzenie*, przeł. Małgorzata Glasenapp, Marginesy, Warszawa 2023

KSIĄŻKI

Sonia Fernández-Vidal, Francesc Miralles

Śniadanie z częstkami

Przeł. Jan Wąsiński

Wydawnictwo Insignis, Warszawa 2023



Sonia Fernández-Vidal, pisarka i doktorka fizyki kwantowej, oraz Francesc Miralles, pisarz i dziennikarz, zapraszają na śniadanie, na które przybędą również Newton, Einstein, Heisenberg i inni słynni fizycy. W takim towarzystwie czytelniczki i czytelnicy wyruszają w fascynującą i pełną odkryć podróż do początków wszechświata i w głąb ludzkiego umysłu.

Dowiedzą się, o co naprawdę chodzi w teleportacji, czym jest boska częstka, jak to możliwe, że jedna rzecz może być w dwóch miejscach jednocześnie, i spróbują dotrzeć do tajemnicy istnienia.

Karolina Radwan

Odzyskaj kontrolę nad jelitami

Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2023

Książka dr n. med. Karoliny Radwan pozwala zrozumieć i przezwyciężyć jedno z najczęstszych zaburzeń czynnościowych jelit. W Polsce zespół jelita drażliwego (znany także pod anglojęzycznym skrótem IBS) diagnozuje się bardzo często. Dotyka on przede wszystkim osoby młode, co istotnie wpływa na ich aktywność życiową. Książka ta weryfikuje internetowe porady oraz odsiewa fakty od szkodliwych mitów. Dzięki niej nauczymy się wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć o jelitach: od fizjologii przez przyczyny powstawania IBS aż do pozytywnego wpływu psychiki na ich stan. To zbiór wiarygodnych informacji, metod leczenia farmakologicznego oraz propozycji terapii i autoterapii.



Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości, ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



1

HA LONG – ósmy cud świata

O świcie w różowej poświacie zabieram się z rybackiej wioski Bai Chay na kilkudniowy rejs dżonką, której walorami żegludowymi zachwycał się niegdyś Joseph Conrad. Na powierzchni równej Warszawie leży tu ponad 1 tys. wysepek o niezwykle zróżnicowanych kształtach, z ustronnymi plażami, grotami i spektakularnymi jaskiniami.

„Jeśli nie odwiedziłeś zatoki Ha Long, to nie byłeś jeszcze w Wietnamie”, pisał chiński poeta Xiao San. Wpłynąć do niej, to jakby zagłębić się w stare orientalne

malowidło, zdmuchnąwszy pokrywający je kurz czasu. Maleńkie wysepki rysują się wyrazistymi konturami na tle horyzontu, skąpanego w jaskrawych barwach zachodu. Prawdziwie apokaliptyczny zachód słońca zalewa niebo krwistą czerwienią, świetliste strzały przeszywają na wylot nabrzmiałe chmury i rozpadają się na drżące złociste odłamki, potyskujące w wodach tej zachwycającej zatoki. Część tego fascynującego zakątka Wietnamu została uznana przez UNESCO za obiekt światowego dziedzictwa przyrodniczego.



2



5



8



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

1. Pejzaż jak z widokówki.
2. Archipeląg zachwyca majestatycznymi formacjami wapiennymi.
3. Rejs tradycyjną dżonką.
4. Na obiad ryba i kurczak w orientalnym sosie.
5. Ha Long, znana z tajemniczego uroku.
6. Z braku silnika trzeba i tak.
7. Owoce tropikalne.
8. Jaskinia Sung Sot na wyspie Bo Hon.
9. Liczba ofert wycieczek po zatoce może przyprawić o zawrót głowy.
10. Ha Long jest punktem obowiązkowym podczas pobytu w Wietnamie.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA





3



4



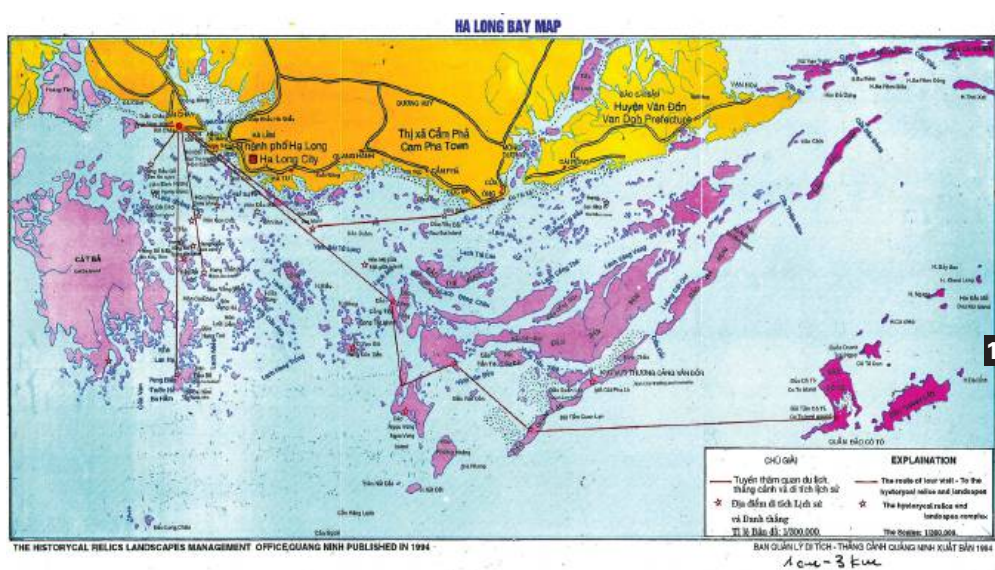
6



7



9



10



Kuliki znad Brzozówki

Nad tą niepozorną rzeką żyje ponad połowa populacji biebrzańskiej, i to tej niechronionej granicami parku narodowego

Paweł Średziński

(...) Rieczne doliny od lat zachwycały fotografów przyrody. Ten zachwyt był jeszcze większy w czasach sprzed melioracji. Bagna Tykocińskie, po których nie ma praktycznie śladu – zostało jedynie wielkie pastwisko – przyciągnęły Włodzimierza Puchalskiego. W swoim albumie „Ptaki naszych pól, łąk i wód” wspomina: „Pamiętam, że jeszcze tak niedawno na łąkach nad Narwią, Biebrzą, Bugiem widywałem olbrzymie stada batalionów, które na widok jastrzębia czy sokoła wędrownego – tak, proszę Czytelnika, autentycznego sokoła, którego już dziś prawie nie ma w Polsce – wzbijały się w powietrze stadami liczącymi paręset sztuk, a często powyżej tysiąca. Gdzież się one w ciągu tych kilkunastu lat podziały?”. (...)

Wskutek rozwoju cywilizacji pierwotne środowisko łąkowe coraz bardziej zmienia swój wygląd, co zagraża bytowi jego mieszkańców. Z roku na rok jest ich coraz mniej. Zmiany te nie ograniczają się do ubytku jednego czy dwu gatunków, bo taki ubytek pociąga za sobą dalsze zmiany.

Te zmiany w dolinach rzek między Narwią i Biebrzą zachodziły najgwałtowniej tuż po II wojnie światowej. Słowa Puchalskiego, pisane jeszcze pół wieku temu, były ostatnim ostrzeżeniem przed katastrofą, która dotknęła nie tylko rzeki i mokradła, lecz także ich ptasich mieszkańców.

Zniknęło ekstensywne rolnictwo. Na odwodnionych torfowiskach powstały pastwiska. Część ptaków próbowała adaptować się do zmian – i wciąż próbuje – jednak jest im coraz trudniej. Bo jak się odnaleźć na polu kukurydzy, które ktoś urządził w miejscu, gdzie jeszcze

niedawno rozciągała się zalewana okresowo łąka i gdzie pały się krowy? Jak przetrwać tam, gdzie wkracza ciężki sprzęt, a wcześniej to człowiek kosił najwykleszą kosą, i to dopiero po tym, jak opadła wielka woda? (...)

Jednym z bardziej spektakularnych gatunków ptaków związanych z dolinami rzek, który znika z krajobrazu, jest kulik wielki. Piotr Dombrowski, pracownik Biebrzańskiego Parku Narodowego, nazywa kuliki „nosaczami”, a to za sprawą ich charakterystycznie wygiętego dzioba. Kiedy nagrywałem wypowiedzi Piotra do cyklu krótkich filmów o ptakach Biebrzy, dowiedziałem się, że „kulik buduje gniazda na wysepkach pośród rozlewisk, często obok innych gatunków ptaków. Korzysta z ochrony, którą gwarantują sąsiedzi”. Na czym to polega? Im więcej ptaków wypatruje potencjalnych intruzów i niebezpieczeństw,

tym większa szansa na uniknięcie zagrożenia przez kuliki wysiadujące jaja. „Jednak, jak typowy szlachcic, który nie miesza się z pospółstwem, kulik wielki buduje gniazda w pewnej odległości od tej reszty”, zaznaczył Piotr.

Mimo tego dystygowania kulik współpracuje z innymi gatunkami. Każdy może skorzystać na tym układzie samopomocy sąsiedzkiej. Dombrowski alarmował, że kuliki znikają znad Biebrzy. Okazuje się, że ważnym miejscem lęgowym tego gatunku stała się niepozorna Brzozówka – uregulowana rzeka w otoczeniu zmeliorowanej doliny. Wie o tym dobrze Grzegorz Grygoruk, ornitolog z Towarzystwa Przyrodniczego Dubelt.

Grzegorz

Ptaki są w centrum zainteresowań Grzegorza. Żyje nimi – swoją pasję połączył z pracą, gdyż jest zawodowym ornitologiem. Potrafi o nich mówić długo, a jeszcze dłużej za nimi chodzi, wypatrując w terenie. Można go spotkać w różnych rejonach północno-wschodniej Polski. (...) Jak mówi Grzegorz, ornitologiem został z pasji. Za chwilę jednak dodaje, że wszystko zaczęło się od sikory bogatki, którą zobaczył na drzewie, kiedy szedł do szkoły. Wtedy zaczął szukać informacji o ptakach, przyglądać się im – a w końcu został zawodowym ptasiarzem.

Jak typowy szlachcic, który nie miesza się z pospółstwem, kulik wielki buduje gniazda w pewnej odległości od reszty.

Dziś jego ulubionymi rewirami są doliny rzek i tereny otwarte. To głównie tam działa i pracuje, nie tylko zbierając dane, lecz także podejmując konkretne działania na rzecz ratowania zagrożonych gatunków ptaków. Jednym z nich jest kulik wielki. Dzięki pracy zespołu ornitologów, którego członkiem jest Grzegorz, gatunek ten może liczyć na szczególną ochronę.

Kulik wyróżnia się charakterystycznym głosem. Trudno wykonać jego transkrypcję, ale jeśli

posłuchamy nagrania, z łatwością zidentyfikujemy to zawołanie w terenie.

Jeszcze łatwiej rozpoznać tego ptaka po łukowato wygiętym dziobie. Grzegorz nie nazywa kulika „nosaczem”, jak Piotr Dombrowski, ale „słoniem wielkim”. Jest jeszcze drugi gatunek kulika w Polsce – kulik mniejszy – ale ten tylko przelatuje przez nasz kraj. Nie lęgnie się u nas, wędruje dalej do Skandynawii i na północne rubieże Rosji, gdzie zakłada gniazda.

W Polsce mamy łącznie ok. 150 par kulików wielkich, aż jedna trzecia ich populacji lęgowej występuje w dolinach Biebrzy.

Kulik wielki jest szarobrzązowy, na górze pstrokaty z brązowymi plamkami w różnych odcieniach. Od dołu jest jaśniejszy i gęsto kreskowany. Kiedy leci, widać długi, biały klin między skrzydłami oraz szarobrunatny, gęsto kreskowany ogon. Przymiotnik „wielki” nie pojawił się w nazwie tego gatunku bez powodu – ptak rzeczywiście ma imponujące rozmiary. Może osiągać wagę do ponad kilograma (średnio powyżej pół kilograma), a rozpiętość jego skrzydeł wynosi nawet metr; jest więc wielkości kury domowej. Ma od 50 do 60 cm wysokości, a jego dziób mierzy od 10 do 16 cm, przy czym jest dłuższy u samic niż u sam-

ców. Co ciekawe, pisklęta nie mają jeszcze charakterystycznie zakrzywionego dzioba. Ten formuje się z wiekiem. Dziób ułatwia ptakom żerowanie na bezkręgowcach, ślimakach, dżdżownicach, owadach, czasami nasionach i drobnych kręgowcach. Zdarza się, że kuliki zbierają je z powierzchni, ale potrafią też zagłębić dziób w miękkiej glebie lub w wodzie, w której często brodzą w poszukiwaniu pokarmu. W suchych latach, kiedy grunt bywa ubity jak błat, kuliki mają problemy ze

zdobyciem pokarmu i wyprowadzeniem lęgów.

Trzyrzecze

Na rozmowę o kuliku umówiłem się z Grzegorzem w Trzyrzeczu. Spotykamy się na skraju wsi i na skraju doliny Brzozówki. Już sama nazwa miejscowości sugeruje obecność rzek. Samo miejsce nie wydaje się nadzwyczajne. Po horyzont ciągną się łąki, gdzieś widać uprawy kukurydzy. Krajobraz nizinny, niezbyt

urozmaicony, można by nawet rzec: dość monotony. Wszędzie widać skutki melioracji przeprowadzonej w rzecznej dolinie.

Okazało się jednak, że i w takim miejscu ornitologdy mogą dokonać ważnego odkrycia. W 2017 r. rozpoczęto realizację projektu ochrony kulika wielkiego, zainicjowanego przez Towarzystwo Przyrodnicze „Bocian”. Wtedy Grzegorz pojawił się nad Brzozówką. (...)

Mój rozmówca zaczyna opowieść: „Widzimy tu same łąki. Tymczasem kulik wielki kojarzy się z innymi obszarami, takimi jak Bagno Wiczna i Grądy-Woniecko, czy też z doliną Biebrzy. Przed 2017 r. wiedzieliśmy, że w dolinie dość niepozornej Brzozówki mogą być kuliki. Dopiero jak weszliśmy w ramach projektu do tego miejsca, okazało się, że jest to jedna z głównych ostoi tego gatunku w Polsce pod względem liczby par i ich zagęszczenia. Ten areal występowania kulików zaczyna się dziś na wysokości wsi Brzozowa i ciągnie się aż do ujścia rzeki do Biebrzy. Szacujemy, że występuje tu ponad 20 par kulików wielkich. Dodam tylko, że w o wiele większej dolinie Biebrzy mamy od 40 do 50 par, co oznacza, że nad tą niepozorną Brzozówką żyje ponad połowa populacji biebrzańskiej, i to tej niechronionej granicami parku narodowego”.

Jak wyjaśnia Grzegorz, nad Brzozówką obserwujemy też duże ▶

► zagęszczenie kulików. Szacuje się, że na kilometr kwadratowy może się lęgnąć około czterech, pięciu par. Czasami na gniazdo tych ptaków można trafić co kilkaset metrów. Kuliki potrzebują średnio wilgotnych terenów, ale ważne jest też dla nich użytkowanie łąki przez jej wykaszanie bądź wypas. Niska trawa i dobra widoczność stanowią warunek niezbędny do założenia gniazda. Ptaki poszukują niewielkich górów w terenie, gdzie się osiedlą, ale i zagłębień, w których będą żerować.

W dolinie Brzozówki kulikom zagrażają drapieżne ssaki, ale też inne gatunki ptaków, w tym bociany, błotniaki stawowe i wrony.

Rolniczy krajobraz doliny może sprzyjać kulikom, które pod Trzrzecze zlatują już pod koniec marca. Jak mówi Grzegorz: „Jedna para wyprowadza lęgi 200 m od domu miejscowego sołtysa, który nas zawiadamia, jak tylko ją zobaczy z okna. Ma przez cały czas kuliki na oku. Bardzo się z tej współpracy cieszę, bo sołtys pomaga nam chronić ptaki. Wiele gruntów w dolinie Brzozówki ma różnych właścicieli i ustalenie, do kogo należy łąka, nie jest łatwym zadaniem. Tym bardziej że gniazda gromadzi na prywatnych polach i nie możemy tego zrobić bez zgody rolników. Musimy uzyskać ich akceptację na czasowe wyłączenie kwadratu o boku długości 10 m, gdzie ustawiamy pastucha wraz z akumulatorem. Tego terenu nie można skosić do czasu wyprowadzenia lęgów przez ptaki.

Grzegorz nie kryje satysfakcji, że współpraca z właścicielami łąk układa się na ogół bezproblemowo. To bardzo ważne, ponieważ przy intensywnym użytkowaniu łąk koszenie zaczyna się wcześniej – zanim pisklęta opuszczą gniazdo. Dziś stosuje się nawozy, woda znika z łąk szybciej niż kiedyś, a co za tym idzie – może na nie wjechać ciągnik. Dlatego ustalenie, gdzie kuliki mają gniazda, i dogadanie się z rolnikiem to nierzadko walka z czasem. „W czasie takich rozmów często słyszymy, że rolnik te kuliki widywał już od lat, a my staramy się mu uzmysłowić, jaki ma skarb

na swojej łące, i że w Polsce, gdzie dziś żyje łącznie ok. 150 par kulików wielkich, aż jedna trzecia ich populacji lęgowej występuje w dolinach Biebrzy i rzek należących do jej zlewni”, dodaje Grzegorz.

Dojrzałe płciowo kuliki co roku wracają grupami do tych samych lęgów. Zakładają gniazda w niewielkich skupiskach po kilka par. W pierwszej połowie kwietnia zaczynają się toki kulików nad Brzozówką. Samce zaczynają mościć dołki na gniazdo, wykładając je

delikatnie trawą. Odbывают też loty tokowe. Nie przypomina to rywalizacji, a raczej popisywanie się przed samicami i wabienie ich do gniazda. Grzegorz opowiada mi o tych ptasich zwyczajach: „Samiec stara się pokazać samicie niewielki dołek wygrzebany w darni, przekonać, że oferuje jej dobre miejsce, czasami rzucając za siebie wyrwaną trawę. Liczy się moment rozpoczęcia lęgów. Jest to czas, kiedy trawa jest niska jak na boisku. Wtedy wkraczamy my. Najpierw wypatrujemy kulików i ich gniazd przez lunetę. Choć jest to największy w Polsce przedstawiciel rodziny bekasowatych, nie daje się tak łatwo wypatrzeć. Musimy też ustalić, czy

rodzice zdołają pokonać barierę, co zajmuje im od kilku minut do około pół godziny. „Nigdy się nie zdarzyło, żeby ptaki nie wróciły do gniazda – zapewnia Grzegorz. – Po takim wygroźdzeniu informujemy właściciela pola, który podpisuje zgodę na zainstalowanie pastucha”.

W czasie wysiadywania jaj kuliki wymieniają się i zastępują w lęgowych obowiązkach. Pisklęta zaczynają się wykluwać po ok. 26 dniach wysiadywania. Dziś sukces lęgowy gatunku jest w dużej mierze uzależniony od tego, czy gniazdo w odpowiednim czasie dostrzegą ornitologowie. Jak mówi mi Grzegorz, w wypadku gniazd ogrodzonych przez jego zespół sukces gniazdowy wynosi ok. 90%.

To oznacza, że większość piskląt zdąży się wykluć i bardzo szybko opuści miejsce swojego urodzenia – kuliki są zagniazdownikami. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja w wypadku niezabezpieczonych lęgów. Bez groźby zdecydowana większość jest niszczone, i to pomimo maskującego koloru jaj. W dolinie Brzozówki kulikom zagrażają drapieżne ssaki, ale też inne gatunki ptaków, w tym bociany, błotniaki stawowe i wrony. Te ostatnie są bardzo inteligentne. W opinii Grzegorza nie powodują nad Brzozówką takich strat jak w populacji kurpiowskiej. Tam wron jest więcej, a kuliki pomimo swojej waleczności nie są w stanie odpędzić więcej niż kilku wron jednocześnie. (...)

W czasie wysiadywania jaj kuliki wymieniają się i zastępują w lęgowych obowiązkach.

ptaki złożyły już jaja. Najczęściej jest tak, że jedna osoba patrzy przez lunetę i nakierowuje drugiego członka naszego zespołu na gniazdo. Po jego odnalezieniu zaznaczamy koordynaty GPS. Jeśli w gnieździe jest już pełen lęg, a przyjmuje się, że kuliki wielkie składają cztery jaja, wtedy rozstawiamy wokół nich pastucha i podłączamy go do akumulatora”.

To jednak jeszcze nie koniec operacji, której celem jest ochrona lęgów kulika. Ornitologowie obserwują z bezpiecznej odległości, czy ptasi

To, że kuliki się wyklują, nie gwarantuje pisklętom przetrwania. Rozpoczyna się wtedy kolejny trudny okres w ich życiu, a pierwsze dwa tygodnie są decydujące. Młode szybko wychodzą z gniazda i pod opieką rodzica ruszają w świat. Zwykle zajmuje się nimi samiec.

Po wykluciu się piskląt i ich usamodzielnieniu się samica często opuszcza swój przychówek. W pierwszych dniach pisklęta są narażone na wiele niebezpieczeństw, co wynika głównie z ich

nieporadności. Jeśli łąka, na której przebywają, jest akurat koszona, nie uciekają przed maszyną rolniczą, tylko odruchowo przysiadają na ziemi, gdzie mogą zginąć. Przez pierwsze dni są też ogrzewane przez dorosłe ptaki. Dopiero po około dwóch tygodniach maluchy zaczynają radzić sobie lepiej – w tym okresie już biegają i sprawniej unikają zagrożeń.

W okresie dorastania pisklęta przeczesują brzegi starorzecza, wilgotne obniżenia terenu i miejsca, gdzie rośnie wyższa trawa, która je chroni. O ile to możliwe, na wczesnym etapie życia piskląt warto rozmawiać z rolnikami i prosić ich, żeby unikali koszenia terenu, na którym przebywają małe kuliki. Czasami pomaga opóźnienie koszenia choćby o kilka dni. (...) Ważne również, żeby kosić łąkę od środka do zewnątrz. Dzięki temu pisklęta przemieszczają się w kierunku zewnętrznej strony koszonego obszaru i nie są zaganiane w pułapkę.

Jajo od ornitologa

Grzegorz Grygoruk zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt związany z lęgami kulików wielkich. Otóż są takie gniazda, które kuliki zakładają tuż przy drodze, gdzie szanse na pomyślne wyprowadzenie lęgu są znikome. W odległości 5, może 10 m od jezdni. Tych gniazd się nie grodzi, bo przy ruchliwej drodze zwracałyby uwagę ludzi. W takiej sytuacji ornitolodzy podbierają ptakom jaja. W zamian zostawiają im inne pomalowane jaja – dawniej drewniane, obecnie zwykle kaczce, które przypominają jaja kulików. Prawdziwe zawożą zaś do inkubatora w Biebrzańskim Parku Narodowym. Kiedy zaczyna się klucie i z jaj dochodzą głosy piskląt, ornitolodzy odwożą je do gniazd.

Jeśli nie ma takiej możliwości – bo macierzyste gniazdo zostało opuszczone przez ptaki, zniszczone lub pojawiły się inne okoliczności – jaja są przewożone pod Kolno, do klujnika. Tam u Karola Trzcńskiego, świetnego i doświadczonego ornitologa, przez kolejne miesiące kuliki dorastają w specjalnej wolierze. Nie są w niej osławiane z obecnością człowieka. Potem odbywają ostatnią

podróż z ludźmi – nad Brzozówkę, do miejsc, gdzie zostały złożone jaja, z których się wykluły.

Ornitolodzy znają dokładne lokalizacje gniazd, z których pochodzą podrośnięte kuliki. W połowie lipca młode są już lotne i zostają wypuszczone tam, gdzie wcześniej ich rodzice chcieli wyprowadzić lęg. „To jest ten najfajniejszy moment – mówi Grzegorz o przywracaniu kulikom wolności. – Po wypuszczeniu w dolinie Brzozówki mają okazję przebywać wśród innych ptaków swojego gatunku, ale również wśród młodych rycyków i czajek. Przytaczają się do nich i można zaobserwować, jak wspólnie żerują”.

Młode szybko wychodzą z gniazda i pod opieką rodzica ruszają w świat. Zwykle zajmuje się nimi samiec.

(...) Pisklęta z inkubatora zawsze dostają obrączki. Jak tłumaczy Grzegorz: „Rzadziej obrączkuje się ptaki, które wykluły się w gniazdach. Kuliki lecą na zachód Europy. Do Francji, Wielkiej Brytanii, krajów Beneluksu, Hiszpanii i Portugalii, a nawet dolatują do kontynentu afrykańskiego. W trzecim roku życia, po osiągnięciu dojrzałości płciowej, po raz pierwszy wracają do miejsc, w których się wykluły. Zanim nastąpi ich powrót, grozi im spore niebezpieczeństwo ze strony ludzi. We Francji do niedawna zabijano kuliki. Z rąk myśliwych ginęło tam nawet 700 ptaków rocznie, i to tylko tych zaraportowanych. Były wabione i bezzwrotnie zabijane pomimo tak wielu wysiłków na rzecz ich ochrony w Polsce. Część zabitych ptaków mogła pochodzić z nad Brzozówki, a na pewno były tam ofiary z naszego kraju. Na szczęście ostatnio wprowadzono we Francji moratorium wstrzymujące polowania na kuliki”.

Jeśli kulikowi uda się przeżyć pierwsze lata życia na zachodzie Europy, wraca do miejsca swojego wyklucia. Czy wiemy, co dzieje się potem? Grzegorz wyjaśnia: „Pierwsze kuliki z inkubatora zaobraczkowaliśmy w 2017 r. Przez kolejne dwa lata nie mogliśmy wiedzieć, czy chociaż jeden

z nich wróci. Wreszcie przyszedł 2020 r. I przyleciały! Mieliśmy pierwszy sukces. Zaczęliśmy odczytywać obrączki, które zakładaliśmy kulikom z wolier. Co więcej, te wolierowe kuliki zaczęły tworzyć pary w miejscu, gdzie je wypuściliśmy, z kulikami niewolierowymi. (...)

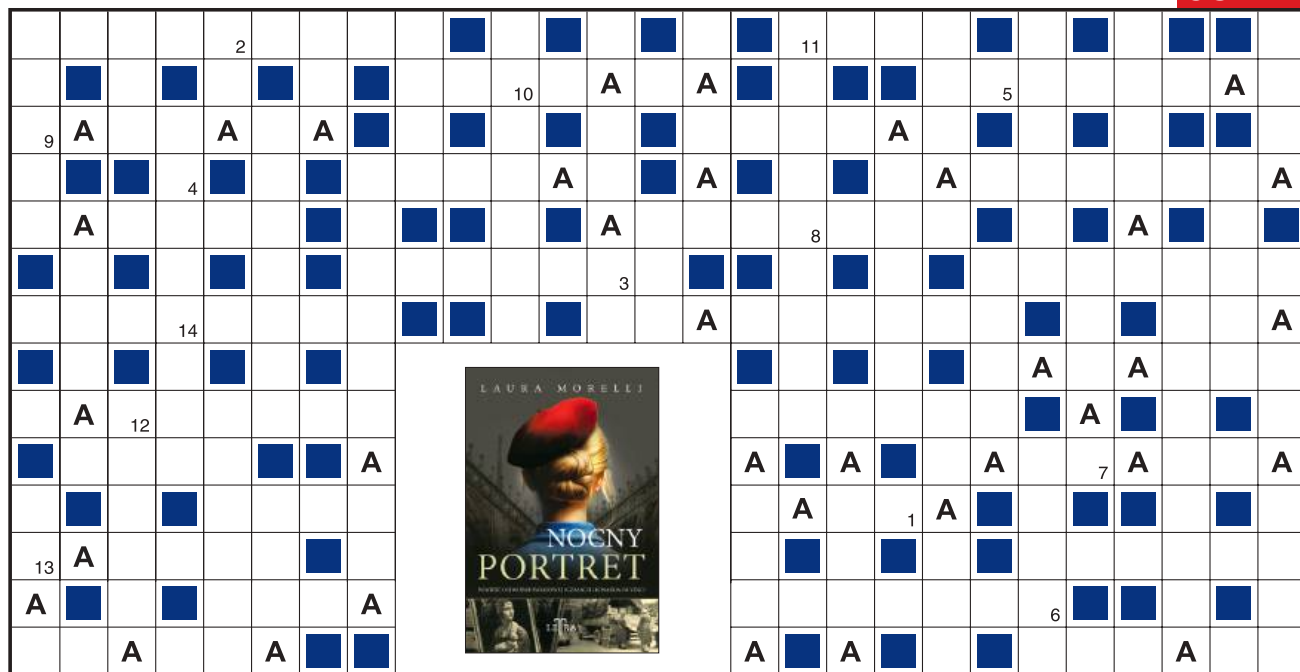
Ornitolodzy zakładają ptakom nie tylko obrączki. Część kulików zostaje wyposażona w specjalne nadajniki GPS. Dzięki temu badacze wiedzą wszystko o konkretnym ptaku. Poznają jego zwyczaje, przywiązanie do miejsc lęgowych, trasę wędrówek. Grzegorz nie kryje entuzjazmu, gdy opowiada o tych obserwacjach: „Po paru latach od założenia nadajnika

jedziemy do kulików nad Brzozówkę trochę jak do naszych ptaków. Wiemy już, gdzie będą siedzieć nasze samce. Co ciekawe, okazuje się, że o ile samce są konserwatywne, przywiązane do miejsca lęgowego i wracają na tę samą łąkę, o tyle samice wcale nie muszą być im wierne. Obserwujemy samice, które w kolejnych sezonach lęgowych zmieniają partnerów”.

Okazuje się, że od dwóch lat nad Brzozówkę przylatuje kulik zaobraczkowany na zimowisko w Anglii. Za każdym razem próbuje założyć gniazdo, ale narazie jest przeganiany przez inne samce. Inna historia dowodzi, że w kulikowym świecie zdarzają się szczęśliwe zakończenia. Pod Karpowiczami pojawiła się samica z uszkodzoną nogą. „Myślałem, że to już jej koniec – opowiada Grzegorz. – Tymczasem okazało się, że przetrwała. Wiem o tym dzięki temu, że stworzyła parę z samcem, który miał nasz nadajnik. Jej noga jest wykrzywiona, ale się zrosła. Grodziliśmy już gniazdo tej pary. Udało się jej wyprowadzić lęg”.



Fragmenty książki Pawła Średzińskiego *Rzeki. Opowieści z Mezopotamii, krainy między Biebrzą i Narwią leżącej...* Państwowy Buriat, Kielce 2023



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą końcowe hasło.

- kurtka jak eskimoski skafander
- ...Narodów to św. Paweł
- „Obcy...” – piosenka Republiki
- o agresywnym, stosującym przemoc
- grać na niego – opóźniać, przedłużać
- honorowy... krwi

- największe ma Amazonka
- odmiana truskawek jak złota moneta
- przeciwieństwo pragmatyka, racjonalisty
- przy ogniu drużyna ją rozpoczyna
- skrzywiona mina

- japońska kompozycja z roślin
- składają ją ryby
- zachcianka, fanaberia
- karciane czerwone serduszko
- przewód lub kanał zbiorczy
- czynsz
- ich stolicą była Kruszwica
- duży, niezgrabny pojazd
- „...na rzęsie mi się trzęsie”, śpiewała Rodowicz
- są mówcy, co go nawijają na uszy
- rzut piłką kończący grę
- kto nim rzuca, ten się wyraża
- schodzi pod wodę
- „...na dzień św. Cecylii” Händla

- boisko z programu rządowo-samorządowego
- piramida jako wielościan
- granat lub kiwi
- żartobliwie o spodniach
- nieme widowisko sceniczne
- pająk jako łamigłówka karciana
- dokument z wizami
- znak wypalony na skórze
- napitek na spotkaniach z Mentzenem
- ma najwięcej belek na pagonie
- fortel, sztuczka
- i ulewa, i wystawność
- ogrzewane prądem naczynie do pieczenia
- Aleksander Głowacki, czyli Bolesław...
- nabór do szkół, do pracy
- do tego dania niezbędny ryż

- sort, gatunek, typ
- ojciec i matka
- możliwość, że coś pójdzie źle
- złot na miotłach
- trzeci syn Adama i Ewy
- rzuca ziarno
- rozżarzona cząstka
- siedziba władz administracyjnych powiatu
- atak kawalerii
- grząski osad na dnie
- brzmienie instrumentu, głosu
- podróże w celu zwiedzania
- pokładanie nadziei
- dzielić się na stany
- samica wilka
- żart, błazenada
- poeta Jan i roślina z bobowatych
- stawać w nie – rywalizować
- szalony perkusista z Muppetów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1133”. Do rozlosowania książki „Nocny portret” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 września 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1130” z nr. 33: *Kto wszystkim dogadza, sobie szkodzi.*
Nagrody otrzymują: Małgorzata Bujonek z Wrocławia, Zbigniew Grzegorzewski ze Śremsu, Barbara Murawel z Wrocławia.

Teraz Bogna

Zacznijmy od zagadki: na stanowisko ambasadora w jakim kraju jedzie pani, którą wiceminister Wawrzyk przedstawił tak: „Z wykształcenia jest germanistką. Życie zawodowe związała z dziennikarstwem, zarządzaniem biznesem i pracą w administracji państwowej. Studia magisterskie na UW ukończyła w 1997 r. Po studiach rozpoczęła pracę w redakcji zagranicznej Polskiej Agencji Prasowej. Kandydatka zna biegle język niemiecki i angielski, ponadto podczas studiów nauczyła się języka szwedzkiego i rosyjskiego, a od roku uczy się portugalskiego. Ukończyła podyplomowe studia służby zagranicznej w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W 2001 r. założyła i wydawała lokalny dziennik »Gazeta Południa«, który ukazywał się na terenie powiatu piaseczyńskiego. W 2006 r. współzakładała z mężem (Igorzem – przyp. aut.) ogólnopolski portal Salon24. (...) Przez wiele lat była zaangażowana społecznie, była wolontariuszem Fundacji Świętego Mikołaja przy projekcie »Mama w pracy«. Powołała do życia Fundację Warszawskie Szpitale Polowe, która upamiętniała pracę służby zdrowia w powstaniu warszawskim. W latach 2021-2022 pełniła funkcję sekretarza stanu w kancelarii prezydenta, gdzie odpowiadała za dialog społeczny, pomoc humanitarną oraz uczestniczyła w kształtowaniu polityki międzynarodowej prezydenta. Przewodniczyła delegacji państwowej w Ukrainie, której celem była pomoc humanitarna dla mieszkańców”.

Takim życiorysem może się pochwalić pani Bogna Janke, a będzie ona ambasadorem w... Brazylii. Jak więc widzimy, Andrzej Duda wepchnął na ambasadora panią ze swojej kancelarii, szkoda tylko, że tak bezrozumnie.

Lamentował w Sejmie z tego powodu poseł Teofil Bartoszewski: „Ambasadorem nie zostaje się w tej chwili dlatego, że to jest szczyt kariery pracy w MSZ – szczyt kariery i ambicja każdego dyplomaty i pracownika MSZ w centrali w Warszawie – to jest absolutnie przypadkowy dobór ludzi, którzy nie muszą posiadać żadnych właściwych kwalifikacji do bycia ambasadorem. (...) Muszę powiedzieć, że nie ma pani absolutnie żadnego doświadczenia w sprawach zagranicznych ani w centrali MSZ, ani na placówkach. Nie spędziła pani wielu lat, jak większość ambasadorów, w rozmaitych obcych państwach i następnie w rozmaitych departamentach zajmujących się tym czy innym kontynentem w MSZ.

Brazylia jest jednym z najważniejszych krajów na świecie. Jest bardzo dużym graczem politycznym, członkiem grupy BRICS+, niestety z bardzo bliskimi więziami łączącymi to państwo z Rosją i Chinami. Te stosunki są dla Polski niebezpieczne i ważne.

(...) Brazylia jest jednym z najbardziej zaludnionych państw na świecie, o czym pani wspomniała, ale językiem obowiązującym jest język portugalski. Językiem angielskim posługuje się tam ok. 5% ludzi, a językiem niemieckim – który zakładam, że zna pani biegle jako germanistka – posługują się niecałe 2 mln ludzi. Z władzami Brazylii nie porozumie się pani rudymmentarnym portugalskim, a w innych językach będzie z tym bardzo trudno. To nie jest poważne traktowanie tak dużego państwa. (...) To jest jakaś aberracja, panie ministrze”.

Ech, panie pośle... To nie jest aberracja, to jest traktowanie państwa jak kolonii, a MSZ – jak biura podróży. Nie widać tego?

Attaché

Z okazji święta północnokoreańskiej marynarki wojennej Kim Dzong Un odwiedził jej dowództwo. 27 sierpnia 2023 r.





PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

EUSTACHY RYLSKI,
PISARZ

Nie ma wątpliwości, że różne grupy czy koterie lansują pewnych pisarzy. Ale tak było zawsze i pewnie tak zawsze będzie. Myślę, że trzeba zaakceptować fakt, że życie nie jest sprawiedliwe, i pogodzić się z tym. Każdy, kto zaczyna swoją przygodę z pisarstwem czy inną dziedziną sztuki, musi przyjąć to do wiadomości i być przygotowany na to, że może być niesprawiedliwie oceniany. A jeśli chodzi o literaturę dla dzieci, to jest wiele bardzo dobrych pozycji, które się nie zestarzały przez lata. W tym także książki pisarzy radzieckich.

FAKTY

PROF. RADOŚLAW MARKOWSKI,
SOCJOLOG, POLITOLOG

Czasy są takie, że mężczyźni, którzy wyrosli w tradycyjnych środowiskach, weszli w świat, który im zagraża. „Zagrażają” im feministki, zagraża im model rozdawnictwa przez PiS tym, którzy „mają dwie lewe ręce do roboty” i są klientami socjalu. I rzeczywiście ludziom – a widzę to szczególnie na prowincji – przestało się chcieć pracować za pieniądze, które często są całkiem przyzwoite. Z rynku pracy, przez fałszywą nadopiekuńczość państwa, wypadło wiele kobiet. Zatem część ciężko pracujących młodych mężczyzn czuje się eksploatowana przez – jak ich określają – nierobów, a do tego kulturowa otoczka demoluje ich marzenia o byciu głową rodziny z prawdziwego zdarzenia.

odra

PIOTR GAJDIŃSKI,
PUBLICYSTA

Według oficjalnych informacji w 2022 r. na transfery socjalne rząd wydał 470 mld zł, czyli niemal 18% PKB. Jak gigantyczna to wielkość, zrozumiemy, gdy owe 18% porównamy z wydatkami prorozwojowymi – w ubiegłym roku na edukację przeznaczono niespełna 5,5% PKB, a na inwestycje publiczne 4,5% PKB. Oszafamijająca, druzgocąca różnica. W tym kontekście warto zauważyć, że stopa inwestycji – planowana przez Mateusza Morawieckiego na 25% – oscyluje w ostatnich latach wokół zaledwie 16-17%, i za to też przyjdzie nam w przyszłości zapłacić.

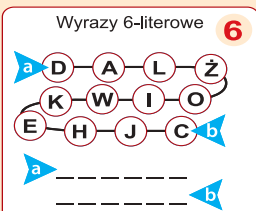
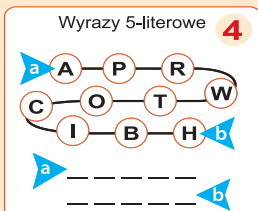
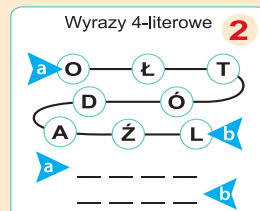
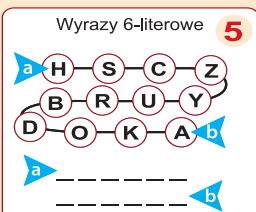
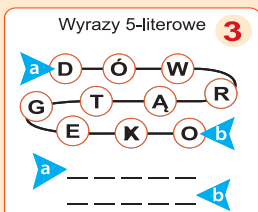
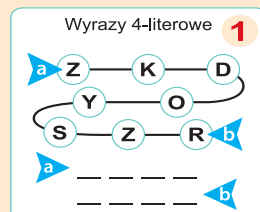
TWOJ **STYL**

MAGDALENA CIELECKA,
AKTORKA

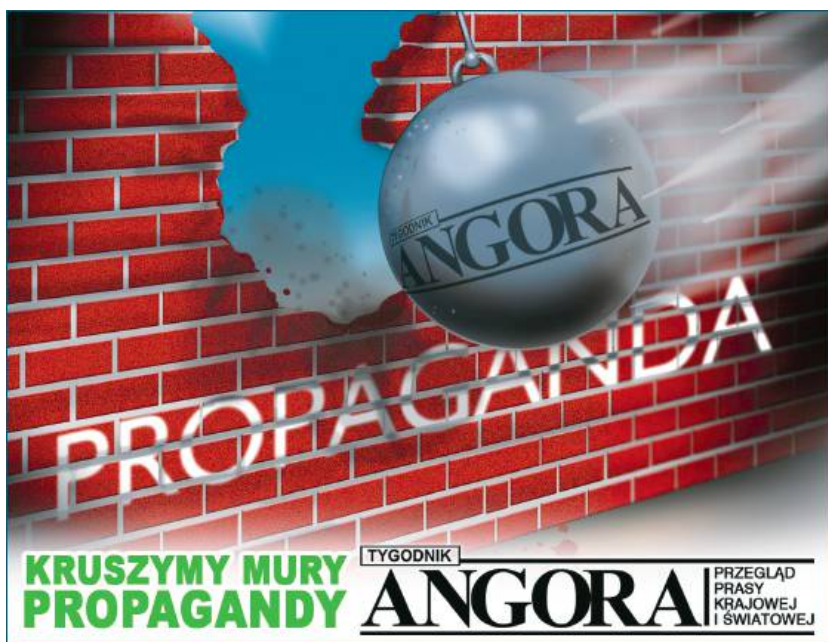
Jestem emocjonalna, w relacjach namiętna, w uczuciach bywam gwałtowna. Jeśli czuję, że coś się kończy, nie przeciągam. Ale nie jestem cool, raczej miota mną i czasem są to długie procesy. Podobnie w relacjach w pracy. Związujemy się w projektach, w próbach, na planie zdjęciowym, a potem przychodzi syndrom końca wakacji – trudno pogodzić się z myślą, że już nie pojedę na plan. Albo po premierze... zostaję z pustką w głowie i dziurą w sercu. Ale umiem i nawet lubię się z tym spotać. Z perspektywy czasu najbardziej cenię sobie poczucie bycia w zgodzie z sobą. Niekłamanie sobie czy innym, że jest mi dobrze, kiedy nie jest.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: KOSZ, RYDZ, ŁÓDŹ, LATO, WĄTEK, OGROD, PROCH, BITWA, SZYBKA, ODRUCH, DŹOKEJ, CHWILA



Aby język giętki...

BOGUSŁAW WONTOR

O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM

Wygrałem z nim sprawę sądową. Sąd orzekł, że Nowa Lewica jest partią niedemokratyczną, a on steruje nią ręcznie, autokratycznie.

JERZY KRYSZAK O POLITYKACH

Bycie gamoniem to jest wspaniała nieumiejętność. A że jednego i drugiego nie peszy to, że jest bęcwałem...?

PROF. ADAM STRZEMBOSZ

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jest największym szkodnikiem w życiu społecznym. Czy ma świadomość tego zła, czy tak siebie zakłamał?

AGNIESZKA HOLLAND

O REFERENDUM

Nikt nie pyta, czy zgadzasz się na pushbacki, strzelanie do migrantów, zatapianie ich łodzi i odmawianie pomocy na morzu.

AGATA PASSENT O RODZICACH

Jednym z niewielu życiowych błędów, które popełnili, była niechęć do zakupu działki.

ROBERT KOZYRA

O JULII WIENIAWIE

W każdej roli jest drewniana, a jej śpiew to raczej próby trafienia cienkim głosem w dźwięk.

JOANNA RACEWICZ

O DZIENNIKARSTWIE

Lubię trzymać się faktów. Opisuję rzeczywistość taką, jaką jest.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





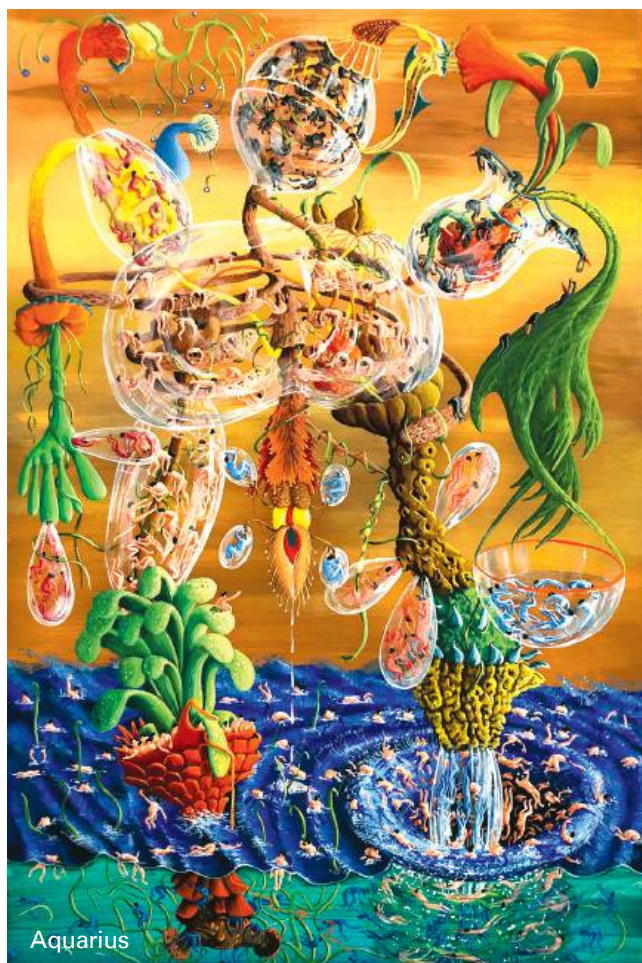
Odra

Po dwóch latach od zdobycia grand prix 45. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2021 za tryptyk „Game over”, przedstawiający monumentalną wizję końca antropocenu, Tomasz Kulka prezentuje w Galerii Bielskiej BWA najnowsze obrazy. Artysta wykorzystuje wyrafinowane techniki malarskie i ceramiczne; światy, które buduje w swoich obrazach i instalacjach, są tyleż prawdziwe, co niedorzeczne. Manipuluje widzami, by nabrali przeświadczenia, że w każdym, najdrobniejszym elemencie o coś chodzi, podczas gdy jest to po prostu rozpustna zabawa.

Oprowadzanie kuratorskie i spotkanie z artystą 21 września o godz. 17.

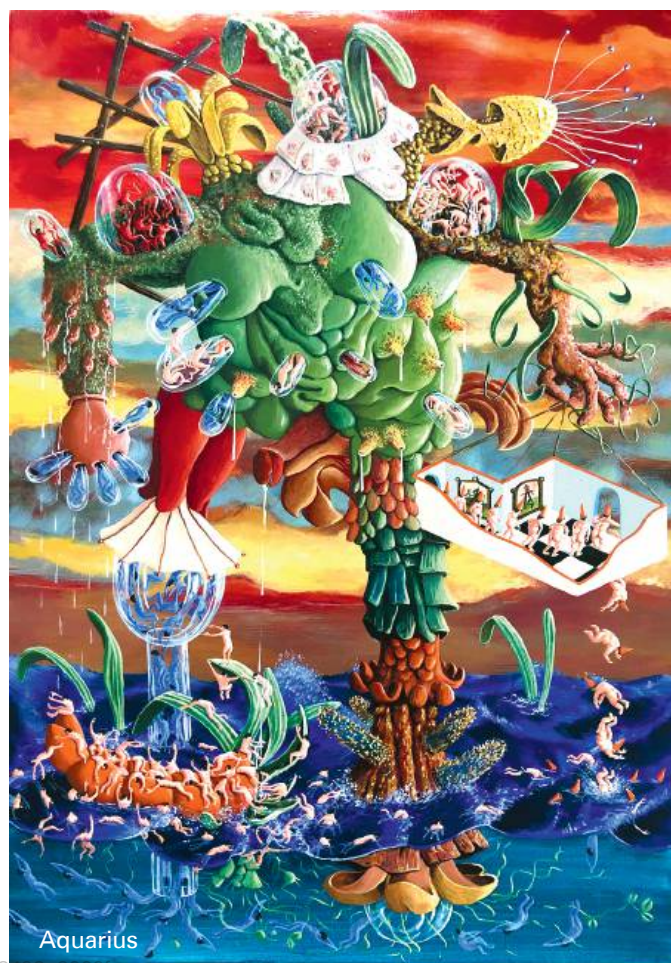
Piramida głupców Tomasz Kulka

Galeria Bielska BWA
Bielsko-Biała, ul. 3 Maja 11
do 8 października



Aquarius

FOT. MATERIAŁ PRASOWE



Aquarius

„PORYWAJĄCE KINO NOIR”
Hollywood Reporter

„INTRYGUJĄCA HISTORIA”
Screen

„MOCNY”
The Guardian

„ZNAKOMITY”
Variety

W roli głównej gwiazda serialu „Mentalista”
SIMON BAKER

L I M B O

reżyseria IVAN SEN



Berlinale
 73rd Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Konkurs Główny



W KINACH OD 8 WRZEŚNIA

 AURORA


Australian Embassy
Poland

Patronem Honorowym
filmu jest
Ambasada Australii

Jesienne Targi Książki

8-10 września 2023

plac Defilad przed Kinoteką,
od strony Al. Jerozolimskich



historiaikultura.pl

organizator



patronat honorowy



patronat medialny



eprasa.pl 8492e2260f